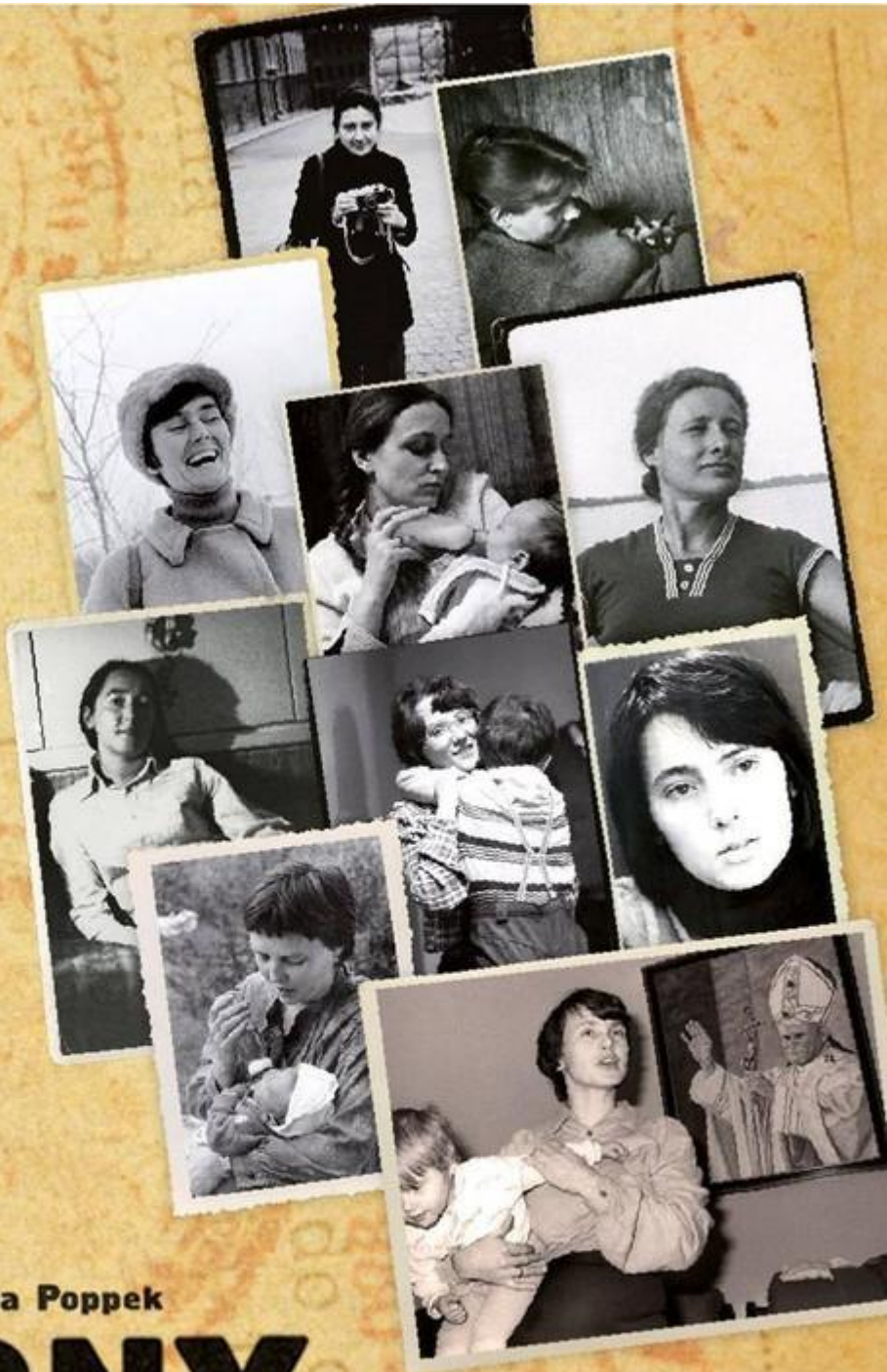


Książki
Gf



Anna Poppek

ŻONY OPOZYCJONISTÓW

Anna Poppek

ŻONY OPOZYCJONISTÓW

Spis treści

Image

Wstęp

Rodzina jak pieść – opowieść o Danucie Wałęsie

Muszka – opowieść o Marii Kaczyńskiej

Piękna Anka – opowieść o Annie Komorowskiej

Panna z dobrego domu – opowieść o Marcie Zahorskiej-Bugaj

Zwykle był „w wojsku” – opowieść o Grażynie Kuroń

Mężczyzna mojego życia – opowieść o Marii Lipskiej

Kobieta w czerwieni – opowieść o Alinie Pieńkowskiej

Warszawianka – opowieść o Zofii Romaszewskiej

Szczęściara – opowieść o Ludwice Wujec

Kanapa – opowieść o Zdzisławie Ziemińskiej

Bibliografia

Źródła wypowiedzi

WSTĘP

Gdy spytasz przeciętną kobietę o najważniejsze wydarzenia jej dorosłego życia, zwykle odpowie: ślub, narodziny dzieci, przeprowadzka, choroba teściowej, kupno domu...

Nie dotyczy to żon polskich opozycjonistów. One podadzą daty jak wystrzały armatnie: marzec '68. 1970 rok – masakra robotników na Wybrzeżu. Radom i Ursus. Stocznia, 1980 rok – 13 grudnia, stan wojenny. Te dramatyczne, ogólnopolskie wydarzenia determinowały ich życie rodzinne, oznaczały bowiem aresztowania, rewizje i szykany ze strony służb bezpieczeństwa.

Pozostają trochę w cieniu swoich zasłużonych mężów. W wolnej Polsce to oni robili kariery polityczne. Ale tak to już w naszej historii się składa, że kobiety stoją na drugim planie. A przecież to właśnie kobiety, silne, wierne polskie baby, były cichymi bohaterkami wszystkich powstań i wojen. Matki Polki, narzeczone w czarnych sukienkach czekające na swoich chłopców, żony ciągnące za skazańcami na Syberię, sanitariuszki na polach walki.

Żony peerelowskich opozycjonistów – zachowując proporcję wydarzeń – są ich współczesnymi wcieleniami. Wiele z nich zapłaciło za wierność swoim mężczyznom i ideałom – wysoką cenę.

Sergiej Nieczajew, rosyjski anarchista, w *Katechizmie rewolucjonisty* napisał: *Rewolucjonista nie powinien mieć żadnych interesów, spraw, uczuć, przywiązania, własności, nawet imienia. (...) Wszelkie roztkliwiające człowieka uczucia: pokrewieństwa, przyjaźni, miłości, wdzięczności, a nawet uczciwości powinny ustąpić. Jedynym marzeniem rewolucjonisty jest niszczenie bez miłosierdzia i litości. (...) Rewolucjonista przestaje być rewolucjonistą, jeśli uczucia przyjaźni lub miłości mogą powstrzymać jego rękę od zadania ciosu. Toteż rasowy rewolucjonista w żadnym wypadku nie powinien się żenić i decydować się na dzieci.*

Coś w tym jest.

Choć kobiety, o których piszemy w tej książce, na ogół twierdzą, że są zadowolone ze swojego życia, obiektywnie należy stwierdzić, że ich życiorysy, choć ciekawe, zdecydowanie odbiegają od tego, co rozumiemy pod pojęciem ciepła rodzinnego czy domowej atmosfery. Żona opozycjonisty w czasach PRL-u z reguły była, jak śpiewał Jan Kelus, „obywatelką drugiej kategorii”. Ciągłe musiała wiązać koniec z końcem, bo męża na okrągło wyrzucano z pracy. Nie dostawała paszportu na wyjazdy zagraniczne ani talonu na „malucha”; tłoczyła się z dziećmi w cudem zdobytej kawalerce; często spotykały ją nieprzyjemności zawodowe. Była ciągnana na przesłuchania, zatrzymywana na 48 godzin, a wreszcie internowana w stanie wojennym. Jej mieszkanie naszpikowane było esbeckimi podsłuchami. Dziecięcy wózek służył nie tylko do wożenia pociech, ale i do kolportażu wydawnictw podziemnych. W nocy w salonie hałasował powielacz. „Pani mąż jest szewcem? – pytały ciekawskie sąsiadki. – Tak stuka – puka po nocach...”. W lodówce, zamiast zapasów mięsa, schowane były dokumenty podziemnej organizacji, a w sekretnym schowku na szczytki stały zwinięte sztandary i transparenty, przyszykowane na nielegalną manifestację patriotyczną. Ich koleżanki chodziły do fryzjera i na kawki – one biegały na wiece. Koleżanki kupowały szpilki, one – wygodne „traperki”, w których łatwo było uciekać przed pałami zomowców. Koleżanki chwaliły się nową torebką, one najnowszym, ściągniętym z Wolnej Europy nagraniem Kaczmarek.

Jak to znosiły? – zapytacie. Ano, jakoś znosiły. Po pierwsze, sił dodawała im miłość do tych zwariowanych facetów, którzy zamiast spokojnie dorabiać się na ciepłych posadach, sprawiali, że drżały fundamenty systemu komunistycznego. A po drugie – wiara, że stoją po właściwej stronie barykady, że uczestniczą w wielkiej Sprawie, która doprowadzi... no, właśnie, do czego? Przecież w okresie PRL-u żaden w miarę racjonalnie myślący Polak nie wierzył

w upadek Związku Radzieckiego. Nie tyle więc chodziło o osiągnięcie celu, który był mglisty i niesprecyzowany, ile o poczucie przyzwoitości. Uczciwość. Sumienie. I takie niemodne dziś pojęcia, jak honor i patriotyzm. A poza tym – polska opozycja to byli wspaniali ludzie i niepowtarzalna atmosfera. Nocne Polaków rozmowy, wspólne śpiewanie, „teatr domowy”. Przyjaźnie. I ogromne poczucie więzi, solidarności ze swoim, tak samo myślącym i czującym środowiskiem.

To z nawiązką rekompensowało naszym bohaterkom niedogodności dnia codziennego.

Pochodziły z różnych środowisk. Z wiejskich chałup. Biednych, robotniczych dzielnic. Z żydowskiego getta. Z polskich dworów. Z mieszczańskich, inteligenckich domów. Odebrały różne wykształcenie, dzieliło je podejście do wiary, tradycji. Różnie też ułożyły się ich losy w III Rzeczypospolitej. Nie wszystkie doczekały wolnej Polski. Nieliczne, dzięki awansom mężów, osiągnęły szczyty – zamieszkały w Pałacu Prezydenckim.

Tak naprawdę, większość trochę nudzi się w tak zwanej małej stabilizacji III RP. Są też takie, które uwiera rzeczywistość. Tu nie ma reguły. Łączą je jednak wspólne losy, związane z najważniejszymi wydarzeniami z najnowszej historii Polski.

I tęsknota za trudnymi, szalonymi czasami peerelowskiej opozycji.



Rodzina jak pięść
opowieść o Danucie Wałęsie



Lech Wałęsa – polityk i działacz związkowy, z zawodu elektryk. Współzałożyciel i pierwszy przewodniczący NSZZ Solidarność, opozycjonista w okresie PRL. Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej w latach 1990-1995. „Człowiek roku 1981” magazynu „Time” oraz laureat Pokojowej Nagrody Nobla (1983).



Ankieta z „Frankfurter Allgemeine Zeitung”:

– Jakie cechy ceni pan najbardziej u mężczyzny?

Lech Wałęsa: Być człowiekiem, który się nie zapomina i nie zapomina też o swojej rodzinie.

– Jakie cechy ceni pan najbardziej u kobiety?

– Te same.

– Pańska ulubiona cnota?

– Być człowiekiem, troszczyć się o rodzinę – rodzinę jako gniazdo patriotyzmu i ciepła.

– Pańskie ulubione zajęcie?

– Wychowywanie dzieci.

– Pańskie ulubione imię?

– Danuta.

Zdjęcie z przełomu lat 80. i 90., czyli z czasów, gdy Wałęsowie jeszcze mieszkali w komplecie. Szczęśliwa, wielodzietna rodzina. W tle landszaft, jelenie rogi przerobione na kinkiet. Dzieci czyste, uśmiechnięte. Lech stoi między najstarszymi synami, przewyższającymi go wzrostem. Ma zadowoloną minę. Danuta trzyma opiekuńczym gestem za ramię najstarszą córkę Magdę, patrzy w obiektyw z mieszaniną rozbawienia i nieufności.

Ta rodzina, a właściwie jej idea, narodziła się w chwili, gdy Lech spojrział „w bystrą buzię z piwnymi oczami i ciemnymi włosami” w kwaciarni Orchidea w Gdańsku. Danuta (z domu Gołoś), podobnie jak jej przyszły mąż, była świeżo upieczoną mieszkanką dużego miasta. Raptem kilka miesięcy wcześniej przyjechała do ciotki z maleńkich Kryp, wioski pod Węgrowem.

Fotografia nie kłamie – dla Lecha i Danuty rodzina jest sprawą najważniejszą. Rozumiana jako dom, skupisko najbliższych, wspólnota własna i zamknięta.

– Rodzina jest tajemnicą – powiedziała kiedyś Danuta w rozmowie z Andrzejem Drzycimskim. – W niej bowiem dokonują się najważniejsze wydarzenia, które tworzą człowieka. Tu się on rodzi z miłości dwojga ludzi. Tu uczy pierwszych słów: mama, tata. Tu też poznaje, co jest dobre, a co złe. Rodzina przecież wychowuje. Stąd musi być ona silna wewnętrznie. Szkodzi

jej zaś wszystko to, co się wynosi poza nią, gdy staje się obiektem zainteresowania innych i sensacji.

Rzeczywiście, te słowa, choć ubrane przez Drzycimskiego w literacką formę, to credo życiowe pierwszej prezydentowej wolnej Polski. W ostatnim zdaniu tkwi jednak pewna groźba, nie tylko dla wścibskich dziennikarzy. Spójrzmy jeszcze raz na zdjęcie: to nie zahukana wiejska kobiecina, ale matka rodu. Rodu, który zaczyna się od niej samej.

Gdy Lech Wałęsa został prezydentem, wieś Kropy przeżyła istny szturm dziennikarzy, chcących zobaczyć, skąd pochodzi *First Lady*. Tak opisywał swoją wizytę dziennikarz Maciej Piotrowski: *Listopadowe Kropy witają nas mżawką. Wstrząsający widok zawałonej stodoły: stos gnijącej słomy, która kiedyś była strzechą i sterczące spod niej połamane krokwie. Nowy właściciel, Jan Kodym, nie spieszy się, żeby uprzątnąć tę ruinę. Kodym – bogaty gospodarz – ma ziemię po matce i ojcu, a teraz jeszcze hektary, które kupił od Gołosiów. Chyba na złość całej Polsce zostawił te resztki na samym środku podwórka, gdzie kiedyś wychowywała się żona prezydenta. Z całego świata przyjeżdżają tu dziennikarze i odjeżdżają wstrząśnięci. A mało kto wie, że nie tak to wyglądało, gdy gospodarowali tu Gołosie. Matki już nie ma. Listopadowy ziąb wypłoszył ją do syna Marka, do Siedlec..*

Drugi syn, Włodzimierz, został w Krypach. We wsi od zawsze nazywano go „Tofkiem”. Po podstawówce skończył kursy zawodowe i przez 12 lat pracował w zakładach mięsnych w Sokołowie. Nieźle zarabiał, ale wyrzucili go z pracy za częste nieobecności. Od tamtej pory minęło kilka lat, a on wciąż „szukał pracy”. Razem z matką, Feliksą, żyli z jej niewielkiej emerytury.

Domek, w którym mieszkali w Krypach Kolonii, drewniany, pokryty strzechą, którą z czasem wymieniono na gonty, zbudował jeszcze dziadek Danuty, Bartłomiej. Trzy jego córki osiedliły się na wybrzeżu. Dwie zapomniały o rodzinie, tylko Wanda, która pracowała w Stoczni Remontowej w Gdańsku, stale jeździła do domu, pisała listy. Po latach ściągnęła do siebie ojca i siostrzenice: Krystynę i Danutę.

Danuta urodziła się w 1949 roku. Parę tygodni później zawieziono ją paradnie, we dwa konie, z Kryp do parafii w Liwie, na chrzest. Chrzestny, Leon Małkowski, podał księdzu imię „Danuta”. Ale podczas rejestracji w urzędzie ojciec małej coś pokręcił i zapisał „Miroslawę”. Dlatego w papierach jest Miroslawa, choć zawsze wszyscy mówili na nią Danka.

Była drugą córką Feliksy i Zbigniewa Gołosiów. Dwa lata przed nią urodziła się Krystyna. Feliksa – z domu Barszcz – była córką Aleksandra Barszcza, rolnika z Kryp. Aleksander żył 74 lata, zmarł w październiku 1947 roku. Rok przed jego śmiercią Feliksa wyszła za mąż i osiadła na gospodarstwie męża. W Kolonii Kropy bezrolni po wojnie dostali ziemię, gdy rozparcelowano dziedzica Popiela z Turni. Na Gołosiów wypadło 6 hektarów – za dużo, żeby umrzeć z głodu, za mało, żeby żyć dostatnio. Jakoś sobie jednak radzili: trzymali krowy, świnie, wzięli w dzierżawę kilka hektarów. Ich stopa życiowa wzrosła.

Dzieci przychodziły na świat równo co dwa lata. W 1951 roku urodził się Włodzimierz, dwa lata po nim Marek (ten z Siedlec), w 1954 bliźniacy – Adam i Wiesław (gdy dorosli, osiedlili się we wsi Łącznie pod Morągiem), w 1956 roku Jadwiga (zamieszkała w Węgrowie), rok później Bogusława (matka 5 synów) i wreszcie w roku 1960 najmłodszy Waldemar (mieszka z rodziną w Nowym Jorku).

Danuta nie miała dzieciństwa usłanego różami. Do szkoły w Węgrowie – trzy kilometry. Wychowawczyni Jadwiga Żołędowska zapamiętała ją jako dziewczynkę bystrą, poważną nad wiek, obowiązkową, zaprawioną do pracy i opieki nad dziećmi.

Domek Gołosiów był ciasny, dwuizbowy. Dzieci spały po dwoje w łóżkach. W środku jednak było czysto, schludnie, pod oknami pełno kwiatów. Brak jakichkolwiek wygod, nawet

elektryczności – doprowadzono ją do Kryp dopiero w latach 70. Danuta uczyła się nadspodziewanie dobrze, mimo że gdy ojciec wypił, wcielał się w niego istny diabeł. Wrzeszczał na dzieci, rwał się do bicia. Nieraz Danuta zamykała się w komórcie i tam przy świeczce odrabiała lekcje.

Pod koniec siódmej klasy uczniowie wypełniali ankietę, jakie kto ma plany na przyszłość. Danka napisała, że „nie wie”. Tymczasem ojciec już postanowił, że zostanie na gospodarstwie, bo najstarsza, 17-letnia Krystyna postanowiła wyjechać do ciotki Wandy, do Gdańska. Ktoś musiał ją zastąpić. Gdy trzy lata później Danuta poszła w jej ślady, zastąpiła ją młodsza siostra Jadwiga. Taki był niepisany zwyczaj.

W Gdańsku Danuta spotkała człowieka, który odmienił nie tylko jej życie, ale losy Polski.

Rzadko zdarza się, by pamięć chłopów sięgała dalej niż dwa pokolenia wstecz. Toteż rodzinne przekazy Wałęsów są swoistym ewenementem. Po legendarnym przodku Mateuszu, została podniszczona książka z czasów napoleońskich, którą siostra Lecha, Izabela, czytywała na głos w dzieciństwie. Mateusz przybył do Polski ze znacznym majątkiem zdobytym we Francji. Osiedlił się na 500 morgach, kupionych na odludziu. Przybrał nazwisko „Wałęsa” – podobno dlatego, że miał już dosyć „wałęśania się” po świecie. Był ponoć dobrym gospodarzem, ale jego synowie rozprzedali schedę po śmierci ojca. Dziadek Lecha, Jan, gospodarował już na nędznych resztkach. Za to pan Bóg wynagrodził mu w licznych dzieciach z dwóch żon.

Legenda rodzinna mówi, że należał do POW i uratował życie samemu marszałkowi Piłsudskiemu w 1920 roku, gdy polskie wojska wycofywały się w kierunku Warszawy. Miał narzucić na Piłsudskiego babską kieckę, w której ten łatwo zmylił pościg. Janowi jednak w tej opowieści zbyt często kotłowały się daty i miejsca, by uznać, że to fakt historyczny.

Nie o prawdę tu jednak chodzi, lecz o atmosferę, w jakiej wychowywał się przyszły prezydent. Była ona patriotyczna, zwłaszcza że kolejne pokolenia co rusz wkręcały się w tryby historii. We wrześniu 1939 roku ojciec Lecha Bolesław razem z bratem Stanisławem wzięli udział w ciężkich bojach pod Mławą. Obydwaj trafili do niewoli, ale po kilku miesiącach wrócili do domów. Bolesław wkrótce wyładował w obozie pracy w Młyńcu, gdzie ciężkie warunki podkopały jego zdrowie. Gdy po zwolnieniu z obozu umierał w domu na gruźlicę, Lech miał półtora roku.

Bolesław ożenił się w 1933 roku z Feliksą Kamińską i postawił dom we wsi Popowo. Posypały się dzieci: Izabela, Edward, Stanisław i wreszcie Lech (1943). – „Odebrała go w domu babcia Kamińska – wspomina Izabela w książce pt *Droga nadziei*. – Był duży, ważył pięć kilogramów. Gdy go mama zobaczyła, tę jego wielką głowę, powiedziała do babci: „»Kiedyś będzie z niego wielki i sławny człowiek«”.

Po śmierci Bolesława Feliksa wyszła za mąż za jego brata Stanisława. Urodziły się dalsze dzieci: Tadeusz, Zygmunt i Wojciech. Wspomina Zygmunt: – „Mama wieczorami przy lampce naftowej czytała nam książki. Nigdy nie kłamała. Na przykład zawsze wiedzieliśmy, że w czasie

II wojny światowej Rosjanie nie byli naszymi przyjaciółmi, choć w szkole uczono nas czegoś innego”.

Życie Wałęsów było ciężkie i biedne, bo taka była rzeczywistość powojennej polskiej wsi. Dzień chłopców wyglądał następująco: od świtu obowiązki w gospodarstwie, potem szkoła i z Chalina 2 kilometry biegiem przez pola do domu, bo zawsze była jakaś robota. Trzeba było na przykład obrabiać „za konia”, którego rodzice nie mieli.

Lech był bystry, przebojowy, inteligentny. W 1961 roku ukończył Zasadniczą Szkołę Zawodową w Lipnie. W latach 1961-1967 pracował jako elektryk (samochodowy i ciągnikowy) oraz konserwator urządzeń elektrycznych w Państwowym Ośrodku Maszynowym w Łochocinie.

W latach 1963-1965 odbył służbę wojskową w jednostce wojskowej w Koszalinie, którą

zakończył ze stopniem kaprała.

Do Stoczni Gdańskiej trafił 20 maja 1967 roku. Do pracy namówił go przypadkowo spotkany na dworcu kolega z zawodówki w Lipnie. Wkrótce Lech został elektrykiem okrętowym.

Pierwszą jego kwaterą był pokój odnajmowany od małżeństwa niejakich Królów. Praca w stoczni nie była łatwa, ale wielką jest witalność 24-letniego chłopaka. Wolny czas spędzał tak jak jego koledzy ze stoczni: na zabawie. W *Drodze nadziei* Lech wspomina o dwóch dziewczynach z tamtego okresu: mleczarce imieniem Lala, która udawała córkę miejscowego VIP-a, i pielęgniarkę z pobliskiego szpitala. „Zawsze lubiłem blondynki, ale miałem czarne” – mówił w jednym z wywiadów.

Dziewczyna z kwiaciarni „Orchidea” też miała ciemne włosy.

Gdy Danuta przyjechała do Gdańska w lutym 1968 roku, na początku szukała pracy, poznawała miasto. Najpierw zaczęła pracować w kwiaciarni przy ulicy Długiej, potem przeniosła się do „Orchidei”. Tam przyszedł Lech kupować kwiaty i zapatrzył się w ładną, ciemnowłosą sprzedawczynię.

– Po tygodniu przyszedł znowu, zaczęliśmy chodzić ze sobą – wspominała Danuta w jednym z wywiadów. – A zaczęło się od tego, że pożyczył ode mnie książkę, którą oddał po paru dniach. Nie pamiętam tytułu. Akurat wychodziłam, spytał, czy może mnie odprowadzić. Z początku chodziliśmy codziennie do kina, chyba z miesiąc. Potem nam się to znudziło. Parę razy byłem z nim na żużlu. Ustalił się taki rozkład dnia: rano na szóstą szedł do stoczni. Po pracy wstępował do mnie, rozmawialiśmy kilka minut. Potem szedł na swoją kwaterę na Kartuską, kładł się spać. Przed osiemną wstawał, przychodził do mnie, czekał, aż zamknę kwiaciarnię, szliśmy na spacer, odprowadzał mnie do domu. Mieszkałam daleko, bo na Brzeźnie, u najmłodszej siostry ojca. Nie chodziliśmy na żadne ubawy ani do kawiarni, może byłem z nim ze dwa razy. (...) Można powiedzieć, że w tym pierwszym okresie istnieliśmy tylko dla siebie. Był bardzo poważnym człowiekiem, zawsze zamyślony, zawsze zrównoważony. Trudno było wydobyć z niego, co myśli. Jemu w każdej sytuacji było dobrze. Wszystkim się podobał. Imponował otoczeniu. Nie interesowałam się, gdzie pracuje. Imponował mi po prostu jako człowiek. Chodził ubrany bardzo zwyczajnie, niczym się nie wyróżniał, najczęściej nosił sweter i kurtkę, a może płaszcz, już nie pamiętam. Moja siostra, która pracowała w Gdańskiej Stoczni Remontowej, znała go. Mówiła mi, w jakim charakterze jest zatrudniony, ale mnie to nie obchodziło. To była moja pierwsza miłość i tak już pozostało.

Krystyna zaprosiła ją z Leszkiem na swój ślub do Kryp. Na weselu, chyba zdopingowani przez podniosły nastrój, podjęli decyzję o małżeństwie. Zamówili ślub cywilny w Węgrowie, a w miejscowym kościele dali na zapowiedzi. Na wesele, 8 listopada 1969 roku, przyjechała cała liczna rodzina Lecha: matka z ojczymem, rodzeństwo. *Małżeństwo z Danutą przyszło tak jakoś naturalnie* – wspomina Lech w *Drodze nadziei*. – *Miałem inne dziewczyny, bardziej mi pasowały, a jednak ożeniłem się właśnie z nią. Zastanowiłem się, dopiero jak zagrali mi marsza weselnego...*

Na pewno na tę decyzję wpłynęło poczucie osamotnienia. Oboje ze wsi, z wielodzietnych rodzin, przyzwyczajeni do gwaru i stałej obecności bliskich osób, czuli się w mieście nieswojo. „Sądzę, że Lech musiał być bardzo samotny w tym czasie – potwierdzał Jacek Kuroń. – Bo na dobrą sprawę nie mógł się z nikim zaprzyjaźnić”.

Obydwoje nie mieli większych aspiracji zawodowych. Nie dążyli za wszelką cenę, jak niektórzy ich koledzy z małych miejscowości, do awansu społecznego poprzez zdobycie wyższego wykształcenia. Lech zaczął w pewnym momencie dostrzegać swoją szansę w działalności politycznej. Dla Danuty życiową misją stało się zbudowanie rodziny – rodzenie

i wychowywanie dzieci.

Po ślubie Lech załatwił przez stocznnię mieszkanie w postaci pokoiku „przy rodzinie” w domu przy ulicy Marchlewskiego.

– Gospodyni była niedobrą, wścibską kobietą – mówi Danuta. – Wynajmowała nam przejściowy pokój, w którym w drzwiach zamiast szyby była tylko kretonowa zasłonka. Tam też mieszkał z nami przez jakieś dwa miesiące przyrodni brat Leszka, Wojtek, z którym na zmianę prowadziłam kiosk „Ruchu”. On jednak nie potrafił się ustatkować i wrócił do domu.

Później przeprowadzili się na poddasze jednorodzinny domku przy ulicy Beethovena. Większy metraż, ale nadal bardzo prymitywne warunki. Na parterze był zakład fryzjerski, który prowadziła pani Pujszowa. Przed laty często strzygła Lecha. „Cesał się do góry” – pamiętała swojego klienta. Danuta nie chodziła do fryzjera. Nosiła wtedy długi, ciemny warkocz do pasa. Pani Pujszowej przypominała wyglądem małą, ruchliwą myszkę, zwłaszcza że najczęściej ubierała się w szary płaszcz.

– Żyliśmy wtedy z Lechem jak matka z synem – wspominała Pujszowa – zawsze pomagał mi ponaprawiać coś przy domu, przekopał ogródek. Bardzo dobry chłopak był.

Za Lecha płaciła stocznia. On płacił za żonę i brata, który z nimi pomieszkiwał.

Późną jesienią 1970 roku urodził się Wałęsom pierwszy syn, Bogdan. Wtedy pani Pujszowa wymówiła im mieszkanie. Twierdziła, że to nie z powodu płaczu małego dziecka.

– Po grudniu zaczęła nachodzić mój dom milicja, często pojawiali się panowie z SB. Dopytywali się o Leszka, przeszukiwali ich pokój. Po prostu bałam się. To chyba zrozumiałe, samotna wdowa...

Danuta Wałęsowa tak wspomina ten okres: „Tych kilka pamiętnych dni kojarzy mi się z małym dzieckiem, pierwszym naszym synem, który miał wtedy kilka tygodni. W poniedziałek Lech kupował dla niego wózek. We wtorek, około południa, mąż przyszedł na chwilę do domu. Był w kasku, roboczym, drelichowym ubraniu i kufajce. Powiedział, że straszne rzeczy dzieją się w Gdańsku, że krew ulicami płynie.

Następnego dnia wrócił później, po czwartej i powiedział, że jest śledzony. Pamiętam, że w telewizji miał iść film, a my chcieliśmy zajść do gospodyni, obejrzeć go. I tuż przed tym przyszło na górę dwóch mężczyzn, żeby go zabrać. Lech zdjął obrączkę, zegarek położył na stole i powiedział, że gdybym nie miała z czego żyć, to mam to sprzedać. I żebym się nie przejmowała. „Będzie dobrze. Ludzie ci pomogą...”- powiedział.

Z ulicy Beethovena Wałęsowie przeprowadzili się do hotelu robotniczego przy ulicy Klonowicza, należącego do stoczni. Były to trzy bloki, wybudowane w latach 50. na wzór radzieckich „kołchoźników”.

Pokoje w części rodzinnej, gdzie zamieszkali młodzi, były dwu-, trzy- i czteroosobowe. Na korytarzach, pomalowanych szarą, olejną farbą, cuchnęło pieluchami, przypalonym mlekiem i brudem. Wyposażenie pokoi były nędzne i przypadkowe: zapadnięte łóżka, kulawy stół, zdezelowane krzesła. Lokatorzy nie dbali o wyposażenie. W końcu korytarza znajdowała się wspólna dla wszystkich kuchnia i łazienka.

Dwa lata później udało im się opuścić hotel robotniczy i zamieszkać pod własnym dachem. Lech Wałęsa: *Przy ulicy Wrzosa na Stogach mieliśmy swoje małe mieszkanie i ten okres wspominamy z Danutą jako lata, które na zawsze zbliżyły nas do siebie. Były to lata szczęśliwe w sensie rodzinnym, choć żyliśmy więcej niż skromnie. Zawsze potrafiłem zadowolić się tym, co przyniesie mi los, miałem optymistyczne usposobienie, a Danuta twierdzi, że byłem człowiekiem, z którym po prostu dobrze jej się żyło. Danuta okazała się kobietą, od której mogłem w różnych okresach życia i w różnych sytuacjach uzyskać wsparcie. (...) Nasz kontakt polegał raczej na czerpaniu jakiejś energii, którą miała w sobie Danuta. Ja dbałem tylko o to, żeby nie popadała*

w pesymizm, zwątpienie, niewiarę co do jutra. (...) A więc chodziło i o to, żebym nie zniszczył źródła, które zasilalo i do dziś zasila życie naszej rodziny. Jest kobietą niepozbawioną sprzeczności. W pierwszych latach małżeństwa starałem się, by wyzbyła się nerwowego rysu, który był jej postawą obronną. Przez lata wspólnego życia udało mi się uchronić jej poczucie suwerenności i kiedy przyszły trudne momenty, takie jak aresztowania, rewizje domowe oraz drobne i grubsze szykany – okazało się, że Danuta jest osobą pozbawioną strachu. Energia i rodzaj odwagi, gromadzonej przez te lata, stwarzały nade mną parasol ochronny, a bywało, że musiałem bronić przed nią nachodzących nas funkcjonariuszy rozmaitych mniej lub bardziej tajnych służb.

To były dwa pokoje w malowniczo położonym osiedlu. Z jednej strony sosnowy lasek sąsiaduje z plażą, gdzie Lech często pływał po pracy, z drugiej – można robić spacer na Stare Miasto, nad Motławę.

Wałęsów do dziś wspominają starzy mieszkańcy osiedla. Gdy Wałęsom posypały się dzieci, sąsiedzi pomagali im, dawali ubranka, przynosili jedzenie, pomagali w zakupach.

Gdy osiedlili się na Stogach, Lech miał za sobą czynny udział w wydarzeniach Grudnia. Policja i SB od dłuższego czasu miały na niego oko.

Był już ojcem dwóch synów – Sławomir urodził się na dwa miesiące przed przeprowadzką.

Pani Barbara Parol, której mąż przyjaźnił się z Lechem w stoczni, mieszkała po sąsiedzku.

– Gdy Leszek siedział – wspomina – Danka grzała się u mnie w kuchni. Zawsze nagotowałam więcej i mówiłam: „Przyjdź z dziećmi, to zupy sobie zjecie”. Bywało, że całą noc pilnowaliśmy dzieciaków. Cuda się działy! Przez Wałęsę sama bym się do kryminału dostała. Kiedyś Danka na chwilę przed rewizją zdążyła przerzucić do mojego mieszkania papiery Solidarności. Cały przedpokój był nimi zavalony. Gdy u nich trwała rewizja, zaczęli do mnie walić. Nie otworzyłam im. Ale ile się strachu najadłam! Z moich okien było widać podwórko. Kiedyś patrzę – stoją na rogach. Gdziekolwiek spojrzeć, to jakiś esbek się kręci. A Leszek wybierał się właśnie w rocznicę Grudnia z wieńcem pod stocznię. „Mówię, nie idź, Leszek, bo cię chapną”. Jak hieny stoją. A on na to: „Muszę iść”. Jak chmara os rzucili się na niego przed bramą, widziałam to z okna. Wieniec rozerwali na strzępy, a Leszka zabrali. Ludzie z autobusu pozbierali szczątki wieńca i złożyli je potem przed bramą stoczni. Albo: siedzimy z Danką w kuchni i pijemy kawę. Dowiadujemy się, że Leszka aresztowali razem z małą Magdą w wózeku! Danka się przestraszyła: „O matko, przecież wszystkie dokumenty mam na stole!”. Otworzyła swoje drzwi, ja swoje. Jak zwykle wszystko przerzuciłyśmy do mojego przedpokoju. Ledwie zamknęłam drzwi, ktoś zaczął się dobijać. Bardzo się zdziwiłam, gdy usłyszałam głos Leszka: „Nie otwieraj!”. Okazało się, że wyrwał się łapsom i ledwo zdążył mnie ostrzec, bo zaraz przybiegli za nim. Różne bywały przygody... Kiedyś jak zwykle siedzimy z Danką, a tu wpada Lech: „Danka, wyprowadzamy się!”. „Czyś ty zwariował? Ja niespakowana!”. „Nic nie mów. Szybko, biegiem”. Poleciałam z nią, pomogłam się pakować. Okazało się, że Lech musiał zniknąć z Gdańska na kilka dni.

Kiedyś zapytałam: „Leszek, dlaczego ty się tak poświęcasz?”. „W imię idei” – odpowiedział. „Ale idea jeść nie da”. „Wiesz, Basia, ja to jestem taki urodzony patriotka..”

Na Stogach na ogół dobrze wspominają Wałęsów. Choć, rzecz jasna, niektóre dawne znajome nie mogą przełknąć zawrotnej kariery Danuty.

Przed laty patrzyły trochę z góry na tę obwieszoną dziećmi kobiecinkę, która nie miała ładnych strojów, kosmetyków. Potem, w stanie wojennym, zazdrościły jej darów, które otrzymywała z zagranicy dla dzieci.

– Ja chodziłam do niej jeszcze wtedy, gdy przeprowadzili się na ulicę Pilotów – mówi Parolowa. – To były ciężkie, kartkowe czasy, nic w sklepach nie można było dostać. Patrząc, a u Danki w kuchni stoi cały rząd skrzynek pomarańczy. Danka nic nie powiedziała. Kiedyś Leszek dał mi w prezencie paczkę kawy i czekoladę dla dzieci, ale widocznie pater noster od żony dostał, bo na tym się skończyło. W tym czasie zaproponował mi, żebym została jego sekretarką za trzykrotną pensję. Sekretarka przewodniczącego – to było tylko takie eleganckie określenie. Tak naprawdę u Wałęsów taka „sekretarka” to i uprać, i ugotować, i pomóc przy dzieciach musiała. Nie zgodziłam się.

– Są wokół nas ludzie życzliwi i mniej życzliwi – mówiła Danuta w jednym z wywiadów. – Niektórzy tak zwyczajnie nam zazdroszczą, snują domysły na temat naszych pieniędzy. A my przecież niczego nikomu nie zabraliśmy i do wszystkiego dochodziliśmy o własnych siłach. Najbardziej przykre dla mnie są takie momenty, kiedy ktoś prosi mnie o pomoc, a ja nie mogę jej udzielić. Moja odmowa jest najczęściej traktowana jako przejaw złej woli.

Na pytanie, czy ma przyjaciół, oświadczyła:

– Mało. Bardzo mało. Składa się na to wiele przyczyn. Między innymi, mając tak liczną rodzinę, trudno udzielać się towarzysko, gdyż najzwyczajniej w świecie nie ma na to czasu. Zresztą, jak sięgnę pamięcią, zawsze żyliśmy zamknięci w kręgu najbliższej rodziny. Dopiero Sierpień 1980 otworzył drzwi naszego domu. Zresztą do dzisiaj się tak utarło, że wielu ludziom wydaje się, że nasz dom powinien być otwarty dla każdego. Mało kto chce zrozumieć, że chcemy żyć normalnie i nasz dom nie może przemienić się w biuro skarg i interwencji.

Bogdan Wałęsa z głębokiego dzieciństwa pamięta mieszkanie na Stogach i atmosferę pierwszych lat opozycyjnej działalności ojca.

– *Pamiętam głównie rewizje* – zwierzał się autorom książki *Jabłoń i jabłko* w 1989 roku. – *Panowie, którzy je przeprowadzali, zachowywali się agresywnie, mama płakała, my nie rozumieliśmy, o co chodzi. Pamiętam też, jak przychodzili po ojca, zamykając go na 48 godzin.*

Mama trzymała się kurczowo taty, nie chcąc go puścić, ojciec uspokajał ją i nas. Później był Sierpień. W pamięci utkwiła mi jedynie scena, gdy odwiedzałem ojca w stoczni razem z mamą. Tata przyrządzał sobie ulubiony kogel-mogel, próbując za jego pomocą wyleczyć chrypkę. Z ogłoszenia stanu wojennego pamiętam takie dwa kadry: gdy położyłem się spać 12 grudnia – ojciec w domu był, a gdy obudziłem się nazajutrz rano – już go nie było. Zrobiło mi się bardzo, bardzo smutno. W Wigilię 1981 roku mama dowiedziała się, że może odwiedzić ojca. Pojechała sama, a myśmy zostali. Straszna to była Wigilia, bo podwójnie smutna.

Państwo Lewandowscy wprowadzili się do 130-metrowego mieszkania na Zaspie zaraz po Wałęsach, którzy przenieśli się do willi przy ulicy Polanki. Lewandowską wzruszył następujący fakt: gdy robiła porządki w kuchni, znalazła w szafie ściiennej dwa obrazki Najświętszej Marii Panny. Wałęsowie specjalnie położyli je tam dla następców. Lewandowscy niewiele zmienili w mieszkaniu. Zostawili kuchnię wyłożoną drewnem zgodnie z gustem prezydenta, który lubi otaczać się drewnianymi wyrobami.

Dla Wałęsów mieszkanie na Zaspie to najważniejszy okres w życiu. Tutaj znajdowało się praktycznie biuro przewodniczącego i centrum decyzyjne Solidarności. Tu Lech dowiedział się o przyznanej mu Pokojowej Nagrodzie Nobla.

Ta gdańska dzielnica powstała na terenie dawnego lotniska, w okresie tak zwanej propagandy sukcesu. Parę tygodni po sierpniowym strajku w stoczni Wałęsowie zajęli dawne biuro budującego się osiedla na pierwszym piętrze. Z połączenia trzech mniejszych mieszkań powstało jedno duże, sześciopokojowe. Wkrótce jednak i ono okazało się za ciasne na biuro, miejsce spotkań, dom.

Na początku siedmioro dzieci zajmowało trzy pokoje. Czterej chłopcy – dwa,

z piętrowymi łózkami, dwie starsze siostry miały osobne pokoje. Najmłodsza Maria Wiktoria – a potem Brygida, która urodziła się w 1985 roku – sypiała w pokoju z rodzicami. Na końcu korytarza był pokój umeblowany tapczanami, tak zwana gościnna sypialnia, w której Lech po powrocie z pracy urządzał sobie drzemkę. Tu nocowali liczni goście z całego świata.

W największym, centralnym pokoju z przyległą kuchnią urządzono biuro. Tu urzędowali „ludzie Wałęsy”, tu odbywały się zebrania, narady i briefingi prasowe. Telewizor stał w pokoju rodziców, którzy w ten sposób mogli limitować pociechom siedzenie przed ekranem. Całe mieszkanie naszpikowane było podsłuchami. Służby nie szczędziły pieniędzy na nowinki techniczne, np. bardzo drogi wówczas podsłuch laserowy. Na parterze stale „dyżurowali” esbecy.

W 1989 roku Wałęsowie przeprowadzili się do własnej willi. Szukano odpowiedniej przez rok. Musiała spełnić następujące warunki: położona na uboczu, ale nie na peryferiach, i obszerna, żeby pomieścić rodzinę i licznych gości. Podobno sam ksiądz Jankowski osobiście zaangażował się w poszukiwania. Gdy wreszcie znaleziono odpowiedni dom, okazało się, że ma lokatorów. Szybko znaleziono dla nich lokale zastępcze. Przeprowadzka Wałęsów to był prawdziwy „blitzkrieg”, chodziło bowiem o to, żeby SB nie zdążyła w domu zainstalować podsłuchów. Remonty odbywały się już w czasie, gdy w willi mieszkali Wałęsowie. Lech zdobył wówczas dowód na brak bezrobocia w Polsce, który zresztą przytaczał na spotkaniach z załogami różnych zakładów pracy: „Nie mogę znaleźć fachowców, którzy by naprawili dach w moim domu”.

W willi było przytulnie i przestronnie. Jasna boazeria, tapety w błękitne kwiatki na bordowym tle. Centralne miejsce zajmowała jadalnia, gdzie spotykali się na posiłkach wszyscy domownicy. Nad ławą zawieszona na kilimie wisiała Matka Boska i obraz Pana Jezusa. Zainstalowano rzadką w tamtych czasach antenę satelitarną. Choć dom bynajmniej mały nie był, często brakowało w nim miejsca. W okresie pierwszej kampanii prezydenckiej panował tu taki tłok, że na życzenie Danuty przedsiębiorstwo zagraniczne DORA postawiło przy furtce budkę dla strażników, którzy eliminowali przypadkowych gości.

Lech Wałęsa na jednej z pierwszych prezydenckich konferencji prasowych spytany, jak spędzi pierwszy dzień swojego urzędowania, odpowiedział, że między innymi zje obiad przyrządzony przez małżonkę, bo nie mają kucharki. Ponieważ program transmitowano na żywo, cała Polska usłyszała zdziwiony szept Danuty: „Przecież mamy!”.

We wcześniejszym, „przedprezydenckim” okresie Danucie pomagali w prowadzeniu domu znajomi i krewni. Siostra Lecha, Izabela Młyńska, przyjeżdżała do Gdańska na większe uroczystości rodzinne, na których pełniła rolę gospodyni. Czasem pomagała jej córka Marzena. Po przeprowadzce do dużego domu trzeba było jednak pomyśleć o kimś na stałe. Danuta ściągnęła więc na Polanki siostrę Krystynę z mężem Tadeuszem. Krystyna dobrze gotowała, wcześniej pracowała jako kucharka w szkole podstawowej nr 1 w Sokołowie Podlaskim. Jej mąż był stróżem w cukrowni „Sokołów”. Po przyjeździe do Gdańska zostali zatrudnieni w Biurze Ochrony Rządu na stanowiskach „sprzątaczk” i „kierownika obiektu”. Wszyscy byli bardzo zadowoleni z tego rozwiązania, zwłaszcza dzieci Wałęsów, które kochały ciocię Krysie i nazywały ją „nieprawdziwą mamą”.

Wałęsowie mają ośmioro dzieci: Bogdana (ur. 1970), Sławomira (ur. 1972), Przemysława (ur. 1974), Jarosława (ur. 1976), Magdalenę (ur. 1979), Annę (ur. 1980), Marię Wiktorię (ur. 1982) i Brygidę (ur. 1985). Jerzy Borowczak tak zapamiętał całą gromadkę: – Magda była malutka, kiedy zaczęliśmy ją nazywać artystką, bo śpiewała, tańczyła, minki robiła. Inne dziewczyny – spokojne, miłe, specjalnie nie zwracały na siebie uwagi. Podobne do Danki. Sławek i Przemek jak ojciec interesowali się techniką. To były cholerki, rozrabiaki. Jak ojciec złapał za pas, to Przemek wołał: „Jak to, laureat pokojowej Nagrody Nobla, a pasa będzie

używał”. Miał wtedy może 10, może 11 lat. Najstarszy Boguś był cichą osobką, uprzejmą. A Jarek – grzecznym dzieckiem, które chodziło własnymi drogami. Nie pamiętam, żeby Lech czy Danusia musieli na niego krzyknąć.

Niełatwo być dzieckiem ojca noblisty, który już za życia przeszedł do historii. I Lech, i Danuta surowo wychowywali swoje dzieci. To zrozumiałe – tak zwane „bezstresowe” wychowanie tak licznej gromadki dzieci byłoby chyba niemożliwe.

– Można powiedzieć, że rodzice trzymali nas krótką ręką – wspominał Bogdan. Wszyscy musieli dbać o porządek, do osiemnastego roku życia najpóźniej o 21.00 musieli być w domu, a w dwie godziny później spać. Jeśli coś było nie tak, zdarzało się lanie, męczące kazanie, zakaz wyjścia na miasto albo oglądania telewizji. W soboty i niedziele pobudka o ósmej, o dziewiątej śniadanie. Obowiązkowe wspólne posiłki.

Każde z dzieci Wałęsów inaczej „odreagowywało”. Bogdan, zdaniem rodziców, jest nieśmiały. Jego pierwsza żona, Agnieszka, (Bogdan powtórnie ożenił się z Małgorzatą, którą poznał podczas pracy w BOR) tak opowiadała w jednym z wywiadów o tej cesze męża: – Ja nie jestem mocna psychicznie, a i Bogdan jest nerwowy. Za Bogdana wszystko robiła mama. Nie dlatego, że tato nie chciał, ale najzwyczajniej w świecie nie miał czasu. Mama jak kwoka zabiega o swoje pisklęta. Bogdan był tak nieśmiały, że wstydził się kupić w kiosku gazetę...

Sławomir nazywany był „saperem” domowych konfliktów, bo kiedyś „rozbroił” awanturę. Tak rozzłościł ojca, że ten sięgnął po pasek.

– I to ty, który dostałeś pokojową Nagrodę Nobla, będziesz mnie bił?! – wykrzyknął Sławek, czym tak rozśmieszył ojca, że ten odłożył karę. Nauczycielka ze szkoły podstawowej, do której chodzili Wałęsowie, dobrze ich pamięta.

– Bogdan, owszem, był bardzo spokojny. Ale Sławek i Przemek? Diabły! Ale wiedzieli, kiedy przestać, żeby nie przesadzić. Bardzo ich lubiłam. Sławek wsławił się tym, że w piątą klasie, w 1983 roku, podstemplował prace domowe uczniów pieczętą: „Przewodniczący KK Solidarność Lech Wałęsa”. Przestraszyłam się i wszystkie kartki zniszczyłam. I chyba o to Sławkowi chodziło.

Sławomir o Przemku: „Niesamowity, szybki, narwany, rozrabiaka. Gdy się cokolwiek mu powie, zaraz się wścieka”. Ze wszystkich dzieci Wałęsów najczęściej wymieniano jego imię na łamach prasy brukowej. Drobne skandale, rozdmuchiwane przez dziennikarzy (patrz słynna „pomroczność jasna”), wynikały zawsze z jego temperamentu, który w młodszych latach wręcz go roznosił. Bystry i inteligentny. Jego żona Joanna jest, zdaniem rodziny, najładniejszą z synowych. Jeszcze raz nauczycielka:

– W ósmej klasie wzięłam ich do muzeum opatów. Wracaliśmy przez park. Przemek szedł na końcu. Chował się przede mną, bo palił papierosa. Poczekaliśmy na niego i zaczęłam wykład o szkodliwości palenia. A on mi odpowiedział: „Ja właśnie rzucam palenie. Chociaż nie wiem, czy to się opłaca. Ojciec też rzucił, ale wcale nie czuje się przez to lepiej i nie wchodzi w żaden stary garnitur”.

„Są dla nas najciekawszą księgą, choć bywają źródłem zmartwień i kłopotów – mówił Lech Wałęsa o swoich dzieciach. – Najwięcej pociechy spodziewam się po najmłodszym Jarku, który wydaje mi się najbardziej podobny do mnie”. I nie pomylił się – najspokojniejszy i najbardziej uparty z braci, Jarosław, absolwent prestiżowych studiów w Bostonie, jest dziś posłem do Parlamentu Europejskiego z ramienia Platformy Obywatelskiej.

Magda miała wyjątkowe predyspozycje do baletu: wysoka, szczupła, wspaniałe proporcje, długa szyja, ładnie osadzona głowa. No i talent. Po błyskotliwym, oklaskiwanym przez ojca debiucie na deskach Teatru Wielkiego w roli księżniczki w balecie *La Gitana* kontuzja przerwała jej karierę taneczną. Ku rozpaczy Danuty, która uważała Magdę za najzdolniejszą ze

swoich dzieci.

Młodsza Ania, zdaniem rodzeństwa, najbardziej podobna jest do Przemka. Narwana, szybka, zapatrzona w starszą siostrę Magdę. Ania to sierpniowe strajki. Maria Wiktoria z kolei urodziła się w stanie wojennym. Jej imię symbolizować miało nadzieję na zwycięstwo.

– Przełomowym dniem były dla mnie jej chrzciny – wspomina Danuta. – Kiedy wyszliśmy z kościoła, zobaczyliśmy tylko ludzką falę. Przestraszyłam się, że tłum nas zgniecie. Od tej pory prawie codziennie ktoś do nas przychodził, pytał o męża (Lech był internowany w Arłamowie – przyp. A. P.), deklarował pomoc. Byli tacy, co przyjeżdżali z daleka, aby tylko przekonać się, że u nas wszystko w porządku, i zaraz odjeżdżali.

Na nadanie imienia najmłodszej córce pośrednio wpłynął ksiądz Jankowski. Wałęsowie należą do parafii świętej Brygidy.

– Odważna, ufna. Oczko w głowie rodziny. Wiadomo, najmłodsza – twierdzi brat Bogdan. Ojciec nazywał córki oryginalnymi zdrobnieniami. Ania to „Niuta”, Maria Wiktoria „Mynia”, Brygida „Bibonek”

O ile ojciec był zawsze „królem Słońce”, od nagród i kar, od świątecznych przyjemności, o tyle Danuta musiała to całe towarzystwo trzymać w ryzach. Miała na głowie cały dom.

– Często bardzo żał mi mamy – wspominał Bogdan w 1989 roku. – Bo nie dość, że ma tyle pracy z całą naszą ósemką, to jeszcze regularnie musi obsługiwać gości. Przy nas, choć staramy się sobie nawzajem pomagać, roboty jest sporo. Mama stara się wszystko robić sama.

I jeszcze znaleźć czas, żeby zadbać o swój wygląd. Na troskę o zdrowie zwykle już nie starcza czasu, choruje więc czasami, później znów się podnosi i wprawia nasz dom każdego ranka w ruch z właściwą sobie energią. Ojciec chciałby, żeby zajmowała się wyłącznie domem. Domem, nami i nim. A mama ma większe ambicje. Mama lubi wielki świat, świat mikrofonów, kamer i wielkiej gali. I ma za złe ojcu, że tak rzadko może realizować te swoje pragnienia, że on tak rzadko zabiera ją za granicę.

Najważniejsze publiczne wystąpienie pani Danuty to bez wątpienia odebranie mężowskiej Nagrody Nobla. Jej skromność, elegancję i miły uśmiech podziwiał wtedy cały świat. A było to tak: 26 lat temu 10 grudnia 1983 roku w Oslo Lech Wałęsa miał odebrać Pokojową Nagrodę Nobla. Przywódca podziemnej „Solidarności” nie mógł jednak wyjechać za żelazną kurtynę, komunistyczne władze bowiem odmówiły wydania mu paszportu. Nagrodę w imieniu męża odebrała żona i 13-letni wówczas syn Bogdan. O nagrodzie poinformował Wałęsę Krzysztof Wyszkowski, kolega z komitetu strajkowego (ten sam, któremu później Wałęsa wytoczył proces o „Bolka”). Wyszkowski zadzwonił w nocy do domu Wałęsów. Zaspany Lech nie uwierzył w rewelację kolegi, potraktował to jak marny żart – odłożył słuchawkę i poszedł spać. Uwierzył dopiero rano, kiedy zobaczył tłumy dziennikarzy i innych ludzi gromadzących się pod jego domem.

– Nagrodę rozumiem jako skierowaną do całego polskiego świata robotniczego – powiedział do zebranych z okna – którego jestem reprezentantem. Za chęć i wysiłek przebudowy rzeczywistości w duchu prawdy i sprawiedliwości, jakie podjął. A także do całego społeczeństwa polskiego, bo polscy robotnicy nie działają w próżni, wszystkie grupy brały udział w formułowaniu najpierw postulatów, potem programu.

Danuta opowiada, że bardzo denerwowała się sytuacją i przygotowywała na dwa sposoby.

– Mentalnie i jako kobieta, myśląc na przykład o kreacji. Postanowiłam, że jako polska kobieta jadę tam reprezentować inne polskie kobiety. Nie chciałam, żeby się za mnie wstydzili i chyba dobrze wyszło.

Pamiętam, że bluzkę, którą miałam wtedy na sobie, sama sobie uszyłam.

Pieniądze z nagrody Lech Wałęsa przeznaczył na kościelną fundację pomocy dla

rolników.

Dziś Wałęsowie mieszkają w swoim ładnie urządzonej domu, który po usamodzielnieniu się dzieci staje się dla nich chyba trochę za duży. Byłemu prezydentowi przysługuje ochrona BOR. Danuta Wałęsowa gotuje, robi przetwory i konfitury, zajmuje się wnukami. Uprawia ogródek, bo kocha kwiaty – w dzieciństwie sadziła je pod oknami chałupy w Krypach, potem wybrała pracę w kwiaciarni.

– Ona jest niesamowicie pracowita, świetnie zorganizowana – zwierzała się przyjaciółka domu Ewelina Wolańska dziennikarzowi „Wprost”. – Wciąż nie spuszcza z oczu swoich dzieci. Ingeruje w ich życie, bo chce łagodzić konflikty, chce, żeby rodziny jej dzieci były szczęśliwe.

Wygląda zadziwiająco młodo jak na babcię.

– Mnie się wydaje, że to są moje dzieci – wyznała w jednym z wywiadów. Między jej najmłodszą córką a najstarszą wnuczką jest tylko sześć lat różnicy. Cieszy się, że dzieci mogą żyć w dobrych warunkach. To jest jej największa ambicja i radość – dobro rodziny. Przed laty porównywała ją do „zaciśniętej pięści”. Silna, zwarta, a i przywalić może.

O tym ostatnim przekonali się zwłaszcza niektórzy dziennikarze i publicyści, którzy jak np. Paweł Zyzak w swojej opublikowanej w postaci książki pracy magisterskiej, wywlekali na światło dzienne niektóre tajemnice rodzinne Wałęsów.

– Nie ma o czym mówić, jesteśmy po prostu normalną rodziną – twierdzi pani Danuta. – Nie przewróciło nam się w głowach. Mąż zajmuje się polityką, troszczy o utrzymanie rodziny, a ja zajmuję się domem. Ot, wszystko. Tak naprawdę nie odczuwam na co dzień satysfakcji z pozycji i popularności, jaką osiągnął mój mąż. Wcale niełatwo być w Polsce żoną wielkiego człowieka. Każdy chce „podyskutować”, uważa, że mam tyle czasu, że mogę poświęcić mu „choć pół godziny”... Nie sądzę, żebym robiła coś wielkiego.

Danuta Wałęsa o zasadach: – Każdy człowiek ma wpisany w swoje życie własny los, własne wydarzenia, spotkania, przeznaczenia. Moim jest zajmować się rodziną, dziećmi, troszczyć się o męża. Staram się wypełniać swoje obowiązki starannie. Jeśli na tej drodze, ze względu na dobro mojego męża, mam przyjąć u siebie w domu prezydenta Stanów Zjednoczonych, muszę dobrze się z tego zadania wywiązać. Takie są moje zasady.

Lech Wałęsa o małżeństwie: – Jesteśmy dziwnym małżeństwem. Nigdy nie dyskutujemy, nie kłócimy się, bo jak ja widzę, że żona jest coś nie tak nastawiona, to ja ustępuję. Kto się lubi, ten się czubi, a my odwrotnie. My się nie czubimy, ale chyba się lubimy, nie wiem. Nie zastanawiałem się nad tym. Ja to traktuję po staroświecku: żona to jest żona, ma mnie pochować, albo ja ją.

Lech o żonie: – Wspaniała kobieta, dobra żona, idealna matka. To ona utrzymuje naszą rodzinę, choć jest jej bardzo ciężko. Myślę, że jest większym bohaterem niż ja.

Danuta Wałęsowa dziś chce mieć przede wszystkim święty spokój. Spytana, dlaczego nie zamierza czynnie działać w Klubie Pierwszych Dam, odpowiada:

– Ja jestem „kombatantką”, nie mam nic wspólnego z pokoleniem dzisiejszych Pierwszych Dam. Życzę im, by z powodzeniem powołały to stowarzyszenie, ale niestety beze mnie.

Mogłaby pani przecież działać na rzecz rodzin, pyta dziennikarz.

– Ale przecież ja działałam na rzecz rodziny. I to jak! Moja rodzina jest bardzo liczna. Mam dzieci, mam wnuki, a to oznacza masę zajęć. To mi zajmuje cały mój czas.



Muszka
opowieść o Marii Kaczyńskiej



Lech Aleksander Kaczyński – polityk, profesor prawa. Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej w latach 2005-2010. Prezes Najwyższej Izby Kontroli w latach 1992-1995, minister sprawiedliwości i prokurator generalny w rządzie Jerzego Buzka, prezydent Warszawy w latach 2002-2005. Współzałożyciel i prezes partii Prawo i Sprawiedliwość. Razem z żoną zginął w katastrofie pod Smoleńskiem.



– Byli całe życie razem, blisko siebie, i będą. Ja bym też tak chciała – powiedziała tuż po katastrofie smoleńskiej Jolanta Kwaśniewska, wzruszona do łez. Ciała Marii i Lecha Kaczyńskich leżą we wspólnym grobowcu pod Wieżą Srebrnych Dzwonów w krypcie na Wawelu.

Po jej tragicznej śmierci 10 kwietnia 2010 roku ukazało się wiele „ostatnich wywiadów” z Pierwszą Damą, biografii, artykułów prasowych, książek. Choć oponenti Lecha Kaczyńskiego nawet w okresie żałoby narodowej nie mogli powstrzymać się od krytyki jego postaci, oszczędzali jego żonę. Przez blisko cztery lata prezydentury męża Maria kupiła sobie serca Polaków taktem i skromnością. A pamiętajmy, że musiała pokonać silny opór materii – tuż po ogłoszeniu wyników wyborów prezydenckich w 2005 roku niezyczliwe Kaczyńskim media i opozycyjni politycy nie szczędzili jej niewybrednych epitetów, z których „czarownica”, „Pinokio” czy „babcia narodu” były najłagodniejsze. Świadczy to tylko o wielkiej odporności i wewnętrznej sile, jaką dysponowała mała, krucha, niepozorna kobietka.

Rzeczywiście, Maria nie była pięknoscią. Nawet we wczesnej młodości. Brak urody rekompensował jednak wrodzony wdzięk i dobra figura. Potem, eufemistycznie mówiąc, starzała się z godnością. Jako żona prezydenta nie poprawiała urody za pomocą skalpela czy botoksu. Zachowała szczupłą sylwetkę (rozmiar 34), którą zachwycali polskich projektantów mody i stylistki z prasy kobiecej. Nie miała szczęścia do fotografów – prasa zwykle zamieszczała zdjęcia, na których wychodziła niekorzystnie. Dopiero po jej śmierci z archiwów zaczęto wyciągać fotografie, na których widać prawdziwą Marię Kaczyńską, ciepłą, uśmiechniętą, wyluzowaną. Bo chyba była zadowolona ze swojego życia. Mąż i jego brat bliźniak osiągnęli szczyty w karierze politycznej – Lech został prezydentem, Jarosław premierem. Miała kochającego męża, udaną córkę, dwie wnuczki.

Doskonale pasowali do siebie z Lechem. Mieli te same poglądy, zainteresowania. Podobne tradycje wynieśli z domów rodzinnych.

Korzenie rodziny Mackiewiczów, z której pochodziła Maria, sięgają za wschodnią granicę. Jej rodzice, Lidia i Czesław, byli repatriantami zza Bugu. Lidia, choć przyszła na świat w Sankt-Petersburgu, była wilnianką z krwi i kości. Czesław należał do AK. Jeden z jego braci

walczył w szeregach II Korpusu gen. Andersa pod Monte Casino, drugi brat zaś został zamordowany przez NKWD w Katyniu. Toteż Katyń, do którego leciała z mężem feralnego 10 kwietnia 2011 roku, był poniekąd dla niej cmentarzem rodzinnym.

Maria i jej brat Konrad urodzili się jeszcze na Wileńszczyźnie, w Machowie. Po wojnie, wraz z innymi Polakami Mackiewiczowie zostali repatriowani do Polski. Długo nie mogli znaleźć swojego miejsca. Najpierw mieszkali w Bydgoszczy, później w Człuchowie na Pomorzu, gdzie osiedlił się starszy brat Czesława. Po jakimś czasie przenieśli się do miejscowości Złotów na pojezierzu pilskim, gdzie Czesław otrzymał posadę leśniczego.

– Silny i odważny – wspominała Maria. – Na Wileńszczyźnie walczył w partyzantce AK, po wojnie został za to aresztowany. Kochał las i potrafił go słyszeć.

Lidia pracowała jako nauczycielka w szkole podstawowej w Złotowie. Ponieważ codziennie musiała dojeżdżać pociągiem do pracy, postanowili na stałe przenieść się do miasteczka. Zamieszkali w ponemieckim domu przy ulicy Domaniewskiego. Tak było lepiej dla dzieci, wątłych, chorowitych. Marysia urodziła się z wadą serca. Miewała częste krwotoki. Nie mogła bawić się z dziećmi, wychodzić na podwórko. Nawet chodzenie do szkoły było dla niej dużym fizycznym wysiłkiem. Konrad był tak zwanym niejadkiem. W tamtych czasach nie znano jeszcze takich dolegliwości, jak np. nietolerancja glutenu, więc brak apetytu u dzieci wiązano z predyspozycjami psychicznymi i nie leczono go właściwie. Ponieważ stan dzieci nie poprawiał się, domowy lekarz zalecił zmianę klimatu. Lidia wywozła je na długie wakacje do Rabki, znanego jeszcze sprzed wojny uzdrowiska dla najmłodszych. Rzeczywiście, w świeżym, górskim powietrzu pociechy nabrały rumieńców, apetytu. Lidia postanowiła, że zostaną w Rabce na stałe.

Była to trudna decyzja i wiązała się z rozbięciem rodziny. Czesław nie chciał porzucić ulubionej pracy, więc został w Złotowie. Czy za tą decyzją kryło się coś więcej niż tylko dobro dzieci? Czy małżeństwo Mackiewiczów przeżywało kryzys? Nie wiemy. Na pewno jednak Czesław tęsknił za żoną i dziećmi, często odwiedzał je w Rabce. Jak mawiała Maria, był „tatą dojeżdżającym”. Wspominała wyprawy z ojcem do lasu, na motocyklu. Po dźwiękach uczył ją rozpoznawać, jaki ptak śpiewa, po liściach i pniach gatunki drzew, zbierali grzyby, tropili leśne zwierzęta.

Lidia znalazła pracę wychowawczynie w jednym z sanatoriów dla dzieci po porażeniu mózgowym. Bardzo angażowała się w swoją pracę, a po godzinach działała społecznie, organizując młodzieżowe zespoły taneczne. Grywała w teatrze amatorskim.

Na początku wynajmowali pokój u górali. Nie były to jednak warunki do normalnego życia – brak kuchni, ograniczony dostęp do łazienki, dokuczliwa ciasnota, zwłaszcza gdy odwiedzał ich Czesław. Po jakimś czasie znaleźli więc opuszczone mieszkanie, które sami wyremontowali w zamian za przydział. Dawało im schronienie przez parę lat, choć warunki nadal dalekie były od komfortowych. Poprawiły się, gdy Lidia otrzymała przydział na mieszkanie w nowym osiedlu Rabczańskiej Spółdzielni Mieszkaniowej. Miała stąd niedaleko do pracy – zaraz za pobliskim parkiem znajdowało się jej sanatorium.

Maria skończyła w Rabce podstawówkę, potem liceum im. Eugeniusza Romera. Jej koleżanki pamiętają z tamtego okresu drobną, żywą, wesołą dziewczynkę. Nazywały ją „Musią” albo „Myszką”. To ostatnie imię bardzo do niej pasowało. Jak każda panienka, „Musia” miała pamiętnik, do którego wpisywały się przyjaciółki. Jedna z nich napisała: „Idź śmiało przez życie, miej wesołą minkę, łap szczęście za nogi i duś jak cytrynkę”. W jednym z późniejszych wywiadów Maria Kaczyńska stwierdziła, że stało się to jej życiowym mottem. Uczyli ją dobrzy profesorowie, jeszcze sprzed wojny. Najmłodszy z nich, katecheta, ksiądz Maliński, porywał młodzież swoimi kazaniami i imponował jazdą na nowoczesnym skuterze.

– Do dziś pamiętam profesora Tomaszewskiego, który uczył łaciny, historii i logiki,

profesora Madlera – postrach z matematyki, profesor Felicję Fulińską od chemii. Świetna kadra jeszcze ze Lwowa – wspominała Maria.

Jej dzieciństwo determinowała rozłaka z ojcem i ciężka choroba. W wieku 11 lat, mimo leczenia klimatycznego, jej stan pogorszył się na tyle, że przeszła w Warszawie operację serca. Przeprowadził ją prof. Manteuffel w szpitalu przy ul. Płockiej. (Po latach chodziła do tego samego szpitala w odwiedziny do teściowej, Jadwigi Kaczyńskiej). Po operacji wszystko skończyło się dobrze – Marysia odzyskała zdrowie na tyle, że mogła nawet uprawiać sport. Choć nie miała do niego większego zamiłowania, polubiła narty i chwaliła się zjazdami z Turbacza.

– Często mówię, że zaczęłam swoje życie z opóźnieniem – twierdziła.

Matka starała się stworzyć dzieciom normalny dom, miłością i ciepłem zrekompensować brak ojca i pieniędzy. Mimo że pracowała, a Czesław pomagał im finansowo, nie powodziło im się zbyt dobrze. W latach 50. i 60. niewielu Polaków opływało w dostatki. Lidia starała się zapewnić swoim dzieciom możliwie najlepsze wykształcenie. Marysia uczyła się gry na fortepianie pod okiem profesor Krystyny Głuszyńskiej. Co roku brała udział w popisach dzieci uzdolnionych muzycznie, organizowanych w rabczańskim kinie.

Lidia uczyła dzieci odpowiedzialności i samodzielności. Każde miało własne obowiązki w rodzaju wynoszenia śmieci czy sprzątanía. Wykonywanie ich było ściśle przestrzegane i odpowiednio punktowane. Od liczby punktów zależało, czy można będzie wyjść do kina lub na prywatkę. W miarę możliwości każdą wolną chwilę poświęcała dzieciom. Wieczorami czytała im na głos książki Andersena, Makuszyńskiego, Brzechwy. Ten zwyczaj głośnego czytania przejęła po niej Maria, która czytywała swoim wnuczkom przed snem.

W 1961 roku „Muszka” zdała maturę i zadała sobie pytanie, co dalej. Marzyła o medycynie, ale rodzina zniechęciła ją do tego zawodu, argumentując, że ma zbyt słabe zdrowie. W grę wchodziła również romanistyka. Marysia uczyła się francuskiego u znakomitej prof. Madlerowej, która namawiała ją do dalszych studiów. „Co będziesz robiła po romanistyce?” – pytała jednak Lidia. W latach 60. możliwość wyjazdu z Polski była ograniczona. Na polskim rynku nie działały zachodnie firmy. Pozostawała do wyboru praca w szkole albo tłumaczenie książek. Do jednego i drugiego, nawiasem mówiąc, niskopłatnego zajęcia trzeba jednak określić predyspozycji, których Maria nie miała.

– Rok przed maturą spędzałam wakacje w Sopocie. Pogoda była nie najlepsza, ale i tak bardzo mi się tam podobało. W informatorze odkryłam, że jest tam Wyższa Szkoła Ekonomiczna. Wybrałam kierunek transport morski. Podjęłam decyzję. Nigdy nie miałam z tym większych problemów. Od dziecka potrafiłam postawić na swoim. Wtedy chciałam uczyć się języków obcych i podróżować. W tamtych czasach było to dość trudne – opowiadała.

Dostała się na pierwszy rok bez kłopotów, zamieszkała w akademiku. Najpierw w pokoju pięcioosobowym, a potem w dwuosobowym. Finansowo było dosyć kiepsko, ale nie przejmowała się – mieszkała w najładniejszym polskim mieście, nad morzem, miała nowych przyjaciół. Chodziła na plażę, wieczorami bawiła się w klubach studenckich: „Łajbie”, „Medyku” czy „Wysepce” Politechniki Gdańskiej.

– Kiedy przyjechałam do Sopotu, wzięłam odpowiedzialność za swoje sprawy. Byłam rzucona na głęboką wodę, nikt za mnie niczego nie załatwiał. Mama miała do mnie zaufanie, w przeciwnym razie nie mogłabym wyjechać tak daleko od domu. Nie było wtedy komórek, a rozmowę telefoniczną zamawiało się na pocztę i niekiedy czekało parę godzin na połączenie – wspominała.

Była zadowolona ze studiów, przekonana, że po ich zakończeniu czeka ją ciekawe życie, pełne podróży, nowych miejsc i barwnych ludzi.

– Studia okazały się interesujące – wspominała. – Poza tym poznałam język angielski,

hiszpański, kontynuowałam naukę francuskiego i rosyjskiego. Jednak po studiach przyszło rozczarowanie. Dzisiaj powiedziałabym, że dotknęła mnie dyskryminacja płci. Koledzy dostawali świetne posady w centralach handlu zagranicznego, a ja i niektóre moje koleżanki o takich stanowiskach mogłyśmy tylko marzyć.

W 1966 roku obroniła pracę magisterską. Nie mogła specjalnie wybrzydzać, musiała sama się utrzymać. Zaczęła więc pracować w Instytucie Morskim – jednostce resortowej Ministerstwa Gospodarki Morskiej. Zajmowała się rynkami azjatyckimi, badała perspektywy rozwoju rynków frachtowych na Dalekim Wschodzie. Namawiano ją, by robiła doktorat, ale nie zdecydowała się, uważała, że nie ma „osobowości naukowca”.

W 1976 roku rodzinę Mackiewiczów spotkała tragedia – ojciec zginął w wypadku. Samochód, który prowadził, zjechał z nasypu. Jeszcze żył, gdy przewieziono go do szpitala. Tam zdiagnozowano pęknięte żebro. Nie zrobiono jednak prześwietlenia, a kość przebiła płuco. Rodzina była przekonana, że zmarł z powodu błędu personelu medycznego.

W tym samym roku Maria poznała Lecha.

– Kiedyś moja przyjaciółka z Instytutu Morskiego zapytała, czy nie pomogłabym znaleźć mieszkania w Sopocie dla sympatycznego kolegi z Warszawy, który był asystentem na wydziale prawa. Zgodziłam się, umówiła nas na spotkanie. To był styczeń 1976 roku. Pamiętam, że tego dnia było bardzo mroźno. Z Leszkiem od razu przypadliśmy sobie do gustu – opowiadała dziennikarce „Twojego Stylu”.

Lech Kaczyński był rodowitym warszawiakiem z Żoliborza. Pochodził z rodziny inteligenckiej o kresowych korzeniach szlacheckich. Ojciec Rajmund, z zawodu inżynier, w czasie II wojny światowej jako żołnierz Armii Krajowej walczył w Powstaniu Warszawskim, za co otrzymał Krzyż Walecznych i srebrny krzyż *Virtuti Militari*. Jego matka, Jadwiga z domu Jasiewicz, była absolwentką filologii polskiej na UW, przez wiele lat pracowała w Instytucie Badań Literackich PAN. Przy porodzie Lecha i jego brata bliźniaka Jarosława asystowała jako położna matka poety Tadeusza Gajcego, zabitego w Powstaniu Warszawskim. Lech miał na swoim koncie krótki, lecz głośny epizod filmowy – w 1962 roku obydwaj bracia zagraли role Jacka (Lech Kaczyński) i Placka (Jarosław Kaczyński) w ekranizacji powieści Kornela Makuszyńskiego *O dwóch takich co ukradli księżyc* w reżyserii Jana Batorego. Po skończeniu Wydziału Prawa i Administracji UW Lech przeniósł się na Katedrę Prawa Pracy Uniwersytetu Gdańskiego. W lecie 1976 roku po wydarzeniach w Ursusie i Radomiu zaangażował się w działalność opozycyjną. Odpowiadając na apel KOR-u, podjął akcję zbierania pieniędzy dla represjonowanych robotników, które za pośrednictwem mamy Jadwigi przekazywał Janowi Józefowi Lipskiemu.

Przez trzy lata mieszkał w Sopocie w sublokatorskim pokoiku „odziedziczonym” po koleżance Dance Kilian.

– Nauczyłem się mieszkać w obcym mieszkaniu, chociaż dzisiaj wydaje mi się to bardzo dziwne – mówił w książce *O dwóch takich...* – Mieszkało się tam dobrze, chociaż komandor Sowa, właściciel tego mieszkania, był zaprzysięgłym wrogiem Warszawy. Wierzył, że warszawiacy zarabiają tyle, że zgarniają pieniądze szufelkami. Przestałem z nim w końcu rozmawiać.

Przyznał kiedyś, że już po dwóch tygodniach po pierwszym spotkaniu Marylka stała się mu bliska. „Byliśmy jak dwie połówki tego samego owocu” – powiedział. Ona też miała wrażenie, że zna go od dawna. Nie zdawała sobie jednak sprawy z tego, że spotkała swojego przyszłego męża. „Miał coś dobrego w spojrzeniu, gęste, czarne, rozwichrzone włosy i był bardzo miły” – wspominała. Wyglądał tak młodo, że rodzice jego studentów brali go za ich kolegę. Maria też nie wyglądała na swój wiek, choć była starsza od Lecha o siedem lat: miała 33

lata, on 26. Lech zachwycony był Marylką jeszcze z tego powodu, że wreszcie trafił na dziewczynę, od której był... wyższy. Przy jego wzroście – 1,68 m – nie było to łatwe. Maryla ze swoim wzrostem (1,57 m) mogła przy nim nosić szpilki, co zresztą bardzo lubiła.

– Trudno jest opowiedzieć, jak się rodzi miłość – mówiła Maria. – Leszek był ciepły, troskliwy, miałam do niego zaufanie. Wiedziałam, że jeśli coś mi obiecał, to dotrzyma słowa. Imponował mi wiedzą, doskonale znał historię, tę prawdziwą wersję. Zdawałam sobie sprawę, że prawda jest inna niż to, czego uczono mnie w szkołach.

Spędzali ze sobą dużo czasu. Maria pomogła mu przepisywać kolejne wersje pracy doktorskiej, które odrzucał nieżyczliwy mu promotor. Być może wpłynął na tę pomoc swoisty szantaż ze strony Lecha. Postawił warunek: najpierw doktorat, potem małżeństwo. Po latach przyznał, że była to z jego strony dziecinada. Po jakimś czasie Lech nabrał do przyjaciółki takiego zaufania, że wtajemniczył ją w swoją działalność opozycyjną. Sama zaczęła się angażować.

– Pierwsza wpadka miała miejsce w czerwcu 1978 roku w drodze z Gdańska do Warszawy – wspominał Lech w *O dwóch takich...* – Z tym, że nie była to klasyczna wpadka. Mieliśmy wtedy, ja i Marylka, wziąć kilkadziesiąt sztuk Biuletynu Informacyjnego KOR. Coś nas oświeciło i w ostatniej chwili nie wzięliśmy. Zwinęli nas najpierw na Dworcu Centralnym, a potem drugi raz na stacji w Sopocie. Akcją kierował niejaki kapitan Wąsala. Tytułował mnie „panie magistrze”. Zwolnili nas, bo nic przy sobie nie mieliśmy. Wróciliśmy wtedy do naszych wynajętych pokojów w willi. To była trudna noc. Mieliśmy tam olbrzymi magazyn literatury. Część ukryliśmy w piwnicy, nasi gospodarze twardo spali, i byliśmy przekonani, że rano będzie rewizja. Bałem się przede wszystkim tego, że stracimy mieszkanie. Zięć naszej gospodyni był reżimowym dziennikarzem. Do niczego jednak nie doszło.

Rodzina Marii od początku polubiła Leszka. Z panią Jadwigą Kaczyńską było trochę trudniej. Kręciła nosem na jej zdaniem zbyt dużą różnicę wieku. Dopiero po latach, widząc, jak Maria troskliwie opiekuje się mężem i córką, przekonała się do synowej.

W 1978 roku Kaczyńscy pobrali się, a w 1980 roku na świat przyszła ich córka Marta. Na początku mieszkali w dwóch pokojach starej willi. Bez kuchni – na szafce stały prozod i elektryczny czajnik. Wspólna łazienka. Po jakimś czasie przeprowadzili się w wynajmowanej kwatery do 36-metrowego mieszkania przy ul. Mickiewicza. Maria zrezygnowała z pracy. Postanowiła zająć się dzieckiem. Nie miała w Sopocie żadnej rodziny, nie mogła więc liczyć na pomoc w wychowywaniu córki. W późniejszych wywiadach trochę bagatelizowała tę swoją decyzję.

– Czy się poświęciłam? Praca w instytucie nie dawała mi satysfakcji. Robiłam specjalizację z reklamy w handlu zagranicznym i tym chciałam się zajmować, jeździć po świecie, ale wówczas nie miałam na to szans. Nie mówiąc o tym, że zaangażowanie męża w działalność opozycyjną sprawiało, że jedni się bali, drudzy nie ufali.

W sierpniu 1980 roku, gdy córka miała dwa miesiące, Lech poszedł na strajk do Stoczni Gdańskiej.

– Gdybym stanowczo powiedziała „Nie idź”, to może by nie poszedł – mówiła pani Maria dziennikarce „Twojego Stylu”. – Ale ja miałabym wyrzuty sumienia, że w czymś ważnym przeszkodziłam, że mu coś zabrałam. Jasne, denerwowałam się, gdy przynosił do domu różne rzeczy, bibułę, chowałam. Jak miał zawieźć do Warszawy ważny dokument, uczył się treści na pamięć, ja go przepytывałam, potem jechał i tam dyktował, żeby nie mieć przy sobie papierów w razie rewizji. Bałam się, że go zamkną. A dałam sobie radę. Nie byłam samotna. Miałam wokół przyjaciół, którzy o nas pamiętali.

Maria z dzieckiem w wózku przychodziła pod bramę stoczni i jak inne kobiety pytała

o przebieg protestu. Peerełowskie media dawkowały albo przekłamywały informacje. Maria, podobnie jak inne rodziny strajkujących, bała się, że władze rozwiążą ten problem siłą. Wszyscy mieli jeszcze w pamięci krwawe wydarzenia z 1970 roku.

– Życie w ogóle jest niebezpieczne – mówiła. – Ale nie sposób żyć w ciągłych obawach. Życ w trwodze, to dziękuję bardzo. Zawsze zakładam, że musi być dobrze.

I było. Ale krótko. Lech, zaangażowany w tworzenie Solidarności i członek jej pierwszych władz, został internowany jako jeden z pierwszych opozycjonistów.

– 12 grudnia poszedłem na zajęcia ze studentami zaocznymi – tak opisywał ten dzień. – Nie zauważyłem, że nie ma studentów esbeków. Nie zauważyłem, bo zazwyczaj zamieniałem ćwiczenia w wykłady i nie sprawdzałem obecności. Zresztą studenci utrzymywali dyscyplinę, a kto kim jest, dowiadywałem się najwyżej z indeksu. Wróciłem do domu, córka już spała. Wieczorem oglądaliśmy film w telewizji i w pewnym momencie, w środku akcji, na ekranie pojawiła się jakaś pani i ogłosiła, że kończymy program. Czasem się sobie dziwię, że wtedy nie włożyłem kurtki i nie uciekłem. To był wyraźny sygnał. Kilka minut później usłyszałem cichuteńki dzwonek do drzwi. W tamtym mieszkaniu były jeszcze dodatkowe kraty, też zamykane. Pamiętam, że żona zapytała: „Kto to może być?”, a ja odpowiedziałem: „Na pewno nic dobrego”. Wyszedłem, zobaczyłem jakiegoś faceta, który rzucił idiotyczne słowo: „Poczta”. Wiedziałem, że to nie żadna poczta, ale nie miałem wyjścia. Wkroczył esbek w cywilu, a za nim trzech milicjantów, jeden z drogówki. Powiedzieli, że jest dekret o stanie wojennym, na podstawie którego zostaną internowani. Dali mi dokument, na którym był jednak zły adres, sprzed przeprowadzki. A więc listy były przygotowywane dużo wcześniej. Na tej kartce na dole było napisane: Czarne albo Strzebielinek. O pierwszym miejscu wiedziałem, że to ciężkie więzienie, o drugim nic. Gdy mnie wyprowadzali, szarpnęli nagle i pociągnęli mnie na klatce schodowej w stronę drzwi sąsiadów. Żona się przestraszyła i zaczęła krzyczeć. Opuścili. Po prostu chcieli mi założyć kajdanki, a nie chcieli tego robić przy mojej żonie. Założyli je w windzie.

Maria: – Miałam wtedy starego malucha, akumulator się rozładował, więc wsadziłam małą Martę w futrzany śpiworek, na sanki i do przyjaciół – wspominała w wywiadzie dla „Twojego Stylu”. – Naiwnie myślałam, że od nich zatelefonuję, bo w domu telefon nie działał, a Leszek prosił, żebym zawiadomiła „kogo trzeba”. Tamtej nocy już nie zasnęłam. Przesiedziałam w oknie do rana, trzęsąc się. Rozpłakałam się, dopiero gdy spotkałam mamę, która z wielogodzinnym opóźnieniem przyjechała pociągiem z Warszawy nieświadoma tego, co stało się w nocy. Mogłam się wyżalić: „Leszka zabrali”.

Dopiero w okolicach świąt Bożego Narodzenia dowiedziała się, gdzie siedzi mąż. Były rozdzierające wizyty w obecności strażnika. Zima, las, kraty w oknach – to wszystko budziło najgorsze skojarzenia. Gułag. Przyznawała, że w tamtym okresie nie wierzyła, że Polska odzyska suwerenność. Jeździła sama, maluchem, zostawiając Martę pod opieką przyjaciół. Czasem, gdy „maluch” odmówił posłuszeństwa, przywoził ją do Strzebielinka Krzysztof Żukowski, przyjaciel Kaczyńskich z Sopotu. Należał do Stronnictwa Demokratycznego, ale pewne różnice światopoglądowe nie przeszkadzały im we wzajemnych ciepłych kontaktach. Żukowscy opiekowali się Marią i ich maleńką córeczką Martą, gdy Lech zajęty był działalnością opozycyjną.

Lech wielokrotnie podkreślał, że stanu wojennego nie przetrwałby bez żony, jej siły i wrodzonego optymizmu. A także bez jej zaradności i samochodu. Było tajemnicą poliszynela, że ani Lech, ani Jarosław nie zrobili prawa jazdy i nie potrafili prowadzić auta. Po wypuszczeniu Lecha na wolność w październiku 1982 roku, podobnie jak wcześniej, domem zajmowała się Maria. Robiła zakupy, załatwiała wszystkie sprawy domowe, była też osobistym kierowcą Lecha,

woząc go „maluchem” na przeróżne zajęcia i spotkania.

– Mąż jak mógł zajmował się Martą, ale tak naprawdę wszystkie sprawy domowe i organizacja naszego życia należały do mnie – mówiła. Dodatkowo dorabiała do niezbyt wysokiej męzowskiej naukowej pensji, dając korepetycje i robiąc tłumaczenia z angielskiego i francuskiego. No i przede wszystkim wychowywała córkę.

Z wczesnego dzieciństwa Marta słabo pamięta ojca. Więcej czasu poświęcał działalności opozycyjnej niż córce. Toteż czasem myliła Lecha i Jarosława.

– Leszek i Jarek zawsze byli bardzo podobni do siebie – wspominała pani Maria w rozmowie z Anitą Gargas w 2005 roku. – Gdy Marta była malutka, ale już świadomie rozpoznawała rodziców, pewnego razu zjawił się w Sopocie Jarek. Męża nie było, więc Marta bawiła się z Jarkiem jak ze swoim ojcem. Myślała, że to tata. Gdy przyszedł mąż – Marta zdębiała. Popatrzyła na jednego, na drugiego, a potem na mnie z obawą, czy ja też nie jestem podwójna – i rozplakała się. Nie wiedziała, który jest który. Niedawno też było bardzo śmiesznie, bo podobną sytuację mieliśmy z Ewą (córką Marty – przyp. A. P.). Przyjechała z mamą do Warszawy. Przedtem swojego dziadka i dziadka stryjecznego widywała tylko oddzielnie. I raptem zobaczyła Leszka i Jarka razem. Oczywiście osłupiała. Dwuletnia dziewczynka była zupełnie zdezorientowana. Przez dobrą chwilę przenosiła wzrok z jednego na drugiego i po chwili oświadczyła: „Mam dwa dziadki!”.

Gdy wybuchły strajki w 1988 roku, w których Lech brał czynny udział, Maria postanowiła na ten okres wyjechać z córką z Sopotu. Chciała izolować wiele już rozumiejącą Martę od nerwowych wydarzeń. Nie na wiele jednak to się zdało. Maria codziennie telefonowała do znajomych, przyjaciół w Gdańsku i na bieżąco dzieliła się z córką informacjami.

Marta od wczesnych lat była stanowczą, nad wiek rozwiniętą i inteligentną osobką. Potrafiła postawić na swoim. Chciała zostać tancerką. Sama wymyśliła sobie ten zawód w dzieciństwie i zdołała do swojej koncepcji przekonać rodziców. Zapisali ją do szkoły baletowej. Miała do tego znakomite warunki: wysoka, szczupła, o dobrej koordynacji ruchów. Niestety kontuzja kolana przekreśliła te plany. W rezultacie Marta poszła śladem ojca i skończyła prawo na Uniwersytecie Gdańskim.

Lech i Maria starali się wychowywać córkę „po partnersku”. Zamiast awantur – dyskusja, rozmowa, pojedynki na argumenty. Nawet w czasach, gdy Marta przeżywała nastoletni bunt, nosiła agrafki, glany, słuchała „Dezertera”, jej matka unikała rozwiązań „siłowych”.

– Boże, jak ja się zdenerwowałam, gdy Marta przekłuła sobie jedno ucho! – uśmiechała się pani Maria. – U nas w rodzinie nikt nie nosił kolczyków. Powiedziałam: „Masz iść i przekłuć sobie drugie!”.

Późniejsze powroty z imprez Marta zwykle negocjowała z ojcem. Gdy jej nieobecność się przedłużała, Lech nękał ją telefonami. Odbierała je, bo bała się, że ojciec osobiście zjawi się na imprezie. Wstyd. Zawsze czekał na nią, dopóki nie wróciła. Przyjaciółka domu, Hanna Fołtyn-Kubicka tak opisywała dom Kaczyńskich:

– To był dom z tradycjami. Ta etykieta, nie dworska oczywiście, ale normy obyczajowe, chociażby zachowanie przy stole, odzywanie się do dorosłych, ta cała kindersztuba była bardzo ważna. Marta nie była traktowana jak jedynaczka, której wszystko wolno. Marylka była zawsze damą, więc Marta też była taka „damowata”.

Jako wyznawczynie tradycyjnych poglądów, Maria martwiła się rozwodem swojej córki.

– Rozstania są zawsze trudne, zwłaszcza gdy w małżeństwie jest dziecko. Marta nie chce o tym mówić publicznie, więc i ja nie będę upubliczniać szczegółów z jej prywatnego życia – tłumaczyła wścibskim dziennikarzom. Kaczyńscy, gdy dowiedzieli się od młodego prawnika, Marcina Dubienieckiego, że Marta jest z nim w ciąży, „przyjęli wiadomość zupełnie naturalnie

i z dużym wyczuciem”, jak stwierdził przyszły zięć. Pogodzili się z wyborem córki, choć Dubieniecki pochodził z innych kręgów towarzyskich i politycznych: jest synem funkcyjnego działacza Sojuszu Lewicy Demokratycznej z Kwidzyna.

– Każdy człowiek ma tylko jedno życie i układa je tak, jak umie najlepiej. Dla mnie najważniejsze jest to, że Marta jest szczęśliwa i trafiła na człowieka, który jej odpowiada. Teraz cieszymy się, że nasza rodzina się powiększy – skomentowała to Maria z właściwą sobie klasą.

Tak naprawdę Maria nigdy nie miała prawdziwego domu. A zawsze marzyła o takim prawdziwym, rodzinnym mieszkaniu „z klimatem”. To marzenie udało jej się zrealizować dopiero w latach 90., gdy Lech pracował w Kancelarii Prezydenta Wałęsy. Dostali wtedy przydział, a potem wykupili na własność 130-metrowe mieszkanie w Sopocie przy ulicy Armii Krajowej 55. Było to tradycyjne, przedwojenne lokum z dużymi oknami i dwuskrzydłowymi drzwiami do salonu. W wykupie mieszkania pomogła im finansowo matka Marii.

Maria urządziła mieszkanie skromnie, ale w ulubionym przez Lecha „mieszczańsko-inteligenckim” stylu. Ze smakiem, ale bez nowobogackiej przesady. Dominujący przedmiot – książki, książki i jeszcze raz książki. A także wiele płyt i dobry odtwarzacz. Obydwoje lubili muzykę – poważną, a także Leonarda Cohena, Chrisa Reę.

No i zwierzęta. Obydwoje kochali zwierzaki. Do Pałacu Prezydenckiego wprowadzili się z dwoma kotami i dwoma psami. Kot Rudolf otrzymał z racji swojej urody i powłóczystego spojrzenia imię po Valentino. Maria wypatrzyła go na aukcji charytatywnej przeprowadzanej na rzecz schroniska dla zwierząt. Bura kotka Molly była przybłądą, podobnie jak suczka Lula, która wskoczyła do samochodu Lecha na stacji benzynowej. Najbardziej wyrazisty charakter miał czarny szkocki terier Tytus. Gryzł gości po nogach, potrafił nawet capnąć swojego pana. Znajomi Kaczyńskich nie bez powodu nazywali go „Tyfusem”.

Gdy Lech przeszedł na stanowisko szefa Naczelnej Izby Kontroli, Maria nie chciała przeprowadzić się do Warszawy. Sopot – to było, jak twierdziła, jej miejsce na ziemi. Bardzo dobrze też czuła się w mieszkaniu przy Armii Krajowej. Dopiero gdy mąż został prezydentem Warszawy, przeniosła się do stolicy, do wynajętego mieszkania przy ul. Czerwonego Krzyża na Powiślu. Na początku sceptycznie nastawiona do Warszawy, szybko zaaklimatyzowała się w nowym miejscu. Może dlatego, że stara przedwojenna kamienica przypominała klimatem sopocki dom. W sopockim mieszkaniu zamieszkała Marta z pierwszym mężem Piotrem Smuniewskim i córką Ewą. Często odwiedzali rodziców w Warszawie. Lech nawet polecił zainstalować w drzwiach specjalną huśtawkę dla ukochanej wnuczki.

Nie namieszkali się tam jednak długo. Po wygranych wyborach trzeba było przenieść się do siedziby prezydenta w pałacu na Krakowskim Przedmieściu. Narzekali: „To nie mieszkanie, ale komnaty!”. Po zakończeniu kadencji chcieli wrócić do Sopotu. Planowali, że kupią jakiś przytulny dom w cichej dzielnicy.

Dwa lata przed katastrofą smoleńską Holendrzy wyhodowali nową odmianę tulipanów „Maria Kaczyńska”. Maria była pierwszą Polką uhonorowaną w ten sposób. To żółte, wytworne kwiaty, eleganckie i pogodne. Odporne i trwałe. Tak jak ich imienniczka.

– Była z niej typowa „żona żołnierza” – twierdzi Hanna Fołtyn-Kubicka. – Dzielna, mądra i pogodna. Wierna. Kobieta, na której mężczyzna zawsze może polegać.

Zginęła, jak na „żonę żołnierza” przystało – towarzysząc mężowi podczas oficjalnej wizyty.



Piękna Anka
opowieść o Annie Komorowskiej



Bronisław Komorowski – polityk, z wykształcenia historyk, od 6 sierpnia 2010 roku Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej. Poseł na Sejm I, II, III, IV, V i VI kadencji. Minister obrony narodowej w rządzie Jerzego Buzka, na początku lat 90. wiceminister w tym resorcie. Wicemarszałek Sejmu V kadencji z ramienia PO, od 2007 do 2010 marszałek Sejmu RP VI kadencji.



Jest trzecią z kolei żoną opozycjonisty, która została Pierwszą Damą. Bronisław Komorowski wygrał w 2010 roku przyspieszone wybory prezydenckie po katastrofie smoleńskiej, w której zginął Lech Kaczyński. Swojego rywala, Jarosława Kaczyńskiego, kawalera, pokonał ponad 3 procentami głosów. Może zawdzięczał to budzącej sympatię małżonce?

Spośród innych Pierwszym Dam, wywodzących się ze środowiska opozycyjnego, Anna Komorowska w rankingach (liczba dzieci, wykształcenie, znajomość języków obcych itp.) zajmuje medalowe drugie miejsce. Na pewno jednak, co podkreślają znajomi, przebija swoje koleżanki takimi cechami charakteru, jak stanowczość, pragmatyzm i ciepło. Stefan Niesiołowski, żartobliwie porównując Annę Komorowską z Carlą Bruni, chwali powściągliwość pani Anny w stosunku do mediów. Śmiałe wypowiedzi żony kilkakrotnie zaszkodziły Sarkozy'emu. W przypadku Komorowskich jest raczej na odwrót.

– No i różnica jest jeszcze taka, że u Anny zawsze są ciepłe garnki na piecu, a u pani Bruni chyba niekoniecznie – dodaje z uśmiechem Niesiołowski.

Niechęć do udzielania wywiadów na pewno wynika u niej ze strachu przed rozgłosem. Obserwując kariery prezydenckich dzieci, zdaje sobie sprawę z tego, że czasem cienie tłumią blaski celebryckiej popularności. Chciałaby oszczędzić tego swojej rodzinie. Bo, jak twierdzi, rodzina jest dla niej najważniejsza.

Tuż przed wyborami prezydenckimi w kulisach sejmowych niektórzy politycy PO krzywili się na kandydaturę Bronisława Komorowskiego, mówiąc, że „ma problem żony”. W kampanii wyborczej opozycja „taktownie” nie poruszała tego wątku, a Platforma Obywatelska na afisze wystawiała arystokratyczne korzenie Bronisława i jego bohaterską, opozycyjną kartę. Niestety, noblesse oblige: jeśli weszło się na sam szczyt, jest się łatwym celem do strzałów. Politycy – zwłaszcza ci ze świecznika – mają ograniczone prawo do prywatności. Święte prawo wyborców wiedzieć, na kogo głosują, skąd się wywodzi ich kandydat, jakie jest jego wyznanie, poglądy, sytuacja materialna. A także – kim jest jego współmałżonek.

I taki strzał padł, choć nie śmiertelny, bo dopiero po kampanii wyborczej. Niechętna Platformie Obywatelskiej „Gazeta Polska”, opierając się na materiałach z IPN, opublikowała

tekst na temat pochodzenia Pierwszej Damy. Do tych informacji, jak wszystkich, wyciągniętych z archiwów służb bezpieczeństwa, należy jednak podchodzić z dużą rezerwą. Niemniej, znajdują się one na stronie poświęconej Annie Komorowskiej, w Wikipedii, zaś do dziś nie ukazała się żadna inna, pełna i rzetelna biografia Pani Prezydentowej.

Sięgnijmy do cytowanych akt. Anna jest od pokoleń warszawianką. Jej dziadkowie ze strony matki, Wolf i Estera Rojer pochodzili z klasy średniej, pracowali w masarni. 24 stycznia 1929 roku urodziła im się córka Hana. Naukę dziewczynki w szkole powszechnej przerwał wybuch wojny. Między wierszami lakonicznego życiorysu, pisanego po wojnie przez Hanę, przebija okupacyjna tragedia żydowskiej rodziny: Wolf zmarł w Otwocku w 1942 roku, Esterę, która starała się przeżyć i utrzymać córkę, Niemcy rozstrzelali w 1943 roku za nielegalny handel. Mała Hana została sama. Na szczęście zaopiekowali się nią znajomi rodziców – Jan i Stanisława Deptułowie. Wyrobili jej aryjskie papiery: odtąd nazywała się Józefa Deptuła i była ich córką. Dzięki temu uniknęła losu wielu innych żydowskich dzieci – getta, komory gazowej. Zamieszkała w ich domu przy ulicy Radzymińskiej na warszawskiej Pradze. Deptułowie, ratując dziewczynkę, nie zważali na to, że całej rodzinie grozi za to śmierć ze strony niemieckiego okupanta.

Niedługo jednak pisana była Hanie – Józefie spokojna egzystencja. W 1943 roku została zatrzymana podczas łapanek i wywieziona na roboty do Niemiec. Oczywiście jako Polka, Józefa Deptuła. Na początku pracowała u niemieckiej rodziny jako pomoc domowa, potem została przeniesiona do fabryki amunicji. Czternastoletnia dziewczynka! Twardy charakter jednak pozwolił jej przetrwać – nie dość, że ciężko pracowała, to jeszcze należała do tajnej organizacji, zajmującej się sabotażem.

Po wyzwoleniu przez wojska amerykańskie wróciła w sierpniu 1945 roku do Polski. Początkowo zamieszkała u kuzynki w Białymstoku. Kuzynka namówiła ją, żeby starała się o pracę w Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego. Od maja 1946 roku Józefa zaczęła tam pracę jako sekretarka. Potem przeniosła się do Szczecina. Należała do PPR (potem PZPR) i Związku Walki Młodych.

Charakterystyki ma negatywne – czytamy w kuriozalnym dokumencie MBP z 22 sierpnia 1952 roku. Jest to odpowiedź na raport niejakiego Jana Dziadzia w sprawie „udzielenia zezwolenia na zawarcie związku małżeńskiego z sierżant Deptułą Józefą, córką Jana, sekretarką VIII WUBP w Szczecinie”. Funkcjonariusze MBP musieli mieć pisemną zgodę przełożonych na ślub. I taka zgoda została wydana. Józefa została służbowo przeniesiona do Warszawy i formalnie zalegalizowała swoje okupacyjne nazwisko. 21 września 1953 roku w Urzędzie Stanu Cywilnego Warszawa Mokotów Jan Dziadzia i Józefa Deptuła wzięli ślub.

O ile wybór miejsca pracy przez Józefę ma psychologiczne wytłumaczenie – młoda kobieta, której dzieciństwo i młodość upłynęły w ciągłym strachu przed śmiercią, chciała w powojennej Polsce znaleźć się w grupie „trzymającej władzę” – o tyle droga życiowa jej męża wydaje się bardziej zdeterminowana konkretnymi poglądami.

Jan Dziadzia urodził się i wychował w Krakowie. Jego ojciec Władysław pracował jako woźny w krakowskim oddziale PKO. Matka Zofia prowadziła dom. Jan był starszy od swojej przyszłej żony o cztery lata. We wrześniu 1939 roku ukończył II klasę gimnazjum. Na jesieni 1940 roku zaczął naukę w szkole rzemiosł, ale szybko przeniósł się na kurs przygotowawczy do liceum budowlanego. Po jego ukończeniu zaczął uczyć się w Wyższej Szkole Budownictwa Wodnego. Niestety musiał przerwać naukę, bo jako Polak, 17-latek, otrzymał nakaz pracy w przemyśle niemieckim. Rozpoczął pracę w Centralnym Urzędzie Rolnictwa. Przygotowania do matury przerwało mu powołanie do wojska w kwietniu 1945 roku. W lipcu odkomenderowano go do II Armii Wojska Polskiego gen. Karola Świerczewskiego, gdzie został szefem kancelarii

Inspektoratu Osadnictwa Wojskowego w Poznaniu. Awans zawdzięczał między innymi bardzo dobrej znajomości języka niemieckiego. I wykształceniu, które na tle powojennego braku kadr było nieprzeciętne. W czasie służby wojskowej, która trwała do 1946 roku, wstąpił do PPR.

W 1948 roku złożył podanie o przyjęcie do pracy w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego. Rok później, jak wielu innych świeżo powołanych funkcjonariuszy, wyrecytował przed płk. Józefem Kratko następujące ślubowanie (cyt. za „Gazetą Polską”): „Ślubuję uroczyste stać na straży wolności, niepodległości i bezpieczeństwa państwa polskiego, dążyć ze wszystkich sił do ugruntowania ładu społecznego opartego na wewnętrznych, gospodarczych i politycznych zasadach ustrojowych Polski Ludowej i z całą stanowczością, nie szczędząc swoich sił, zwalczać jego wrogów”.

11 maja 1953 roku państwu Deptułom urodziła się córka Anna, przyszła Pierwsza Dama. Od 1954 roku już Anna Dembowska, bo jej ojciec złożył wniosek o zmianę nazwiska. Zdaniem, autorki tekstu w „Gazecie Polskiej”, powodem było zerwanie przez Jana kontaktów z ojcem z powodów ideologicznych (matka zmarła w 1944 roku). Jak wielu innych funkcjonariuszy MBP, państwo Dembowscy zamieszkali na Mokotowie. Jaki był dom rodzinny Anny?

– Ciepły, życzliwy, troskliwy, choć bez luksusów – opowiadała dziennikarzowi „Twojego Stylu”. – Mam młodszą siostrę (Elżbietę – dop. A.P.), która krótko po maturze wyjechała do Anglii. Rodzice nie protestowali, uważali, że każda z nas dokonuje wyborów sama. Obserwowali, ale dawali duży margines wolności. Pamiętam, jak tata przyjechał na mój pierwszy obóz harcerski. Trafił niefortunnie, kuchnia, w której miałam dyżur, nie odniosła tego dnia szczególnych sukcesów kulinarnych. Tata zauważył, że to sztuka przypalić kompot.

Do 1968 roku Dembowscy pracowali w urzędzie. W 1954 roku Jan – w Departamencie IV (ochrona gospodarki), Józefa zaś kierowała kancelarią Wydziału Ogólnego Urzędu Bezpieczeństwa M. St. Warszawy. Dwa lata później przeniosła się do wydziału ewidencji operacyjnej „C” Komendy Stołecznej Milicji Obywatelskiej. Z kolei Jan po kursie aktywu kierowniczego MBP na własną prośbę został skierowany do pracy operacyjnej. W 1966 roku Józefa zostaje oddelegowana do grupy specjalnej Biura „C”.

Wszystko zmienia antysemitka nagonka w 1968 r. W wyniku donosów, obydwójce zostają zwolnieni z pracy – przechodzą na emeryturę. Bardzo wcześnie: ona ma 39 lat, on 43 lata.

Rodzice dbali o staranne wychowanie córek. Anna uczyła się w tym czasie w jednym z najbardziej renomowanych warszawskich liceów im. Reytana. Aktywnie zaangażowała się w harcerstwo.

– Byłam bardzo związana ze szkołą – wspomina. – Miałam w niej i w rejtaniackiej drużynie harcerskiej, Czarnej Jedyńce, wielu znajomych. Moi najbliżsi to jednak przede wszystkim szczerp harcerski na Dolnym Mokotowie. Trafiłam tam w podstawówce, a instruktorką byłam jeszcze na studiach. Z dziewczynami z drużyny spotykamy się i przyjaźnimy do dzisiaj.

Warto napisać kilka słów o 1. Warszawskiej Drużynie Harcerskiej im. Romualda Traugutta „Czarnej Jedyńce” – bo tak brzmi pełna nazwa tej jednej najstarszych polskich drużyn. Została założona w 1911 roku, od 1919 roku działała w IV Gimnazjum, a potem w Liceum Ogólnokształcącym im. Tadeusza Reytana w Warszawie. W czasie II wojny światowej harcerze „Jedynki” walczyli w Szarych Szeregach. W 1949 roku groziło jej wcielenie do OH ZMP – harcerze więc rozwiązali drużynę, aby reaktywować ją dopiero po „odwilży”.

I kolejny kryzys: – Rok po mojej maturze w 1961 roku doszliśmy do wniosku, że zmienia się tak sytuacja w harcerstwie, że prowadzenie drużyny jest niemożliwe. Zmieniał się system, wprowadzano metody Kuronia, wolterowskie. I nam się to tak nie podobało, że rozwiązaliśmy drużynę. A po roku doszedłem do wniosku, że można ją prowadzić. Z Jerzym Kijowskim odtworzyliśmy drużynę. Wewnątrz drużyny czuliśmy się tak, jakby nie było komunizmu, po prostu – wspominał

Marek Barański.

Na przełomie lat 60. i 70., czyli w czasach licealnych Anny Komorowskiej, powstała Gromada Włóczęgów Czarnej Jedyńki, tak zwane środowisko „niepokornych”. Znaleźli się w niej m.in. Janusz Kijowski, Wojciech Onyszkiewicz, Antoni Macierewicz. W przyszłości niektórzy z harcerzy z Czarnej Jedyńki zostaną członkami Komitetu Obrony Robotników. W 1969 roku rozpoczęły się spotkania Gromady, które były miejscem wolnej wymiany myśli. Niektórzy porównują je ze spotkaniami Klubu Inteligencji Katolickiej.

Co na to rodzice Anny? Czy zdawali sobie sprawę, w jakim środowisku obraca się córka i jakimi nasiąka ideami? A może pozwalali na to po traumie, jaką bez wątpienia był dla nich rok 1968 i sposób, w jaki potraktowano ich w pracy?

– Istniało poczucie, że uczestniczy się w czymś ważnym, to nobilitowało – twierdzi pani Anna. W takim otoczeniu i atmosferze poznała w 1970 roku swojego przyszłego męża. Był świeżo upieczonym absolwentem XXIV LO im. Cypriana Norwida w Warszawie. Wybierał się na historię na Uniwersytet Warszawski.

– Najpierw, to zabawne, poznałam jego buty – wspomina Anna. – Niezwykłe atrakcyjne, żółte, amerykańskie, jakich nikt nie miał, pożyczał je moim kolegom na rajdy. Nagle sam w nich przyszedł. To było czterdzieści lat temu, w kwietniu. Mieliśmy rajd harcerski w Puszczy Kampinoskiej. Stałam pod piękną, rozłożystą sosną na punkcie jako drużynowa. Koledzy podeszli z nim do mnie i zostałam przedstawiona.

Zdjęcia z tamtego okresu pokazują Annę jako ładną, szczupłą brunetkę o zniewalającym uśmiechu, z iskierkami w oczach. Urodę zachowała jeszcze przez długie lata. „Piękna Anka”, „najładniejsza żona wśród opozycjonistów” – tak do dziś wspominają ją dawni znajomi z podziemia. Zrobiła wrażenie na Bronku. On na niej – mniejsze.

– Nie padłam plackiem – mówi. – Kto inny mi się podobał.

Taki sobie druh Broniek, chudy, w okularach... Przez wiele lat związany z ruchem harcerskim. Należał do 75. Mazowieckiej Drużyny Harcerskiej w Pruszkowie. Po maturze został instruktorem w 208 WDHZ im. Batalionu „Parasol” w hufcu Mokotów i stąd jego obecność na obozie. Anna nie wiedziała, że Broniek posiada prawo do tytułów szlacheckich. A gdyby nawet wiedziała – w wieku nastu lat są inne priorytety.

Bronisław pochodzi ze znanej szlacheckiej rodziny o tradycjach niepodległościowych.

– Historia mojej rodziny sięga XIV wieku – przekonywał w jednym z wywiadów przed wyborami prezydenckimi. – Ale nie podkreślam jej pochodzenia, tylko dorobek. Miałem w rodzinie i prymasa Polski w XVIII wieku Adama Ignacego Komorowskiego, i dowódcę Armii Krajowej Tadeusza Bora-Komorowskiego.

Tytuł hrabiowski został nadany rodowi Komorowskich już w 1469 roku. Władali Spiszem, Liptowem i Orawą.

Zaraz jednak pojawiły się wątpliwości. Eksperci ze Związku Szlachty Polskiej oraz dr Marek Minakowski, słynny z tworzenia drzew genealogicznych znanych polityków, zarzucili rodowi kandydata PO na prezydenta nieuprawnione posługiwanie się herbem Korczak, który należał faktycznie do innego rodu Komorowskich. Nie zmienia to faktu, że rodzina posiada korzenie arystokratyczne, a niektórzy z przodków Bronisława mieli barwne życiorysy, godne filmu akcji. Przed ostatnimi wyborami prezydenckimi Bronisław postanowił wytrącić z ręki opozycji ewentualny hak. Piracki, dodajmy.

– Przyznaję się na wszelki wypadek. Wolę, aby nikt podczas kampanii nie wyciągał mi, że mój dziadek był piratem. Tak było. I jestem z tego dumny. Mieć dziadka pirata to był szacunek na podwórku. Nikt mi nie podskoczył – powiedział Komorowski jednej z gazet bulwarowych. Jego dziadek w 1918 roku podobno uprowadził w Rosji statek.

Dziadkowie i rodzice Bronisława przed wojną gospodarowali w majątku Kowaliszki na Litwie Kowieńskiej. Rodzina, zmuszona przez bolszewików do opuszczenia swojego domu, osiadła w Polsce w Obornikach Śląskich, dzieląc los wielu Polaków wypędzonych z Kresów. Tam 4 czerwca 1952 roku urodził się Bronisław. Matka obecnego prezydenta – Jadwiga z Szalkowskich-Komorowska to córka przedwojennego polskiego oficera. Jego ojciec, hrabia Zygmunt Komorowski, za czasów tzw. pierwszej okupacji sowieckiej i za okupacji niemieckiej działał w konspiracji (ps. „Kor”), a od jesieni 1943 roku walczył w oddziałach partyzanckich, m.in. w 6. Wileńskiej Brygadzie AK. Pod koniec wojny był w oddziale Łupaszki i starał się dotrzeć do Polski. Złapany i aresztowany, trafił dzięki łapówce do armii Berlinga. Z obozu w Siedlcach dostał się do szkoły oficerskiej w Białymstoku, przebył szlak bojowy aż pod Drezno, a po wojnie wrócił do Polski, dokąd ściągnął swoich rodziców z Wilna. Do czasu amnestii 1947 roku ukrywał się pod zmienionym nazwiskiem jako „Górski”. Pod tym nazwiskiem też podjął studia na Uniwersytecie Poznańskim.

W latach 1957-1959 rodzina Komorowskich mieszkała w Józefowie koło Otwocka. Pięć osób w wynajmowanej 10-metrowej kuchni, która znajdowała się w baraku.

– Za sąsiadów mieliśmy ludzi z tak zwanego marginesu społecznego. Zaznałem prawdziwego ubóstwa, poznałem prawdziwe życie – wspomina Bronisław Komorowski. Nie brakowało w barakach „wysiedlonych lumpów”, milicjantów, prostytutek. Bronisław Komorowski tak mówi o swoim dzieciństwie:

– Rodzice byli ciągle wyrzucani z pracy, na stałe zatrudnienie nie mogli liczyć. W rodzinnych dokumentach z lat 50. znalazłem ich zaświadczenia z pracy w Centrali Rybnej, w teatrze lalek, w fabryce biletów. Mimo biedy rodzice potrafili nam wyczarować lepszy świat. Tata gotował nam kartoflanekę, potrafił zamieniać jedzenie w zabawę.

Dzielił między nas kielbasę, której było bardzo mało. Każde z nas dostawało dużą pajdę chleba i mały plasterk kielbasy. Zabawa polegała na tym, żeby nosem przepychać kielbasę na chlebie, tak aby zjeść ją dopiero z ostatnim kęsem. Po latach powtórzyłem tę zabawę ze swoimi dziećmi. Były zachwycone.

Później ich los poprawił się. Od 1959 do 1966 roku mieszkali w Pruszkowie, gdzie Broniek uczęszczał do szkoły podstawowej. W 1966 roku przenieśli się do Warszawy. Nieżyjący już dziś – zmarł w 1992 roku – Zygmunt Komorowski został profesorem afrykanistyki na Uniwersytecie Warszawskim. Na początku lat 90. był ambasadorem niepodległej Polski w Rumunii, a także autorem wielu książek i publikacji oraz... wierszy. Mama Zofia zrobiła doktorat z socjologii.

Niemniej w latach 40. i 50. Komorowscy, dzieląc losy innych wysiedleńców, tułali się po Polsce. W spocie wyborczym Bronisław Komorowski mówił: – Kiedy ktoś mnie pyta, skąd jestem, odpowiadam – z Polski. A konkretnie z jakiej części jestem? Komorowscy pochodzą z Kresów, ale ja już się urodziłem na Ziemiach Odzyskanych, w Obornikach koło Wrocławia.

Dalej opowiada o rodzinie, która mieszkała w różnych częściach kraju: Poznaniu, Józefowie, Warszawie, Jaworzu, Budzie Ruskiej.

Podczas wizyty na Litwie sięgnął do swoich litewskich korzeni: – Ja jestem stąd – powiedział. W sieci zaczął krążyć żart nawiązujący do czerwcowego spotu kandydata Komorowskiego, jak i lutowej wizyty prezydenta Komorowskiego na Litwie. A brzmi tak: – Gdy ktoś mnie pyta, skąd jestem – odpowiadam: z Polski. A jeśli ktoś zapyta, z której konkretnie jej części? Odpowiadam: – A konkretnie to z Litwy.

Okazało się, że ojciec pani Anny poznał Bronka zupełnie niezależnie od córki i w zgoła innych okolicznościach.

– Razem z moją siostrą ojciec pojechał na rajd motorowerowy po Polsce i odwiedzili

mnie na obozie. Tata pożyczył motorower jednemu z kolegów, który zabrał na niego Bronka. I trochę poszarżowali po lesie. Motorower trzeba było reperować. I w ten sposób tata poznał mojego przyszłego męża.

Po powrocie z obozu Broniek początkowo odwiedzał Ankę jako kolega. Bardzo smakowała mu jej zupa grzybowa z łazankami.

– Wszystko potoczyło się bardzo naturalnie – miły, kulturalny człowiek – o czym tu mówić? Była ciekawość, otwartość i serdeczność moich rodziców wobec kogoś, kogo pokochała ich córka – mówi pani Anna. – W drugą stronę zresztą też tak było.

Tak naprawdę między nimi „zaiskrzyło” dopiero po dwóch latach znajomości. Broniek ujął Ankę poczuciem humoru, galanterią i dobrym wychowaniem. Wiedziała, że „coś tam robi”, że już jako licealista zaangażował się w działalność opozycyjną; brał udział w manifestacjach, m.in. oberwał od milicji w czasie wydarzeń marcowych, był aresztowany w 1971 roku. To mu tylko dodawało romantyzmu w jej oczach.

– Był tylko jeden moment, kiedy poczułam niepokój – wspomina w rozmowie z Teresą Torąńską. – Poszliśmy na spektakl do STS-u. Ze sceny padały teksty prowokujące publiczność do reakcji antyreżimowej i Broniek wyrwał się jako jeden z nielicznych i wygłosił całe przemówienie polityczne, głośno, z widowni. Zaimponował mi śmiałością i nagle ogarnął mnie lęk, że tyle w nim odwagi. A może był i wstyd, że ma potrzebę jej demonstrowania.

Chyba jednak do końca nie wiedziała, w co się pakuje.

Gdy była na piątym roku, a Broniek kończył studia na wydziale historii, wpadli na niecodzienny pomysł – lata 70., straszliwe problemy z paszportami i złotówkami na wymianę, w stosunku do dolara 1:100! – żeby wziąć ślub... w Jerozolimie. Dostali paszporty (przez kontakty seniorów Dembowski?) i wyjechali do Austrii, by zarobić trochę dewiz na realizację swojego marzenia. Pracowali w gasthausie w Tyrolu. Anna, jak przed laty jej matka, jako gosposia „u Niemca”. Z tym że już za pomocą zmywarki, nowoczesnej pralki, maszyny do obierania ziemniaków. Nigdy przedtem nie widziała takich urządzeń. Jak twierdzi, przeżyła „szok cywilizacyjny”.

Zarobili tyle, że starczyło na część mieszkania w Warszawie, które odkupili od ciotki Bronka, Toni. Resztę spłacili w ratach. 37 metrów kwadratowych, pokój ze ślepą kuchnią. Wydawało im się przestronne. I jeszcze ta świetna lokalizacja przy ul. Bruna, Pola Mokotowskie! Ślub wzięli skromny, w Warszawie. Romantyzm przegrał z pragmatyzmem.

– W kręgach opozycji zajęliśmy wysoką pozycję towarzyską – żartuje Komorowska. – Chyba tylko my od początku małżeństwa mieliśmy własne mieszkanie. I to w miejscu, gdzie wszystkim było po drodze, przy Polach Mokotowskich, niedaleko klubu studenckiego „Stodoła”. W mieszkaniu kłębiło się od opozycjonistów.

Urządzili się przytulnie, nie zabrakło akcentu szlachecko-myśliwskiego: nad łóżkiem zawisła skóra z dzika upolowanego przez Bronka, a nad nią stara dubeltówka, подарowana mu przez dziadka. Podczas jednej z pierwszych rewizji bezpieczeństwa tę broń zabrała.

– Facet rzucił się do niej. Wskoczył na łóżko w butach, po pościeli, zdarł ze ściany. Może bał się, że wypali... – wspomina Anna. – Broń była legalna. Zabrali dubeltówkę, a potem wezwali Bronka i zaproponowali, że jeśli zgodzi się na współpracę, to mu ją zostawią. Nie podpisał i stracił pozwolenie. Wrócił do domu wściekły, że tak nisko go ocenili.

Przez dwa lata po ślubie prowadzili intensywne życie towarzyskie i opozycyjne. W ich domu ciągle odbywały się dyskusje polityczne, prelekcje, ustalenia redakcyjne. Bo Bronisław zaangażowany był w niezależną działalność wydawniczą – w jego mieszkaniu powielany był „Głos”.

– Mieszkaliśmy na 37 metrach, a wraz z nami powielacze i kopiarki.

Sąsiedzi, słysząc przez ściany ciągły stukot powielacza, myśleli, że Bronisław jest... szewcem.

Nie było im pisane spokojne, mieszczańskie życie. Choć zapowiadało się na stabilizację. Bronisław w błyskawicznym tempie zdobył magisterium.

– Pracę magisterską napisałem w 11 dni. Ja pisałem rękopis, żona przepisywała go, by był bardziej zrozumiały, zaś teść przepisywał go na maszynie do pisania – wspomina.

W 1977 roku rozpoczął pracę w dzienniku „Słowo Powszechne”. To powstałe w 1947 roku katolickie czasopismo związane z PAX-em (z tzw. grupą Piaseckiego), za współpracę z komunistami i krytykę Episkopatu nieuznawane było przez władze kościelne. Świeżo upieczony absolwent historii trafił tu na trzy lata.

Zaangażowany w działalność Ruchu Praw Człowieka i Obywatela, Komorowski już kilka miesięcy po ślubie, w maju, został zatrzymany na noc przez milicję za „rozpowszechnianie wiadomości o treści antypaństwowej”. Anna nie pamięta tego incydentu.

Ją samą po raz pierwszy zatrzymano, gdy miała 25 lat. Bezpieka przysłała do nich do domu. Akurat zjawił się u Komorowskich Marian Piłka z nowymi numerami „Głosu”, więc zabrano całą trójkę. Zawieźli ich do Pałacu Mostowskich. Anna, uprzednio przeszkolona przez męża, na każde pytanie odpowiadała: „Odmawiam udzielenia odpowiedzi”. Pamięta, że zaproponowano im posiłek. Od rana nic nie mieli w ustach. Esbecy przynieśli z bufetu ozory w galarecie.

– Bronkowi aż oczy się zaskrzyły: mięsko, nieźle – uśmiecha się Anna podczas rozmowy z Teresą Torańską.

Komorowski doszedł do wniosku, że to dobra okazja, żeby dowiedzieć się, co z Marianem. Poprosił, żeby mu też zanieśli porcję. Funkcjonariusz wyszedł i zaraz wrócił, wściekły.

– Mówił: panie, ten pana znajomy to jakiś wariat... Co się stało? – Bronek udał zdziwienie, bo Mariana dobrze znali – opowiada Anna w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej”. – Panie, on najpierw powiedział, że z ręki ubeka nic nie zje, bo go na pewno chce otruć, a kiedy mu powiedziałem, że to od pana, popatrzył, co niosę i oświadczył, że syn kułaka takiego g... nie jada! Wtedy Bronek: to daj pan, zjemy. Zjedliśmy i wieczorem nas wypuścili.

Po latach okazało się, że wpadkę zawdzięczali donosowi agenta działającego w ich środowisku, niejakiego Lewandowskiego.

Nie o takim życiu marzyła. Chciała podróżować, pisać i uczyć młodzież. Skończyła studia na wydziale filologii klasycznej. Miłością do łaciny zaraziła ją nauczycielka w liceum, Stefania Świątkowska, zwana przez uczniów Stefą. Annę interesowała literatura i starożytna kultura śródziemnomorska. Na studiach, w kole naukowym prowadzonym przez prof. Lidię Winniczuk, uzdolnieni studenci tłumaczyli *Dzieje Aleksandra Wielkiego* Kwintusa Karcjusza Rufusa, które potem zostały opublikowane przez PWN. Anna była dumna, że jej nazwisko znalazło się na końcowej liście tłumaczy.

Po studiach została nauczycielką w Reytanie i u Hoffmanowej, udzielała korepetycji. Niedługo trwała jednak jej nauczycielska kariera. Zrezygnowała z pracy, gdy w 1979 roku urodziła się córka Zofia. Zajęła się domem. A czasy były ciężkie.

– Każdy produkt trzeba było wystać, przynieść. Gotowałam co drugi dzień, na przemian: zupę na dwa dni, drugie na dwa dni.

W 1979 roku Komorowski znalazł się wśród założycieli wydawnictwa niezależnego Biblioteka Historyczna i Literacka, organizował biblioteki pism drugoobiegowych, a także manifestacje niepodległościowe. Liczni znajomi, odwiedzający Bronków, mogli liczyć na talerz zupy, której garnek zawsze grzał się na piecu.

– Bronek śmieje się ze mnie, że lubiłam tych, co umieli się przywitać, całowali w rękę i nie wyjadali wszystkiego z lodówki – żartuje pani Anna.

SB często przeprowadzała w ich mieszkaniu rewizje. Anna uczyła się, jak z nimi postępować. Nauka nie poszła w las. Do legendy przeszła scena, jak zabroniła grzebać esbekom w pieluchach: „Nie ruszać! Świeżo wyprasowane!”. Albo gdy kazała esbekom nałożyć higieniczne maseczki, zanim weszli do pokoju, gdzie leżała Zosia: „Jeszcze zarazicie czymś dziecko!”. Poddawani takim „szykanom” ze strony apodyktycznej pani domu, coraz rzadziej przychodzili do Komorowskich.

Udało im się jednak odkryć dwie z czterech skrytek: w rozkładanym fotelu i pod wanną. Nigdy nie dowiedzieli się, że flagi i transparenty na demonstracje niepodległościowe ukryte są w schowku przerobionym z nieczynnego zsypu. I że jest jeszcze jedna skrytka, przemyślnie skonstruowana za lodówką. Przez Bronka, utalentowanego stolarza amatora.

Po odchowaniu Zosi zdecydowali się na kolejne dzieci: Tadeusz pojawił się na świecie w 1981 roku. A potem następne: Maria w 1983, Piotr w 1986 roku i Elżbieta w 1989 roku. Dzieci „opozycyjne”, których najmłodsze lata przypadły na trudne czasy stanu wojennego. Trzecie słowo Zosi brzmiało „mości”. Bo o 19.30 w porze kolacji Anna zwykle wołała męża do stołu: „Wiadomości!”.

Stefan Niesiołowski, który poznał Annę w 1983 roku, tak opisuje ich pierwsze spotkanie:

– Otworzyła mi jakaś kobieta: na rękę małe dziecko, drugie uczezione nogi, trzecie płacze w łóżeczku. Chyba myślała, że jestem ubekiem, ale kiedy się przedstawiłem, wpuściła mnie do środka. Mieszkanie było malutkie, na sznurach wisiały pieluchy, na podłodze leżały jakieś zabawki. Anna zrobiła mi ciepłej herbaty, potem przyszedł Bronek. Bardzo polubiłem Annę, to serdeczna i otwarta osoba.

Dawali sobie radę kosztem dużych wyrzeczeń finansowych. Anna łamała sobie głowę, jak pogodzić oszczędne prowadzenie domu z zaspokojeniem potrzeb rodziny. Przede wszystkim jak załatwić aprowizację, bo półki sklepowe świeciły pustkami.

– Ganiało się trzy dni, żeby kupić cokolwiek, co potem okazywało się wybrakowane – wspomina Komorowski. – Pamiętam, że kiedyś kupiłem żonie wyszczerbiony kubek, bo była dostawa ładnych, tylko lekko obitych.

Anna twierdzi, że i tak cieszyła się z prezentu, ponieważ był kupiony „z serdeczną myślą”.

Zdobywanie pieniędzy należało do Bronisława. Na szczęście zawsze miał pracę, co nie było częste wśród opozycjonistów. W trakcie współpracy ze „Słowem Powszechnym” pracował w Ośrodku Badań Społecznych Solidarności, a w późniejszych latach 80. uczył historii w niższym seminarium duchownym w Niepokalanowie. W maleńkim mieszkanku kotłowały się dzieci, więc sprawdzał klasówki w pociągu...

Nadszedł sierpień 1980 roku. Bronisław Komorowski zapisał się do Solidarności, zaczął pracę w Ośrodku Badań Społecznych Regionu Mazowsze. Niedługo jednak przyszło mu cieszyć się „karnawałem”: w listopadzie został skazany razem z innymi działaczami ROPCiO (w tym z Wojciechem Ziemińskim, o czym w dalszej części książki) na karę miesiąca aresztu za zorganizowanie w dniu 11 listopada 1979 roku manifestacji patriotycznej przed Grobem Nieznanego Żołnierza. Rozprawie odwoławczej przewodniczył sędzia Andrzej Kryże, syn stalinowskiego sędziego, Romana Kryże i późniejszy wiceminister sprawiedliwości w rządzie Kazimierza Marcinkiewicza.

Po wyjściu na wolność dalej działał, między innymi był jednym z sygnatariuszy deklaracji założycielskiej Klubów Służby Niepodległości, organizacji powołanej przez Wojciecha Ziemińskiego w odpowiedzi na rozwiązanie KSS KOR na I Zjeździe Solidarności.

KSN stawiały sobie za cel koordynowanie podziemnych środowisk niepodległościowych, ale w konkretnych działaniach przeszkodził im stan wojenny.

Po Komorowskiego przyszli na długo przed północą. Na wszelki wypadek z łomem, który okazał się niepotrzebny. Dzieci – Zosia i Tadzik – już spały.

– Weszło trzech. Przedstawili postanowienie o internowaniu Bronka. Co to jest?! Internowano oficerów w czasie II wojny światowej, człowiek ma takie skojarzenia. Byli skonfundowani. Bełkotliwie coś tłumaczyli, bo też nie wiedzieli, o co chodzi. Spakowałam rutynowo sweter z góralskiej wełny, ciepłe skarpety, czosnek, cebulę i Pismo Święte – wspomina pani Anna.

Chciała zadzwonić do rodziców, ale telefon był głuchy. Machnęła ręką: pewnie zepsuty. Była tak zmęczona całym dniem pracy i wieczornymi emocjami, że usnęła kamiennym snem. Dopiero rano dowiedziała się, że Jaruzelski wprowadził stan wojenny, a mąż jest w więzieniu w Białoleńcu. W Wigilię znajomy, Paweł Tyszkiewicz, powiedział jej, że Bronka wywieziono z grupą mężczyzn do Jaworza. Ośrodek w Jaworzu był jednym z kilku obozów internowania stanu wojennego, który urządzono nie w więzieniu, lecz w wojskowym domu wczasowym podległym dowództwu wojsk lotniczych. Działał do 22 maja 1982 roku.

W pierwszy dzień świąt na spacerze z dziećmi Anna spotkała żonę aresztowanego opozycjonisty, Magdę Bogutową. Postanowiły, że pojadą odwiedzić mężów.

Było to trudne. W pierwszym okresie stanu wojennego obowiązywała godzina milicyjna – od 22.00, nie wolno było opuszczać miejsca zamieszkania bez specjalnej przepustki. Cudem udało im się przepchnąć przez tłum, kłębiący się w siedzibie komisarza wojskowego w budynku Rady Narodowej na Rakowieckiej. Choć zdenerwował się, gdy dowiedział się, że chcą odwiedzić internowanych opozycjonistów, przepustki im wydał.

Zapakowały plecaki i pojechały na drugi koniec Polski, pod Kalisz Pomorski. Na pustym peronie w Jaworzu wysiadła wraz z nimi jakaś starsza kobieta. Ruszyła za nimi. Doszły do wniosku, że mają „ogon”. Do ośrodka było około pięciu kilometrów przez las. Tak kluczyły i przyspieszały tempo, że udało im się zgubić śledzącą ich kobietę.

– Stefan Niesiołowski potem mi opowiedział – zwierzyła się Teresie Torańskiej. – Stał w oknie, smętnie mu było. Zbliżał się sylwester, to było 31 grudnia. Patrzył na zaśnieżone lotnisko polowe i las, w którym tylko myszołów włochaty – według niego – mógł grasować. I nagle z prawej strony ogrodzenia zobaczył: idą kuropatwy.

To była Anna z Magdą. Na ciemno ubrane, z plecakami, skojarzyły się Niesiołowskiemu z obrazem Chełmońskiego.

Spotkały się z mężami, było radośnie i łzawo. Poczuły ukłucie wstydu, kiedy okazało się, że ich domniemany „ogon” to żona profesora Bogusławskiego, która samotnie wyprawiała się do męża.

Z czasem żony opozycjonistów skrzykiwały się na wyprawy, pomagały sobie nawzajem.

– Powstała komuna kobiet. Wszędzie spotykałam się z niesamowitą życzliwością bliższych i dalszych znajomych – wspomina Anna Komorowska. Zawsze mogła liczyć na to, że ktoś z przyjaciół zostanie z dziećmi.

Kilkakrotnie odwiedzała Bronka w „internacie”. Warunki mieli znośne, Anna nazywa je „wczasami pod lufą”. Był to obóz niewielki, liczba internowanych rzadko przekraczała 60 osób. Większość przywieziono z Warszawy – mężczyzn z więzienia w Białoleńcu, a kobiety z Olszynki Grochowskiej. Przebywali tu intelektualiści – pisarze, artyści, naukowcy i, jak się po kilku latach okazało, przyszli politycy z pierwszych stron gazet. Dwa pawilony spełniały standard wczasowy, w pokoju z przedpokojem mieszczącym szafę i umywalkę mieszkały 3 osoby. Dwa prysznice i cztery kabiny WC na piętrze przypadały na 20-30 mężczyzn. Okna nie miały krat, pokoje były

otwarte, panowała swoboda poruszania się po korytarzach i wewnątrz pawilonu. Spacery odbywały się pod nadzorem, w kółko, po wyznaczonym terenie. Posiłki, przyrządzane smacznie, podawano do stolików w stołówce. Na Wielkanoc Anna i inne żony zawiozły „chłopcom” cały stół wielkanocny i popularne soczki „Dodoni” w puszkach udoskonalone w ten sposób, że przez wywierconą dziurkę wylano sok i nalano alkohol, po czym zalutowano dziurkę. Internowanym przy święcie było weselej.

Bronisław siedział oficjalnie do czerwca 1982 roku, a tak naprawdę do kwietnia. Wtedy dostał przepustkę na pogrzeb dziadka i już do

Jaworza nie wrócił. Gdy esbecy zaczęli namawiać Annę, żeby wpłynęła na męża, żeby jednak zgłosił się do „internatu”, rodzina Komorowskich uciekła z Warszawy. Miesiąc spędzili w rodzinnej dacy w Borach Tucholskich, trzy miesiące w mieszkaniu ciotki Bronka w Sopocie.

– To były najdłuższe wakacje w moim życiu – wzdycha pani Anna.

Po powrocie do Warszawy Bronisław od razu zabrał się do zakładania podziemnego pisma „ABC. Adriatyk, Bałtyk, Morze Czarne”. Zajmowało się problematyką środkowo-wschodniej Europy. W mieszkaniu na Bruna odbywały się kolegia redakcyjne. Anna była w ciąży z Marysią.

Z notatek funkcjonariuszy SB na temat Anny Komorowskiej: *Figurantka Komorowska podejmuje wrogą działalność w porozumieniu z mężem.(...) Cyniczna. Reprezentuje zły stosunek do służby bezpieczeństwa.(...) Planuje się przeprowadzenie rozmowy z rodzicami figurantki celem wpłynięcia przez nich na zmianę zajmowanej przez nią postawy i zaniechania działalności.*

– Nie przypominam sobie, żeby rodzice ze mną rozmawiali – mówiła pani Anna Teresie Torąńskiej. – Prawdopodobnie SB chciała wykorzystać to, że moi rodzice byli po tamtej stronie barykady. I wydawało im się, że tą metodą coś wskórają. Ale to by im się nie udało. Rodzice bardzo lubili Bronka.

Mieszkanie na Bruna było stanowczo za małe dla pięcioosobowej rodziny. Przeprowadzili się więc do mieszkania babci Bronka na Powiśle, w zamian za opiekę nad starszą panią. Lokum było wielkie, ale zdewastowane przez licznych lokatorów, z których dwie osoby jeszcze pozostały. Komorowski udało się jakoś doprowadzić mieszkanie do porządku i wyprowadzić lokatorki. Babcia Bronka, ponadosiemdziesięcioletnia dama, zmarła w grudniu 1980 roku, po przyjściu na świat najmłodszej latorośli Komorowskich – Eli. Wnętrza tego 159-metrowego mieszkania są częściowo znane Polakom dzięki reklamówce wyborczej kandydata na prezydenta Bronisława Komorowskiego. To słynny film, który tak oburzył feministki: mąż siedzi, a żona mu służy.

– Bardzo mnie rozśmieszyły te głosy – twierdzi pani Anna. – Panie zauważyły, że podaję mężowi zupę, a nie zauważyły, że syn podaje wszystkim pieczywo. Jesteśmy partnerskim małżeństwem. Przy tak dużej rodzinie musimy dzielić się obowiązkami.

Nie ukrywa, że są konserwatywną rodziną, ale nie w XIX-wiecznym znaczeniu tego słowa. Dzieci nie mówią do rodziców po imieniu, ale wiedzą, że mogą z nimi rozmawiać na każdy temat, o wszystko spytać i skrytykować.

– U nas głową rodziny jest każdy – twierdzi pani Anna. – Nie powiem, że jest to smok siedmiogłowy, teraz może raczej czterogłowy, bo troje z naszych dzieci już się wyprowadziło z domu, ale każdy ma swoje obszary, w których decyduje. Każdy ma mocny charakter i cechy przywódcze, co wymaga ustaleń, a nie dyktatu.

Czasem Anna uciekała się do klapsów – niełatwo było zapanować nad rozbrykaną gromadką. Ale dzieci zawsze wiedziały, że są kochane. Anna, doświadczona harcerka, jest zwolenniczką organizacyjnych rozwiązań:

– Każde dziecko było w grupach rówieśniczych, w Przymierzu Rodzin lub Klubie

Inteligencji Katolickiej. Będąc uczestnikiem takiej grupy, podlega się procesowi wychowania przez starszą młodzież, to rodzaj harcerstwa. A potem każde przechodziło do kadry i zajmowało się młodszymi dziećmi. To naprawdę kształtuje charakter, rozwija umiejętności funkcjonowania w większej grupie.

Eksperyment się powiódł. Dziś młodzi Komorowscy pracują w organizacjach samorządowych, są zaangażowani w działalność społeczną.

Anna żartuje, że mogłaby habilitować się z zarządzania domem i wychowania dzieci. Gotowanie? Owszem, nastąpiła się w życiu przy kuchni, choć przyznaje, że pierwsze próby były nieudane. Gdy jako tako urządzili się na Bruna, postanowili zaprosić dziadków Bronka na uroczysty obiad. Anna przyrządziła kaczkę. Ptak okazał się koszmarnie twardy, a goście z racji wieku nie mieli zbyt dobrych zębów. Bohatersko jednak przetrwali posiłek. Podobną klapą okazała się pierwsza dziczyzna – dzik upolowany przez męża. Przedobrzyła, dodała za dużo saletry i ziół do marynaty, mięso wyszło niejadalne. Potem zdobyła większą wprawę w gotowaniu.

Mąż od czasu do czasu wpada w nastrój kulinarny i postanawia osobiście przyrządzić jakiś specjał.

– Raz na przykład ugotował zupę rakową, której ja nie potrafiłabym przyrządzić, a on pamiętał, jak mu babcia opowiadała, jak ją się robi.

W ich małżeństwie on lubi zaskoczenia, ekstra projekty. Ona chroni stabilność.

W 1989 roku obydwójce byli przeciwnikami Okrągłego Stołu. Tak przynajmniej Anna stwierdziła w rozmowie z Moniką Olejnik. Niektórzy jednak pamiętają to inaczej.

– Nie przypuszczałem, że tak bardzo się na nim zawiodę. Komorowski był zwolennikiem Okrągłego Stołu, a potem jego beneficjentem – wspominał Marcin Dybowski, ówczesny szef wydawnictwa Antyk i kolega przyszłego prezydenta z „ABC”. Według niego Komorowski „zdradził ideały pisma”. – Po 1989 roku postawił na karierę – dodaje.

Przyjmijmy jednak, że żona wie lepiej.

– Żałuję, że nie poszłam na pierwsze wybory i nie uczestniczyłam w tym święcie – zwierzyła się „Gazecie Wyborczej”. – A nie poszłam dlatego, że nie zgadzałam się na kompromis „Solidarności” z komunistyczną władzą. Myślałam wtedy – wszystko albo nic. Ale po 20 latach wiem, że nie było to mądre, bo życie, a szczególnie polityka, składa się z kompromisów. Ten z 4 czerwca 1989 roku był dla Polski zbawienny.

Rok 1989 był jednak nie tylko zbawienny, ale przełomowy – nie tylko dla Polski, lecz dla rodziny Komorowskich. W wolnej Polsce kariera Bronisława nabrała zawrotnego tempa: w latach 1989-1990 pełnił funkcję dyrektora gabinetu ministra Aleksandra Halla w Urzędzie Rady Ministrów, a w latach 1990-1993 (z przerwą w 1992) – był cywilnym wiceministrem obrony narodowej ds. wychowawczo-społecznych w rządach Tadeusza Mazowieckiego, Jana Krzysztofa Bieleckiego i Hanny Suchockiej. Wskoczył na szybkiego politycznego konia: związał się z Unią Demokratyczną przekształconą potem w Unię Wolności, a później z Platformą Obywatelską, której to partii zawdzięczał stanowisko marszałka sejmu i wreszcie urząd prezydencki.

Gdy dzieci dorosły, a mąż zajął się wielką polityką, pani Anna postanowiła wrócić do pracy zawodowej. W 1995 roku zaczęła pracować w towarzystwie ubezpieczeniowym. Twierdzi jednak, że choć przez sześć lat dobrze jej szło, a klienci ją lubili, to w sumie eksperyment okazał się nieudany.

– Całą sobą broniłam się przed zassaniem przez korporację – mówi. – Awanse i kariera mnie nie interesowały.

Ta przygoda utwierdziła ją w przekonaniu, że jest urodzoną panią domu. Żoną, matką –

i babcią, bo ma już wnuki.

Z kolei Bronisław nie ukrywa, że ma słabość do munduru. Wiele jego stanowisk, m.in. Ministra obrony w rządzie Jerzego Buzka, związanych było z wojskiem. Może to tradycje rodzinne: od myśliwskiej fuzji do żołnierskiego karabinu niedaleko. A Bronisław „od zawsze” był zapalonym myśliwym. Koledzy zazdroszczą mu licznych trofeów. Opowiadają, że na polowaniach był duszą towarzystwa, układał wiersze, śpiewał piosenki – słowem potrafił zabawić towarzystwo. Na uroczystości z okazji 90-lecia białskiego Towarzystwa Łowieckiego „Ponowa” wygłosił własnego pomysłu inwokację do świętego Huberta, patrona myśliwych: *I daj jak sądzę, tu wybacz Panie, odstrzał na jakąś zgrabniutką łanię. Zakończył toastem: Wypijmy duszkiem aż do dna wszystko, bo nie masz, nie masz jak towarzystwo!*

Jako parlamentarzysta Bronisław Komorowski też znany był z ad hoc układanych fraszek i wierszy. Zachęcany do kandydowania przez grono działaczek PO, zdumiał je następującym, zalotnym wierszem: *Wielkie dzięki, drogie panie, wielkie dzięki koleżanki, za poparcie, za zachętę, bym w wyborcze stawał szranki. Wielkie dzięki, ale przyznam, że gdy tyle pań dokoła, nie wybory mi się marzą, ale inne kwestie zgola...* Z kolei, jeszcze jako marszałek, w wierszu wychwalającym biesiadę w domu Janusza Palikota, filuternie proponował „z dwóch kaczorów flaczki”.

Wracając do polowań, Komorowski traktuje je jako relaks. Zwierzył się dziennikarzom z „Łowcy Polskiego”: *Najlepiej odpoczywam na polowaniu indywidualnym lub w niewielkim gronie kolegów. Lubię mieć perspektywę szerokiego krajobrazu – polowanie na kaczkę, polowanie z podchodu na rogacze, szczególnie na łąkach...*

Hobby myśliwskie było jednym z „haków”, które opozycja wyciągała na niego w trakcie wyborów.

– Myśliwy to nie tylko ten, co strzela, ale przede wszystkim ten, co przeżywa przyrodę i łąknie kontaktu z naturą – Anna broniła męża w rozmowie z Moniką Olejnik. – Prawdziwy myśliwy to nie tylko strzelec, ale opiekun zwierzyny. Zresztą nie znam większych psiarzy od myśliwych... Ale zacznę od tego, że mąż obiecał zawiesić swoje myślistwo. Teraz będzie polował na zwierzęta z aparatem fotograficznym. A inna sprawa, że dziczyzna jest zdrowa. Chuda i bez chemii. Jest na pewno zdrowsza od mięsa wszelkich zwierząt hodowlanych.

Anna Komorowska lubi wszystkie zwierzęta – psy, koty. Komorowscy mają dziesięcioletnią spanielkę, którą kilka lat temu dostali w prezencie od znajomych z Budy Ruskiej, gdzie mają letni dom.

– Kocha ją cała rodzina. Jest bardzo przyjaźnie nastawiona do ludzi – opowiada pani Anna. – Nie lubi pływać, nie je słodczy, a w nocy piszczy, prosząc, by pozwolić jej spać w łóżku.

Oficjalnie ma na imię Draka, ale w domu wołają na nią „Ponia” -co po litewsku znaczy „pani”.

W Budzie Ruskiej Komorowski uzyskał 65-procentowe poparcie, choć Podlasie to matecznik jego rywala, Jarosława Kaczyńskiego. Komorowscy pokochali tę wieś, zżyli się z jej mieszkańcami. 10 lat temu Bronisław przyjechał tu w gościnę do domu letniskowego znajomego z Warszawy, Mateusza Rakowskiego. Tak spodobała mu się okolica, że sam postanowił się w Budzie pobudować. Akurat pod lasem pewna rencistka wystawiła domek na sprzedaż i Komorowscy go kupili.

– Pani Ania imieniny tutaj zazwyczaj obchodzi. Zawsze nas zapraszają na przyjęcie – mówi Daniela Jurkun, mieszkanka wsi. – Któregoś roku mój mąż подарował jej w prezencie dwa ogromne kamienie. Wynałazł gdzieś w polu i ciągnikiem zawiózł. Komorowscy bardzo chcieli mieć takie głązy w swoim obejściu. Leżą do dzisiaj na górcie przed domem.

Widocznie pani Anna nie jest osobą przesadną, bo jak wiadomo, kamienie w domu oznaczają nieszczęście. Ale ta złowieszcza wróżba nie zagraża Komorowskim: im kamienie przyniosły powodzenie i zaszczyty w postaci kluczy do Pałacu Prezydenckiego.

Nie chcieli jednak zamieszkać w miejscu nawiedzanym przez duchy tragicznie zmarłych poprzedników. Wybrali Belweder.

– Zdecydowaliśmy, że tu zostaniemy, kiedy zobaczyłam widok z okna. Jest wspaniały! Będę mogła chodzić z wnukami do Łazienek – cieszyła się pani Anna.

– Jesteśmy umówieni na herbatę z córką Józefa Piłsudskiego, panią Jaraczewską, oraz jego wnuczką Joasią i jej mężem, Januszem Onyszkiewiczem oraz ich dziećmi. Między innymi z moim chrześniakiem. Więc wypytamy ich o przedwojenne życie w Belwederze i ustalimy w szczegółach, jakie legendy krążą o tym miejscu – dodał prezydent w wywiadzie dla „Gali”.

Anna i Bronisław są małżeństwem od 33 lat, a znają się od lat 40. Wiele par mogłoby pozazdrościć im trwałego, udanego związku i wspaniałej piątki dzieci.

– Generalnie wszystko zależy od tego, jak się patrzy na świat – powiedział prezydent Komorowski w wywiadzie dla „Gali”. – Przytoczę taką oto anegdotę. Stałem przed naszą kamienicą z sąsiadem. Obaj mieliśmy już po czwórce dzieci. Ja już byłem wiceministrem i miałem dużego fiata, tak zwanego składaka. Byłem z niego bardzo dumny, bo wszyscy się do niego mieściliśmy. A sąsiad miał starego, zardzewiałego mercedesa, którego przerobił na samochód dostawczy. Nagle śmignął nam przed nosem trzeci sąsiad swoim nowiutkim BMW. Zrzędy nam miny, ale ten pierwszy sąsiad powiedział: „Eee, i ty, i ja dobrze wiemy, że każdy z nas ma swoje cztery mercedesy”. Oczywiście miał na myśli dzieci.

Anna nie chciała, żeby Bronisław kandydował w wyborach prezydenckich. Przyznawała, że status Pierwszej Damy nigdy nie był jej marzeniem. Bała się – słusznie – utraty prywatności. Ale dziś dzielnie stawia czoło nie tylko blaskom, ale licznym ceniom towarzyszącym tej funkcji. To trudne, zwłaszcza dla osoby nieprzyzwyczajonej do oślepiającego światła fleszy, w sytuacji narodu podzielonego po katastrofie smoleńskiej i silnej krytyki opozycji, która wyśmiewa każdą gafę czy błąd jej męża.

A trzeba przyznać, że tych błędów i gaf jest wiele. Punktowano je na długo przedtem, zanim Komorowski został prezydentem. W 2002 roku zajął drugie miejsce w plebiscycie Programu III Polskiego Radia „Srebrne Usta” za słowa: „Jest takie powiedzenie, że polski lotnik to jest taki, że jak trzeba będzie, to polecą nawet na drzwiach od stodoły. Więc proszę Państwa, chciałem z wielką satysfakcją stwierdzić, że to już nie grozi. Piloci polscy będą latali na F-16”

– Muzyka Chopina to armaty ukryte w krzakach – powiedział już jako prezydent na uroczystości rozdania nagród w Konkursie Chopinowskim w 2010 roku. – W kwiatkach, oczywiście – poprawił się za chwilę. Po kilku miesiącach zdumiał Polaków, wpisując się w księdze pamiątkowej w ambasadzie Japonii z takimi szkolnymi błędami, jak „bul” i „nadzieji”. A także sugestią w telewizyjnej wypowiedzi, że Libia leży „na antypodach”.

– Ostatnio śmiejemy się wspólnie z absurdów, jakie wyczytać można w prasie na nasz temat.

Anna Komorowska jak zwykle trzyma fason.



Panna z dobrego domu
opowieść o Marcie Zahorskiej-Bugaj



Ryszard Bugaj – polityk, doktor habilitowany nauk ekonomicznych, pracownik Instytutu Nauk Ekonomicznych PAN, były przewodniczący unii Pracy, poseł na Sejm X, I i II kadencji, doradca prezydenta Lecha Kaczyńskiego.



– Ryszard w życiu kilka domów zbudował. Pierwszy we wczesnej młodości – pomagał ojcu i wiele się nauczył. Następny w Laskach. Wszyscy jeździliśmy pomagać mu w budowie. Nie za bardzo był z tego zadowolony, bo najczęściej ta pomoc kończyła się nazajutrz bólem głowy. Nie przejmowaliśmy się tym, bo było to znakomite miejsce piknikowe. Dom w końcu bardzo dobrze wyszedł, stoi do dziś. Kiedy związaaliśmy się z Ryśkiem, wyprowadziłam się od byłego męża i przez krótki czas pomieszkiwałam u rodziców. Potem wynajmowaliśmy jakieś przypadkowe mieszkania, aż wreszcie udało nam się kupić niedrogo działkę w Podkowie Leśnej – do dziś nikt nie chce nam uwierzyć, że za tak niską cenę. I zaczęliśmy, ku zadowoleniu Ryśka, budować dom. Szczerze powiedziawszy, jeszcze nie jest w pełni skończony. Ale nie martwię się, bo budowanie sprawia Ryśkowi tyle radości! Dawniej podejrzewałam, że po to rozwiódł się i ożenił ze mną, żeby móc budować kolejny dom... – mówi Marta Zahorska-Bugaj, żona jednego z najbardziej niepokornych polskich polityków.

Urodziła się w 1947 roku w inteligenckiej rodzinie na Żoliborzu. To determinuje temperament, charakter i całe życie. Ojciec był historykiem, profesorem zwyczajnym, wykładał na Uniwersytecie Warszawskim. Matka, też absolwentka historii, pracowała jako redaktor w wydawnictwie „Książka i Wiedza”. Lech Zahorski, słynny rysownik i satyryk, był bratem stryjczym jej ojca.

Marta chodziła do szkoły na tak zwanym Starym Żoliborzu. Rzeczywiście, warszawski Żoliborz jest miejscem szczególnym – uchodzi za dzielnicę na wskroś inteligencką i „klimatyczną”. *Na Żoliborzu są ulice takie śliczne, takie topole, a w topolach taki wiatr...* – pisał Gałczyński i śpiewała Maria Koterbska. Ta stosunkowo młoda dzielnica w znanym nam kształcie powstała w latach 20. XX wieku. Została zaprojektowana według koncepcji Tony’ego Garniera – osiowych założeń urbanistycznych i monumentalnych obiektów przy głównych ulicach. Nazwy części Starego Żoliborza: Dziennikarski, Urzędniczy, Oficerski wskazują, jakie grupy zawodowe przed wojną zasiedliły zbudowane tam wille. Państwo Zahorscy mieszkali w domu naprzeciwko Teatru Komedia. Martą zajmowała się babcia, wyręczając zapracowanych rodziców. Wychowywała wnuczkę do 11. roku życia.

– Babcia była bardzo tradycyjna, surowa, wymagająca, konkretna, wierząca – wspomina

pani Marta. Nienawidziła komunistów – przeżyła początki rewolucji na Ukrainie i cudem udało jej się ująć z życiem. W Polsce początkowo biedowała, a nawet głodowała. Tę byle jaką egzystencję przerwała II wojna światowa. Wiele anegdot rodzinnych opowiadano, jak potrafiła ocalić siebie i bliskich dzięki swojej odwadze, determinacji, stanowczości. Zaczęłam ją doceniać dopiero, gdy dorosłam, długo po jej śmierci. W życiu codziennym była bardzo trudna, wszyscyśmy się jej bali. Z babcią nie było dyskusji. Jeśli jej nie posłuchałam – wybuchowało piekło. Bardzo chciała, bym zachowywała się „jak dziewczynka”: była porządna, dbająca o porządek, o swój wygląd i, co było tragiczne, bo kompletnie nie mam ani słuchu, ani głosu, chciała, bym grała na fortepianie i, o zgrozo, śpiewała. Tymczasem mnie ideałów dostarczały książki o Indianach i wojnach, które czytał mi mój ojciec. Serdecznie gardziłam tak zwanymi „dziewczynkami”. Babcia dbała także o moje wychowanie religijne. Otrzymałam chrzest i komunię. Rodzice nie byli wierzący, ale dzięki babci wszystkie dostępne sakramenty – chrzest, komunię – otrzymałam. Obchodziliśmy też, jak pan Bóg przykazał, wszystkie święta katolickie. Regularnie uczęszczałam do kościoła. Pamiętam, jak pewnego dnia mama wzięła mnie na poważną rozmowę, powiedziała, że mogę chodzić do kościoła i ona nie ma nic przeciwko temu, ale jeśli usłyszę coś przeciwko Żydom, to mam w to nie wierzyć i nie wolno mi tego powtarzać.

Jej dom rodzinny był patriotyczny, ale „bez machania chorągiewką”. Nie zapominajmy, że ojciec był historykiem, a to zmusza do zdrowego dystansu do emocjonalnych zachowań. Kiedyś opowiedział córce o okolicznościach, które zdecydowały, że wybrał właśnie ten zawód. 6 września 1939 roku jako 15-letni chłopak wyruszył razem ze starszymi kolegami z Warszawy. W tym dniu prezydent Warszawy Stefan Starzyński ogłosił wymarsz na wschód mężczyzn zdolnych do noszenia broni. Miała być tworzona armia na odsiecz stolicy. Grupie Zahorskiego udało się dotrzeć aż pod wschodnią granicę. Nie wiedzieli dokładnie, gdzie są. Gdy pytali miejscowych, czy tu jeszcze jest Polska, ci najczęściej odpowiadali: „Nie wiemy, my tutejsi”. Andrzej był w szoku: dla młodego warszawiaka, wychowanego w duchu patriotycznym, ojczyzna była jednym z najważniejszych pojęć. Nie mógł uwierzyć, że w XX wieku, w Europie ktoś nie wie, w jakim kraju mieszka, jakiego państwa jest obywatelem.

– Zapewne to zdarzenie, często przez ojca przywoływane, miało jakiś wpływ na wybór jego drogi zawodowej – został nauczycielem historii. Dla mojego ojca przywiązanie do Polski zawsze zajmowało wysoką pozycję w hierarchii wartości – mówi pani Marta. – Nigdy jednak patriotyzm nie przybierał w naszym domu natrętnych form. Był stanem naturalnym.

Rodzice Marty mieli wielu znajomych, przyjaciół – głównie historyków, naukowców. Często spotykali się wieczorami i dyskutowali. O sprawach i ludziach dawno minionych, ale i o równie ciekawych wydarzeniach współczesnych. Marta przysłuchiwała się tym rozmowom od wczesnego dzieciństwa, siedząc na kolanach rodziców. To rodzice przede wszystkim ukształtowali jej charakter i poglądy.

– To nie byli rewolucjoniści – twierdzi. – Ich stosunek do systemu był bardzo zdystansowany. Nie chcieli walczyć. Uważali, że układ geopolityczny jest taki, że nie ma szans na zmianę. Trzeba więc po prostu żyć i pracować uczciwie, nie dając się zrobić w jakieś brzydkie rzeczy. Ojciec nigdy nie był w partii, mama wstąpiła do PZPR na fali euforii po 1956 roku, a rzuciła legitymację w 1968 roku. Kazano jej na zebraniu partyjnym tłumaczyć się, dlaczego źle wychowała córkę. Mama odpowiedziała, że jest ze mnie zadowolona i uważa, że wychowała mnie dobrze, po czym opuściła zebranie. Pracy nie straciła, ale spotkało ją tak wiele przykrości, że jak tylko to było możliwe, przeszła na wcześniejszą emeryturę.

Ta postawa – dystansu wobec systemu – obowiązywała wśród przyjaciół i znajomych państwa Zahorskich. Była charakterystyczna dla dużej części środowiska polskiej inteligencji: z jednej strony aprobatą dla niektórych idei socjalistycznych, z drugiej zaś niechęć do sposobów

ich urzeczywistniania. Różnice polegały jedynie na tym, że niektórzy usiłowali czynnie przeciwstawić się złym stronom systemu, a inni się poddawali, uciekali w pracę, karierę lub życie rodzinne. W rodzaj emigracji wewnętrznej.

– Moja rodzina była „klubem wzajemnej adoracji” – uśmiecha się Marta. – Byliśmy ze sobą bardzo życzliwi, kochaliśmy się bardzo. Jako jedyne dziecko w rodzinie byłam rozpieszczana i trzymana pod kloszem.

Wybrała studia na wydziale ekonomii politycznej UW. W rok później zaczęła studiować socjologię. Ładna, inteligentna dziewczyna z tak zwanego dobrego domu w sposób naturalny weszła w skład śmietanki towarzyskiej wydziału.

– Toczyliśmy poważne, zaangażowane dyskusje, chcieliśmy zmienić świat albo przynajmniej istotnie go zreformować. Nigdy jednak nie zaangażowałam się czynnie w działalność opozycyjną, na to byłam zbyt tchórzliwa – wyznaje.

Uważała, że misją intelektualnych elit jest pomaganie biednym. Była na tyle młoda i naiwna, że podejrzewała, iż partyjne wierchuszki niewiele wiedzą o społecznych nastrojach, ale gdy do nich dotrze brutalna prawda, to zmieniają swoje postępowanie... Tak naprawdę jednak młodą dziewczynę bardziej pasjonowało życie towarzyskie i uczuciowe, niż losy ciemnionej przez komunistów ojczyzny.

8 marca 1968 roku razem z przyjaciółmi poszła na wiec studentów.

– Mama jakimś cudem dowiedziała się, co się dzieje na uniwersytecie, przybiegła w te pędy na Krakowskie Przemieście i wyrwała mnie z tłumu tuż przed nacierającą na nas ścianą zomowców z pałami – wspomina Marta. – Zaciągnęła mnie do biblioteki uniwersyteckiej, którą współkierowała moja ciotka. Z okien dokładnie widziałymy przebieg wypadków, w tym próby interwencji prof. Bobrowskiego, prof. Herbsta, którzy chcieli wyprowadzić bezpiecznie studentów z dziedzińca UW. Pamiętam siwą głowę Bobrowskiego, wyraźnie odznaczającą się na tle szarych płaszczy i kapeluszy „aktywu robotniczego”, czyli chuliganów i zadymiarzy, przywiezionych na UW przez służby specjalne w celu spacyfikowania studentów.

Po tych zajściach nastąpił dla Marty trudny okres. Na wydziałach filozofii, socjologii i ekonomii zostały zawieszona zajęcia. Usunięto ją ze studiów. Wydział historii, na którym pracował ojciec, nie został zamknięty (chronił go parasol przewodniczącego Rady Państwa, Henryka Jabłońskiego, który sam był historykiem, a prywatnie znajomym Andrzeja Zahorskiego). Ojca Marty spotkały jednak pewne represje za to, że usiłował wstawiać się za zatrzymanymi studentami. Został odsunięty od wielu zajęć. Domowy telefon, który zwykle dzwonił bez przerwy, nagle zamilkł.

Marta wpadła w swoistą paranoję – wszędzie widziała agentów. Przyjazny dotąd świat zmienił się w okupację „sił zła”. Na szczęście najbliżsi przyjaciele Zahorskich okazali się odporni na wpływy zewnętrzne i okazywali wsparcie. Ale różnie to bywało: po latach najbliższy współpracownik profesora Zahorskiego po dużej wódce zwierzył się mu, że donosił na niego do SB.

– To nie do końca prawda, że dopiero w 1968 roku otworzyły mi się oczy na rzeczywistość. Byłam głupia, ale nie aż tak – uśmiecha się Marta. – Wiedziałam, jakie zagrożenia płyną z monopartyjnych rządów. Ale reprezentowałam typowe dla mojego środowiska podejście: wydawało mi się, że ustroj socjalistyczny nie jest aż tak straszny, można go zmieniać, reformować, korygować wypaczenia. Na skutek namów kolegów, chyba w 1967 czy 1968 roku, wstąpiłam do ZMS-u. Jak mi tłumaczono – trzeba rozbijać tę organizację od środka i ją przejmować. Ale zanim zdążyłam ją „rozbić”, już mnie z niej wywalono. A po marcu 1968 roku na własne oczy przekonałam się, do czego są zdolni rządzący.

Duży wpływ na jej stosunek do świata miał jej przyjaciel, późniejszy mąż. Jego ojciec był

wiceministrem. Przed wojną należał do PPS, niezwykle krytycznie oceniał stosunki społeczne w okresie międzywojennym. Wierzył w socjalizm „z ludzką twarzą”, co było o tyle osobliwe, że spędził rok w sowieckich łagrach, a po powrocie do kraju z Anglii po wojnie kilka lat przesiedział w więzieniu. Był pasjonatem dobrej organizacji i zarządzania. Wierzył, że działa na pożytek Polski, nie na jej szkodę. Jego syn nie miał już żadnych złudzeń. Uważał, że nie sposób „kopać się z koniem”. Wybrał drogę kariery naukowej, co najbardziej odpowiadało jego temperamentowi.

Po kilku miesiącach Martę przyjęto na studia i już bez większych zawirowań w 1970 roku zrobiła magisterium, a następnie znalazła pracę w Polskiej Akademii Nauk.

– Kolega powiedział, że w Pałacu Kultury i Nauki widział kartkę na tablicy ogłoszeń, że poszukują pracowników naukowych do Zakładu Nauk Ekonomicznych. Zgłosiłam się i od razu zostałam przyjęta! Dziwiłam się co prawda, że do Polskiej Akademii Nauk rekrutują pracowników „z ulicy”, ale bardzo się cieszyłam, bo miałam kłopoty ze znalezieniem pracy. Chyba coś w moich papierach zostało po 1968 roku.

Wkrótce jednak okazało się, że rzeczywistość skrzeczy. W PAN-ie pracowali rozmaici ludzie, niekoniecznie najwyższych lotów, niektórzy wyraźnie z partyjnego nadania. Żeby oddać sprawiedliwość, należy stwierdzić, że byli tam też i prawdziwi naukowcy. Marta miała szczęście, bo przyjęto ją do zespołu profesor Lidii Beskid, osoby niezwykle kompetentnej, solidnej i uczciwej. Jednak młoda absolwentka nie potrafiła zafascynować się tematami, które tam miała opracowywać.

O wiele bardziej ciągnęło ją do socjologii, którą ukończyła w 1971 roku, pracując w PAN-ie. Gdy okazało się, że prof. Wiesław Wiśniewski otwiera Zakład Socjologii Oświaty i szuka socjologów zajmujących się szkolnictwem, z radością przeniosła się w ciekawsze miejsce.

Dwa lata później, w 1972 roku, wyszła za *mąż*, urodziła córkę. Na początku mieszkali u jej rodziców, potem dostali – przez protekcję teścia – własne mieszkanie.

W tym okresie była młodą, ładną, trochę rozpieszczoną dziewczyną. Nie miała ambicji rewolucjonistki. Chciała żyć ciekawie i przyjemnie – jak tysiące jej rówieśniczek.

– Gdy z perspektywy czasu patrzę na swoją młodość, wydaje mi się beznadziejnie głupia – mówi przekornie. – Jako żoliborzanka w dzieciństwie należałam do „walterowców”. Była to drużyna harcerska, w której bardzo dużo dyskutowano. Mimo środowiska, w jakim tkwiłam, wspaniałych ludzi, z którymi się kontaktowałam, pomimo wielu lektur, moje poglądy były infantylne, a zainteresowania bardziej towarzysko-rodzinne niż intelektualne. Nie orientowałam się na idee, raczej na autorytety. Na szczęście były to wspaniałe postacie, które do tej pory są dla mnie ważne: profesorowie Maria i Stanisław Ossowsky, niezwykle cenieni przez moich rodziców; z moich wykładowców: prof. Witold Kula i prof. Stefan Nowak; spośród znajomych moich rodziców taką niezwykle dla mnie ważną postacią był prof. Jerzy Jedlicki; w szkolnych latach jako harcerkę fascynował mnie Jacek Kuroń. A na marginesie, gdy przed kilku laty analizowałam ankiety uczniów pytanych o autorytety, ich wybory były o wiele bardziej różnorodne i urozmaicone: najczęściej wybierani byli – i to często w jednej ankiecie – Papież Jan Paweł i... Doda.

– Na szczęście dla mnie, większość moich młodzieńczych autorytetów, a także przyjaciół, znajdowała się po jednej stronie – po stronie opozycji, tzw. lewicy laickiej. Nawet tarcia w rozmaitych jej ugrupowaniach nie wydawały się istotne – jednoczył je jeden przeciwnik: władza „komuchów”. Nie chciałam robić kariery, nie musiałam się więc wplątywać w układy partyjne. W instytucjach, w których pracowałam, nie wymagano ode mnie żadnych deklaracji lojalności wobec władzy. Nie miałam też problemów, jakie są moim udziałem obecnie, kiedy

ludzie, których cenię i lubię, znajdują się w różnych obozach i nie są w stanie ze sobą rozmawiać.

Marta nigdy nie myślała o emigracji. Owszem, chciała podróżować, zwiedzać inne kraje, ale jej dom był tutaj, w Warszawie. – Było mi zbyt dobrze, żeby wybierać niepewny los emigranta – mówi. Wielu jej przyjaciół wyjechało na stałe z Polski. Zauważyła, że mimo upływu lat ciągle żyją wydarzeniami w kraju. Na pewno w dużej mierze wynikało to z nostalgii. Raczej im współczuła, niż zazdrościła.

W 1976 roku wiedziała, co naprawdę wydarzyło się w Ursusie i Radomiu. Żoliborz huczał: aresztowano Kuronia. Wielkim wydarzeniem stał się fakt, że go wypuścili. Wydawało się, że coś się zmienia na lepsze. Zaraz potem na Żoliborzu przeżywano powstanie KOR. Wielu znajomych, sąsiadów Marty, brało udział w akcjach pomocy robotnikom.

Marta i jej mąż w tym czasie prowadzili ożywione życie towarzyskie, spotykali się ze znajomymi, prowadzili dyskusje o Polsce, polityce, życiu, przyszłości. W tym gronie znalazł się Ryszard Bugaj.

– Ryśka poznałam jeszcze na studiach – mówi Marta. – Trudno go było nie zauważyć. Na licznych zebraniach, wiecach w latach 1965-1968 był jednym z tych, którzy głośno i krytycznie wypowiadali się na temat bieżących wydarzeń. Zwróciłam na niego uwagę, bo miał zawsze swoje zdanie, nie zawsze zgodne ze zdaniem większości. Potrafił skutecznie bronić swoich poglądów. To mnie w nim zafascynowało, bo ja łatwo ulegałam presji i najczęściej przyjmowałam poglądy moich najbliższych. Mam skłonności do popadania w depresję. Po śmierci moich rodziców, gdy zaczęłam brać leki antydepresyjne, jest mi nieco łatwiej panować nad sobą, może obecnie jestem odrobinę bardziej asertywna. Ale to już inna historia.

Ryszard urodził się w Gawłowie, a wychował w pobliskim Sochaczewie. Jego rodzice pochodzili ze wsi. Choć przez pewien czas prowadzili sklepik z „mydłem i powidłem”, mincowskie reformy doprowadziły ich do bankructwa. Ojciec utrzymywał się z dorywczych prac, matka zarabiała na dom, pracując jako sprzedawczyni w sklepie. Mieszkali w slumsowatym bloku – pokój z kuchnią, wygodka na podwórku. Ryszard nie najlepiej wspomina czasy dzieciństwa i młodości w Sochaczewie. Nie brakowało mu tam co prawda oddanych przyjaciół, jednak marzył, żeby się z Sochaczewa wyrwać. Najlepszy kontakt miał z dziadkami ze strony matki. Dziadek był typowym tradycyjnym polskim chłopem, z zasadami. Upartym, stanowczym, dzielnym i wytrzymałym. Wiele z tych cech przekazał swojej córce, a ona Ryszardowi.

– Bardzo ceniłam mamę Ryśka za oddanie synowi. To był najważniejszy człowiek jej życia – twierdzi Marta. – Dobroć, oddanie, ale i twardy charakter. To naprawdę był Ktoś. Była krzywdzona przez los, przez męża, z którym w końcu się rozwiodła, cierpiała niedostatek, ale we wszystkich zawirowaniach pomagała jej pracowitość, odporność i zapobiegliwość. To była taka typowa „polska baba”, która radzi sobie w każdej, najtrudniejszej nawet sytuacji. Zaakceptowała mnie, mimo że byłam rozwódką z dzieckiem. Bardzo lubiła moją córeczkę, opiekowała się nią, czytała jej książeczki i bawiła się z nią.

Po szkole podstawowej Ryszard poszedł do technikum mechanicznego w Warszawie. Po raz pierwszy miał „epizod opozycyjny”: *Mieliśmy tam nieformalne kółko dyskusyjne, które debatowało na tematy z białych kartek (były to nasłuchczy z Wolnej Europy, które jeden z kolegów wykradał ojcu pracującemu w KC). Wykrył to dyrektor i zrobiła się afera. Szczęśliwie człowiek ten był oportunistą i bardzo nie chciał, żeby wyszło na zewnątrz, że w „jego szkole” coś takiego miało miejsce. Skończyło się więc na wewnętrznych represjach – wspomina Bugaj w książce *O sobie i o innych*. Jako młody człowiek po maturze uważał się za „lewicowca” przekonanego jednak, że „PZPR popsuł dobrą ideę socjalistyczną”. Postanowił dzielić losy klasy robotniczej – świadomie zrezygnował ze studiów i zaczął pracować jako robotnik w Warszawskich Zakładach Mechanizacji Budownictwa na Woli. – Zobaczyłem wtedy, jak absurdalną instytucją jest*

„socjalistyczne przedsiębiorstwo – twierdzi.

Po roku dostał się na wydział ekonomii politycznej UW, ten sam, na którym studiowała Marta. *To były dość szczególne studia – wspomina Bugaj. – Z jednej strony urzędowo nakazany marksizm, ale z drugiej otwarta atmosfera debaty, no i wielu wybitnych ludzi (na wydziale tacy profesorowie, jak Włodzimierz Brus, Czesław Bobrowski czy Witold Kula, i asystenci, jak Władysław Baka czy Aleksander Smolar, a poza wydziałem, ale wykładający na ekonomii – Krzysztof Pomian). Ale przede wszystkim nieformalna, ale powszechna aktywność stricte polityczna.*

Gdy zaczynał studia, wiele szumu robił „List Otwarty do Partii” Kuronia i Modzelewskiego. *List był wściekle lewicowy i pełen – nawet dla początkującego studenta – naiwności (na przykład autorzy wyliczali na podstawie rocznika GUS-u wysokość marksistowskiej stopy wyzysku, chyba do drugiego miejsca po przecinku), ale był to tekst bardzo szlachetny, odważny i przelamujący okres popaździernikowego marazmu – ocenia Bugaj. Krótko był w ZMS-ie, ale w 1967 roku został z niego usunięty za „rewizjonizm”. Związał się z grupą przyszłych „komandosów” (Michnik, Sawicki, Nagórski, Lityński, Blumsztajn, Dajczgewand, Szlajfer, Toruńczyk, a także Jan Gross i jego żona Irena Grudzińska i inni). Byłem jednym z bardzo niewielu ludzi z zewnątrz uczestniczących w aktywności tego środowiska – twierdzi.*

W okresie wydarzeń marcowych był przedstawicielem studentów w rozmowach z władzami UW. Wylądował na przesłuchaniu na Rakowieckiej, gdzie esbek radził mu, żeby w przyszłości „nie trzymał z Żydami”. Ryszard nie poszedł do więzienia, ale został usunięty z uczelni, co było o tyle bolesne, że był już na ostatnim roku. Ukończył studia dopiero po trzech latach, po obaleniu reżimu Gomułki.

Marzec był dla mnie bardzo ważny – twierdzi. – Był przede wszystkim źródłem życiowego optymizmu. Nigdy przedtem i nigdy potem (nawet w 1980 roku) nie miałem okazji doświadczyć tak silnego poczucia wspólnoty i zaangażowania „po słusznej stronie”. Uniwersytet – wszyscy znajomi, koledzy i przyjaciele – był ostoją tej słusznej sprawy, bronionej solidarnie i odważnie także na innych uczelniach. Wtedy też definitywnie zrozumiałem, że ta „czaszka” (komunizm) nigdy już się nie uśmiechnie.

Gdy zaprzyjaźnił się z Martą i jej mężem, pracował w Centralnej Komisji Planowania. Żonaty, otoczony gronem przyjaciół, Bugaj był postacią charyzmatyczną, wybijającą się. Nie można było nie zwrócić na niego uwagi. To działało jak magnes – nie tylko na kobiety. Zawsze otaczał go wianuszek „wyznawców”.

– Ciągle spotykaliśmy się w tym samym kręgu znajomych – wspomina Marta. – I tak się przyjaźniliśmy, coraz mocniej i silniej...

Na początku nie sądziła, że tak bardzo „wsiąknie”. Traktowała to jako chwilowe zauroczenie. Dopiero po pewnym czasie uświadomiła sobie, że nie potrafi zerwać tego związku.

Oczywiście nie obyło się bez dramatycznych scen, zwłaszcza że mieli to samo grono przyjaciół. Rodzice Marty i jej męża przyjaźnili się, spotykali. Na szczęście po jakimś czasie, gdy ostygły emocje, sytuacja poprawiła się na tyle, że Marta odwiedzała razem z Ryszardem byłych teściów.

– Zwłaszcza mój były teść lubił Ryśka i potrafił z nim godzinami dyskutować o polityce. Spory wznagał lub łagodził alkohol, którzy obaj panowie bardzo cenili – uśmiecha się. – W unormowaniu naszej sytuacji towarzysko-rodzinnej ogromną rolę odegrali nasi eksmałżonkowie. Wykazali się wielkodusznością i tolerancją. Nadal pozostajemy w przyjaznych stosunkach. W razie problemów możemy też na siebie liczyć.

„Ryszard Bugaj, właściciel patentu motorowodnego, trzech pilarek, strugarki, grubościówki stacjonarnej, niewielkiego sadu i pławdaczy, którą będzie pływał po rzekach

Francji” – tak przedstawił go Robert Mazurek, który robił z nim wywiad do „Gazety Wyborczej”. Zapomniał wymienić dom na kółkach, rodzaj karawangu, który Bugaj własnoręcznie zrobił z samochodu dostawczego. Zwiedzili nim pół Europy. A w zasadzie o dwóch takich wehikułach: pierwszym zbudowanym na bazie poloneza, a drugim – fiata dobło. Tajemnicza „pławdacza” to rodzaj barki, domku na wodzie. Mała, na dwie osoby: dla niego i Marty. Prototyp skonstruował dwa lata temu, ale nie spełnił on jego wymagań. Teraz buduje drugą wersję, ulepszoną.

– Gdy zamieszkaliśmy razem, Rysiek działał w opozycji, próbował mnie w to wciągać, ale ja byłam trochę wystraszona. Wolałam obserwować. Zwłaszcza że nie zawsze moje wypowiedzi spotykały się z entuzjazmem Ryśka. Dyskusje miały jednak ten pozytywny efekt, że gdy mieli przyjść goście, Rysiek błyskawicznie wykańczał jakiś element domu. Na przykład dzięki temu, że zaprosiliśmy grupę profesorów, mamy drzwi do ubikacji.

Im bliżej do roku 1980, tym częstsze były spotkania. Apogeum oczywiście nadeszło w 1980 roku, w czasie tak zwanego „karnawału”.

– Tkwiliśmy w kokonie przyjaciół. Przez tę poduszkę amortyzacyjną nie czuło się napięć i niebezpieczeństw. Czułam się bezpiecznie, mimo że cały czas w tle była milicja, zatrzymania, aresztowania – twierdzi Marta. – Z mojej strony nie było żadnego heroizmu. Najwyżej podnosił mi się poziom adrenaliny. Ale ja nie ryzykowałam, jak wielu naszych znajomych, spijałam jedynie „śmietankę towarzyską”. Bo w tle knucia wesoło się bawiliśmy. Nie bez powodu Polska została nazwana „najweselszym barakiem w obozie socjalistycznym”. A Rysiek był w swoim żywiole.

13 grudnia zastał ich u rodziców Marty, gdzie akurat mieszkali. Milicja najpierw przyszła do mamy Bugaja. Starsza pani przeprowadziła się z Sochaczewa do Warszawy, miała malutkie mieszkanie. Nie chciała wpuścić funkcjonariuszy, bo nie wierzyła, że milicja przychodzi w nocy. Wystraszyli ją śmiertelnie, bo wyważyli drzwi. Gdy zorientowali się, że Ryszarda nie ma u matki, pojechali do Zahorskich. Z tego wynika, że mieli aktualne informacje.

– Mama strasznie się zdenerwowała, bo jeden z naszych psiaków pozwolił się pogłaskać ubekowi. Mama uznała to za zdradę – uśmiecha się Marta. Nie byli agresywni, raczej skrupowani. Nie wiedzieli, jak zachować się w profesorskim domu. Chcieli jak najszybciej stamtąd wyjść. Zabrali więc Bugaja – i poszli. Marta, chcąc dowiedzieć się co się dzieje, pobiegła do sąsiadów. Tam wpadła w kocioł. Musiała przesiedzieć u nich na tapczanie całą noc.

– Od początku miałam niczym niezmaconą pewność, że mąż niedługo wróci. Z kolei mama Ryśka, która przeżyła wojnę, okupację, była przekonana, że wywiozą go na Sybir. Lekarz kazał mi leżeć ze względu na zagrożoną ciążę, a ja w kółko zamęczałam rodzinę, żeby kupili prezent dla Ryśka pod choinkę. Patrzyli na mnie ze współczuciem, jak na biedną idiotkę, która wierzy, że jej ukochany wróci z wojny, a przecież nie ma na to nadziei. Ale wyszło na moje – na święta Rysiek już był w domu, zdrowy i cały.

Trochę żałował, że tak krótko siedział. Został internowany w ośrodku wypoczynkowym. Więźniowie planowali wykłady, naukę języków. Mieli dobre warunki, dbano o ich zdrowie. Jednemu z kolegów wyleczono zaniedbane uzębienie... Toczyli poważne dyskusje, śpiewali *ad hoc* ułożone piosenki, a że wielu miało temperament, nie obyło się też bez starć. Po prostu męski raj.

– W 1982 roku urodziłam drugą córkę i mieliśmy czas na wykończenie domu – uśmiecha się Marta. – Rysiek został zwolniony z pracy, ale pensję mu przez pół roku wypłacano. Super! Życie po różach mi się ułożyło dzięki stanowi wojennemu.

Nigdy nie miała żadnych problemów w pracy związanych z działalnością męża. Wręcz przeciwnie.

– Choć niektórzy moi znajomi uważają, że poglądy Ryśka są nie z tej ziemi, jest on

postać szanowaną, akceptowaną i uznawaną. Ludziom podoba się to, że w każdych okolicznościach zachowuje swoje zdanie, że nie jest koniunkturalistą. Zresztą socjologia jest specyficznym wydziałem. Wyszła z PRL-u bez kaca moralnego, w przeciwieństwie do ekonomii politycznej. Oczywiście były różne opcje, od propartyjnej profesora Jerzego Wiatra, po skonfliktowanych z nim tzw. „Ossowczyków”, ale była to przechowalnia różnych ciekawych, utalentowanych ludzi. Szkoda, że po 1990 roku wielu z nich „wysała ciśnienie” – odeszli do zajęć, które bardziej ich interesowały.

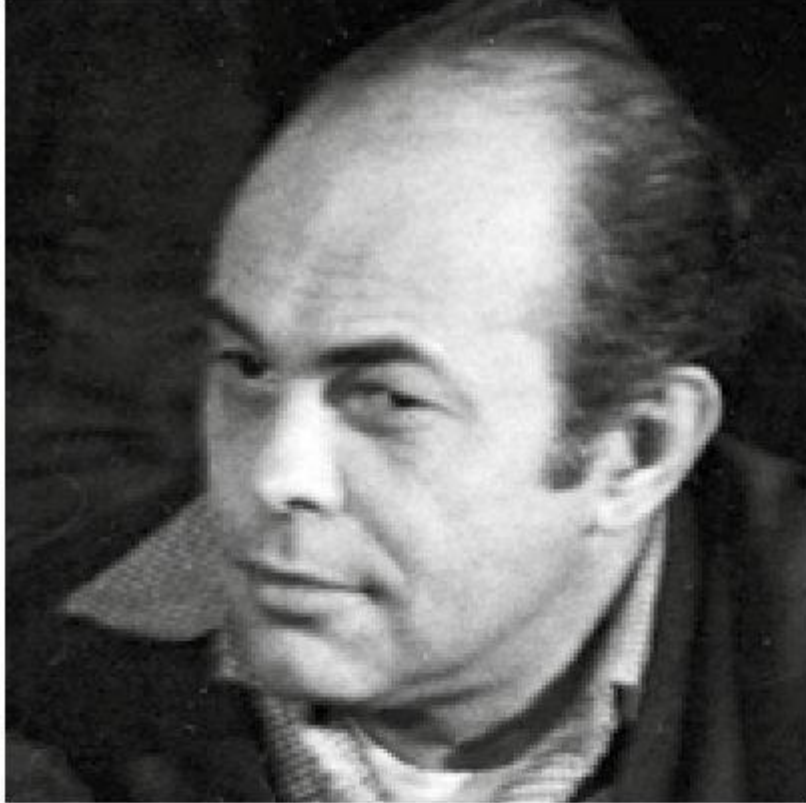
Marta Zahorska-Bugaj jest dziś członkiem Rady Wydziału Filozofii i Socjologii na UW, do niedawna wchodziła w skład zarządu Polskiego Towarzystwa Socjologicznego. Zajmuje się socjologią edukacji, polityką edukacyjną. Bada społeczne konsekwencje systemów edukacyjnych i analizuje polski system edukacyjny. Obecne czasy, częste zmiany, konflikty, podziały to – jak twierdzi – istny raj dla socjologów. Porzekadło „obyś żył w ciekawych czasach” na pewno nie jest dla nich przekleństwem. Wręcz przeciwnie.

– Następuje polaryzacja społeczeństwa, choć część moich kolegów nie chce w to uwierzyć. Nie wiadomo, czy masa osiągnie punkt krytyczny, z naszych badań to nie wynika. Socjologia nie powinna zajmować się przewidywaniem przyszłości. Prof. Stefan Nowak opowiadał, że gdy był przed 1968 rokiem w USA, widział zastępy studentów w garniturach i krawatach. Socjologowie pisali o konsumpcyjnych postawach młodego pokolenia nastawionego na karierę i rodzinę. Pół roku później nikt w krawacie nie chodził, tylko w dżinsach i kwiatach, a młodzi zaczęli bezpardonową walkę ze społeczeństwem wyścigu szczurów. Tuż przed 1980 rokiem Nowak napisał bardzo ważny i powszechnie dyskutowany tekst o polskim społeczeństwie, charakteryzując je jako skrajnie podzielone i zatimizowane – tymczasem wkrótce wybuchł Sierpień. Przyszłość jest dla nas zagadką.

Mam ten komfort, że mogę z racji wieku obserwować życie z dystansu, co – prawdę powiedziawszy – zawsze mi odpowiadało. Natomiast Ryśka gnębi poczucie bezradności. Stale się emocjonuje, gdy ktoś coś „durnego” powie, albo, co gorsza, podejmowane są decyzje, co do których negatywnych skutków jest przekonany. Niestety, bardzo często ma rację!



Zwykle był „w wojsku”
opowieść o Grażynie Kuroń



Jacek Kuroń – polityk, jeden z przywódców opozycji demokratycznej w okresie PRL, historyk, działacz ZHP, współzałożyciel KOR, dwukrotny minister pracy i polityki społecznej, w latach 1989-2001 poseł na Sejm X, I, II i III kadencji. Zmarł w 2004 r.



Każda rewolucja musi mieć swojego barda, swoją pieśń i swoją legendę. Dla rewolucji Solidarności bardem był Jacek Kaczmarski, pieśnią „Mury”, a legendą – miłość Gai i Jacka Kuroniów, opiewana w wierszach, sławiona w dramatach, a przede wszystkim utrwalona w więziennych listach, które wymieniali między sobą. Są co prawda tacy – bo zawsze znajdzie się margines sceptyków – którzy podejrzewają, że przynajmniej część tej korespondencji powstała już po śmierci Grażyny (Kuroń miał je sam sfabrykować w rozpacz po stracie żony), ale nie ma na to żadnych dowodów i odnotowujemy to tylko z kronikarskiego obowiązku. Jak w każdej szanującej się pieśni o dwojgu kochankach jest tu i szczęście, i bohaterstwo, i rozłąka. I wreszcie tragiczne zakończenie.

Wielu pamięta jeszcze Gajkę i Jacka, ich mieszkanie przy ul. Mickiewicza na warszawskim Żoliborzu, typowo „inteligenckie”, pełne ciepła i rozkosznego nieporządku. Kiedy odwiedzałam w tym mieszkaniu schorowanego już Kuronia w połowie lat 90., w szerokim, małżeńskim łóżku, w sypialni, chorowała druga żona Jacka, Danuta. Chcąc nie chcąc, widziałam ją zza wpółotwartych drzwi.

Była dla niego podporą w ostatnich latach życia. Syn Maciek ożenił się i wyprowadził do Izabelina. Część przyjaciół nie mogła wybaczyć Jackowi, że wziął sobie drugą żonę, naruszając w ten sposób pamięć Gajki i KOR-owską legendę. Ale człowiek nie łąbędź, a działalność społeczna, choćby nie wiem jak intensywna, nie zastąpi domu i kochającej kobiety.

Na pewno Jacek był pierwszą i jedyną miłością Grażyny Boruckiej. Poznali się na obozie „walterowców”, gdy miała 15 lat. Starszy od niej o sześć lat Jacek był w kadrze kierowniczej obozu.

Kim byli „walterowcy”?

– Po Październiku ‘56 został odtworzony w tradycyjnym, „bogoojczyźnianym” kształcie Związek Harcerstwa Polskiego z poprzednią niekomunistyczną kadrą kierowniczą – wspomina Antoni Zambrowski, dawny przyjaciel Jacka. – Jacek Kuroń, który brał czynny udział w wydarzeniach październikowych na Uniwersytecie Warszawskim, na znak sprzeciwu wobec tego tradycyjnego ZHP stworzył „czerwone harcerstwo” w kształcie Hufca im. Generała Waltera, czyli polsko-sowieckiego generała Karola Świerczewskiego. Do tego harcerstwa chętnie posyłali

swoje dzieci ideowi komuniści, często żydowskiego pochodzenia, co często później wykorzystywała przeciwko wychowankom Kuronia propaganda spod znaku Moczara. Gaja, wychowana w zwyczajnej polskiej rodzinie – katolickiej i patriotycznej, pod wpływem męża odeszła od Kościoła i podzielała jego lewicowe poglądy odrzucające patriotyzm. Mnie w prywatnej dyskusji Jacek oświadczył, że naród polski – to hipostaza, czyli byt nierealny. Zaskoczony takim stwierdzeniem, nie zapytałem, czy realnym bytem jest przynajmniej polska mowa...

Organizacja „walterowców” miała na celu stworzenie w Polsce drużyn młodzieżowych na wzór radzieckiej Organizacji Pionierskiej imienia W. I. Lenina. Podstawą ideologiczną były wskazania radzieckiego pedagoga Antona Makarenki, autora *Poematu pedagogicznego*. Paradoksalnie, z czasem okazało się, że hufiec walterowski stał się kuźnią kadr walczących z systemem peerelowskim. Wywodził się z niego m.in.: Adam Michnik, Seweryn Blumsztajn, Jan Lityński, Józef Chajń.

Atmosferę na obozie i poznanie Gai tak opisywał Jacek Kuroń w swojej autobiograficznej książce pt. *Wiara i wina: Kwatermistrzówkę robił nam Zarząd Stołeczny ZMP. Załatwili nam ośrodek szkolenia rolniczego w miasteczku Wolin, niby wszystko cacy, ale po przyjeździe okazało się, że przynajmniej dla jednej trzeciej dzieciaków nie ma łóżek ani koców. Nas było czterech, tych, którzy wiedzieli, o co chodzi, a prócz tego jakieś nauczycielki dobrane przez Zarząd Stołeczny i takie śmieszne dziewczyny z IX klasy jako pomoce wychowawcze. Na te dziewczyny mówiłem kozy. Była jedna, taka z warkoczem, ale wtedy jej jeszcze nie zauważyłem. (...) Wreszcie w nocy, kiedy dzieciaki już spały ubawione i zmęczone, ruszyłem na obchód. Nagle zobaczyłem, że w kącie ktoś śpi na plecaku, w kucki, przykryty kocem na głowę. Podeszedłem i okazało się, że to jest dziewczyna z warkoczem, jedna z kóz. Niestychane było to, że nie trzeba było nic poprawiać, wszystkim się zaopiekowano i że ta dziewczyna śpi na plecaku. Więc mówię do niej: – Jak masz na imię? – Grażyna. Obudziła się oczywiście, kiedy zaświeciłem latarką. Właśnie w tym błysku latarki zobaczyłem, że ma takie wielkie, złociste oczy. Wziąłem ją za warkocz i zapytałem: – Czemu ty tak śpisz? – No bo już ułożyłam wszystkie dzieci, wszystko jest w porządku, więc mogę sobie pospać. – To trzeba było przyjść do nas, do kancelarii. – Po co miałam wam głowę zawracać, wy i tak macie dużo roboty. – Masz pewnie młodsze rodzeństwo i ty jesteś najstarsza? – Tak. – Tak poznałem Gaję. Powiedziałem: – Teraz chodź, bo musimy pogadać.*

Od razu zrobiliśmy odprawę kadry i krzychałem strasznie, że nie tak położyli dzieci, nie dopilnowali i chwaliłem tę małą, że jedna jedyna umiała to zrobić (...) A Gajka w ogóle była najlepsza. I ja to mówiłem stale i stale chodziłem do namiotu jej zastępu, aż wreszcie zrobił się bunt. Trudno powiedzieć, na ile on był sprawiedliwy, bo to było nie w porządku, że ja tylko jedną Gajkę widziałem na świecie. Czy to był naprawdę najlepszy zastęp, czy może ja ją już kochałem, choć się przed tym strasznie broniłem, bo ona miała przecież 15 lat, a ja 21? (...) Już w nocy przychodziłem do namiotu kadry żeńskiej, gdzie się wszyscy schodzili, i opowiadałem bajki. Tak się składało, że siadałem zawsze na pryczy Gajki i brałem ją za warkocz, to była jedyna pieszczota, na jaką sobie pozwalałem, i opowiadałem wszystkim, a naprawdę Gajce. I tak się to ciągnęło. Więc ona rzeczywiście była najlepsza, czy mówiłem, że jest najlepsza dlatego, że już ją kochałem, trudno powiedzieć. (...) Jeszcze przedtem był taki moment: cisza poobiednia, dzieci szły spać, taki był obyczaj. Myśmy właściwie spać nie mogli, bo zaraz trzeba było coś zrobić, ale była chwila oddechu. Położyłem się w namiocie i przysnąłem. Fartuchy były podwinięte, jeden się spuścił i musnął mnie po twarzy. A mnie się śniło, że mnie Gajka muska warkoczem – to znaczy przeleciał anioł i obudziłem się absolutnie szczęśliwy. Pomyślałem sobie: przecież ja kocham tę małą gówniarę. Przestraszyłem się tego, zaparłem. Tego dnia albo następnego ona

powiedziała, że mnie kocha. Wtedy już nie wytrzymałem, powiedziałem, że ja też. Gaja się potem śmiała, że to ona mi się oświadczyła.

Trudno było nie zauważyć, że dorosły wychowawca wyróżnia jedną z dziewcząt. Wybuchł skandal. Zebrała się grupa partyjna obozu, żeby osądzić postępowanie Jacka. Takie były czasy, że uczucia działaczy cenzurowali zwierzchnicy.

Pamiętam, jak zebraliśmy się w namiocie rady obozu, noc była, pełnia, i oni mówili: – Co ty robisz? Zawracasz dziewczynie w głowie, siadasz przy niej, wszyscy są zazdrośni, bierzesz ją za warkocz, bajki jej opowiadasz. No, zastanów się, co ty robisz. – Towarzysze – mówię – macie rację. Kłopot polega na tym, że ja ją kocham. Przedtem bym tego nie powiedział, ale to już było w dzień po tym lesie, więc powiedziałem. Wszyscy na mnie popatrzeli – pamiętam ten namiot, tę świeczkę, tę noc nad Zalewem Solińskim – i Sasza Czuby, nasz sekretarz, powiada: – Co ty za głupstwa jakieś wygadujesz? Miłość? Co ty, dziecko jesteś? – Trudno, siła wyższa i skrzypce, ja ją kocham.

Po powrocie spotykali się bardzo często. W zasadzie nie było dnia, żeby Jacek nie jechał na Mokotów, gdzie mieszkała Grażyna. Czasem po prostu tylko po to, żeby zobaczyć przez okno, jak siedzi przy biurku i odrabia lekcje. Ona była jeszcze uczennicą, prawie dzieckiem, on był dorosły, kończył studia na Uniwersytecie Warszawskim. Miłość stała się kamieniem milowym w jego życiu, obudziła pokłady romantyzmu, o których do tej pory nie miał pojęcia.

Bo do tego momentu liczyła się dla niego tylko wielka polityka, a konkretnie – budowa społeczeństwa socjalistycznego. Hance, swojej poprzedniej dziewczynie mówił, że „kocha ją prawie tak mocno, jak partię”...

Pochodził z rodziny o tradycjach pepeesowskich. Jego ojciec wspominał, jak będąc dzieckiem, siusiał na ulotki PPS, które rodzice chowali w jego wózku, gdy carscy żołnierze przeszukiwali ich dom w Sosnowcu.

– Ojciec miał wyrzuty sumienia – twierdzi Andrzej, brat Jacka – że Jacek poszedł w jego ślady i wybrał działalność polityczną. Sam o politykach i polityce mówił bardzo źle. Przed wojną działał aktywnie w Polskiej Partii Socjalistycznej. Historie naszych rodziców to historie ludzi ogromnie doświadczonych przez życie. Ojciec był ochotnikiem dwudziestego roku, miał wtedy piętnaście lat. Później przeszedł przez powstanie śląskie. W czasie dwudziestolecia międzywojennego wyjechał do Lwowa, gdzie skończył Politechnikę Lwowską. Ożenił się z bardzo piękną kobietą, która pochodziła ze starej rodziny lwowskiej. Jak mówił Jacek, profesorsko-generalskiej. To był wówczas ewidentny mezalians. Po czym wybuchła wojna – ojciec działał w Biurze Informacji i Propagandy Armii Krajowej. Ojciec nie utożsamiał się z nowym systemem – znał bowiem Rosjan z 1939 roku, ze Lwowa. Mówił, że jak zaczął stać w kolejkach w 1939 roku, to stoi do dziś. W związku z tym, tak jak mówię, ojciec był bardzo doświadczony, to na pewno musiało być dla Jacka bardzo ważne. Pamiętam, że po powrocie do domu, czasami bardzo późno, Jacek siadał i relacjonował ojcu swój dzień – co zrobił, z kim rozmawiał. Ojciec go wysłuchiwał, po czym puentował. Na ile Jacek brał sobie te uwagi do serca – nie wiem.

Z kolei Gaja wychowywała się w zwykłej rodzinie. To, że była najstarszą z rodzeństwa (trzy siostry i o wiele młodszy brat) nauczyło ją odpowiedzialności, opiekuńczości, odwagi i empatii – cech, które były jej bardzo pomocne w roli żony opozycjonisty.

– Miałyśmy szczęście rosnać w normalnym, ciepłym domu – twierdzi jej siostra, Ewa. – Tata był z nas, czterech córek, bardzo dumny.

Lubił powtarzać, że nikt nie ma takich pięknych, mądrych i dobrych córek, jak on. Udzielał nam lekcji fokstrotą, polki, tanga, wyobrażał sobie, że przygotowuje nas na bale.

Dla Gai bal zaczął się 25 kwietnia 1959 roku. Pobrali się z Jackiem, gdy zrobiła maturę.

Chyba zdawała sobie sprawę z tego, że nie będzie lekko, ale była szczęśliwa.

Bardziej przeżyły to młodsze siostry Grażyny.

– My się zawsze czepiałyśmy Gajki – wspomina jej siostra Ewa Dobrowolska – bo miała pomysły, jak się z nami, młodszymi, bawić. Kiedy szła za męża, moje koleżanki myślały, że w domu przydarzyło się jakieś nieszczęście, tak płakałam.

Kuroniom było ciężko, podobnie jak tysiącom innych młodych par w Polsce – nie mieli pieniędzy, mieszkania i perspektyw. Przez jakiś czas mieszkali u rodziców Grażyny, potem przeprowadzili się do rodziny Jacka. Tam było jeszcze ciasniej: oprócz rodziców i brata Jacka, Andrzeja, mieszkał z nimi kuzyn Wacek, którym opiekowali się jeszcze od czasów wojny.

Rok po ślubie urodził się ich syn Maciek, 8 marca 1960 roku. Taki prezent dla Gai na Dzień Kobiet. Dla niej był to bardzo trudny okres: w ekstremalnych warunkach chciała pogodzić role żony, matki i studentki na wydziale psychologii. Jacek coraz głębiej wchodził w opozycję. Zmienił poglądy o 180 stopni, zrozumiał, że zmiany w PZPR nie prowadzą do pozytywnych zmian w Polsce.

W 1964 roku Kuroń razem z Karolem Modzelewskim napisał „List otwarty do partii”, w którym wskazywali na konflikt pomiędzy klasą robotniczą i centralną biurokracją partyjną. Pisali m.in.: „Do kogo należy władza w naszym państwie? Do jednej monopolistycznej partii – PZPR. Wszystkie istotniejsze decyzje podejmowane są najpierw w partii, a potem dopiero w organach oficjalnej władzy państwowej; żadna istotna decyzja nie może być podjęta i realizowana bez sankcji władz partyjnych. (...) Klasa robotnicza nie ma możliwości organizowania się w inne partie, a tym samym formułowania, propagowania i walki o realizację innych programów, innych wariantów podziału dochodu narodowego, innych koncepcji politycznych niż programy i koncepcje PZPR. Monopolu partii rządzącej na organizowanie robotników strzeże cały państwowy aparat władzy i przemocy: administracja, policja polityczna, prokuratura, sądy, a także kierowane przez partię organizacje polityczne, demaskujące w zarodku próby podważenia kierowniczej roli PZPR”. Adresat odpisał na ten list stanowczo: obaj autorzy trafili do więzienia. Jacek na trzy lata, Karol na trzy i pół roku. Przy okazji Gaja została zatrzymana na 24 godziny.

Przeszła „chrzest bojowy” żony opozycjonisty. Odtąd samotność żony więźnia miała stać się stałym elementem jej życia. Nie miała wtedy pojęcia, że z dwudziestu trzech lat małżeństwa aż siedem upłynie pod znakiem więzienia Jacka, dziesięć zaś zdominują aresztowania, zatrzymania na 24 godziny, rewizje, podsłuchy, pobicia i esbeckie szykany. Aż wreszcie czeka ją własne więzienie, w stanie wojennym, które prawdopodobnie skróci jej życie. Czy kiedykolwiek żałowała, że związała się z tak niebezpiecznym, nienadającym się na męża mężczyzną?

Drętwieję ze strachu – pisała do niego do więzienia – że mogłam Cię nie spotkać. Z perspektywy lat nie wymigamy się od teorii przeznaczenia, bo przecież wtedy, dawno temu, kiedy nosiłam warkocze, Ty byłeś dorosły.

Miała 25 lat, synek – 5. Chciała być dzielna. I nieźle jej to wychodziło. Poza utrzymaniem domu zajmowała się odwiedzaniem męża i przygotowywaniem mu paczek. Było to bardzo ważne, bo w tamtych czasach więźniowie dostawali mało jedzenia. Paczka przysługiwała bardzo rzadko – czasami tylko dwa razy w roku.

Wysłałam pieniądze – pisze w liście do Jacka. – Żałuję że tak późno, ale nie wiedziałam, że 100 zł, które miałeś przy sobie, musiało iść do depozytu. Błędy wynikają z braku obycia z tą problematyką. No, ale będą się doskonalić.

Uczy się przygotowywać paczki, bo nie jest wcale łatwo sporządzić idealną przesyłkę dla więźnia. Rutynę zastępuje jej wrodzona inteligencja. Prócz tego konsultuje szczegóły z bardziej doświadczonymi znajomymi. Jacek jest zachwycony. *Zawartość pierwszej paczki była*

z kryminalnego punktu widzenia absolutnie wspaniała (rosół z drobiu czyni jadalną każdą zupę). (...) Wszystko co piszesz wskazuje, że zostałaś stworzona na żonę kryminalisty.

– Z czasem, już w stanie wojennym, Jacek wymyślił taką metodę, że szukał więźniów, którzy nie mieli nikogo bliskiego, kto mógłby im wysłać paczkę, a następnie prosił Grażynę, aby poszukała wśród znajomych kogoś z takim samym nazwiskiem – wspomina Andrzej Kuroń, brat Jacka. – Następnie Grażyna przekazywała Jackowi na widzeniu adres, pod który więzień miał wysłać talon (obowiązywały wtedy kartki na żywność i papierosy – przyp. aut.), później Grażyna odbierała talon i wysyłała na nazwisko tego więźnia paczkę. Gdy paczka docierała do więzienia, Jacek dzielił się nią pół na pół z więźniem, którego nazwiska użył. Chodziło nie tylko o jedzenie, ale o papierosy. Jacek palił nałogowo, poza tym za kratkami papierosy są „walutą wymienną”. Jacek bez palenia po prostu nie mógł żyć. Pamiętam, jak leżał przed śmiercią w Warszawie, już na OIOM-ie. Zadzwonił do mnie i poprosił, żebym mu kupił papierosy. Przyjeżdżam do niego i mówię: Jacek, po co ci te papierosy tutaj? A on do mnie: Ja muszę je mieć w szufladzie...

Stanisławnowy a Barańczaka tak zainspirowały te papierosy Jacka – a w rzeczywistości to, co wtedy robiła Gaja – że poświęcił jej wiersz:

*Pamiętać o papierosach. Żeby zawsze były pod ręką,
gotowe do wsunięcia w kieszeń, gdy znowu go zabierają.
Znać na pamięć przepisy dotyczące paczek i widzeń.
Sztukę zmuszania mięśni twarzy do uśmiechu.
Jednym chłodnym spojrzeniem gasić wrzask policjanta,
zaparzać spokojnie herbatę, gdy oni bebeszą szuflady.
Z obozu albo szpitala ślać listy, że wszystko w porządku.
Tyle umiejętności, taka perfekcja. Mówię poważnie.
Chociażby po to, aby się nie zmarnowały,
nagrodą za to wszystko powinna być nieśmiertelność,
a już co najmniej jej wybrakowana wersja, życie.*

Stanisław Barańczak, *Grażynie*

(...) Więzienie to dla mnie przede wszystkim tęsknota za Gajką – pisze Kuroń w Wierze i winie. – (...) Przez najważniejsze dla naszego życia lata Gaja i ja wszystko robiliśmy razem, razem myśleliśmy, razem czuliśmy, baliśmy się, cieszyli... Kiedy więc ona wyjeżdżała na praktykę, to obydwoje pozostawialiśmy w naszym wspólnym świecie. Każde z nas było samo, ale jakby w tym drugim, bo robiliśmy to, co wspólne – we wspólnie rozpoznanych i oszczędzonych sytuacjach. Tymczasem wojsko, a później więzienie to nie tylko była rozłąka, to był obcy świat, wobec którego nagle musiałem stanąć sam – bez Gajki. Mówię, że wszystko robiliśmy razem, ale jak zawsze w takim ścisłym współdziałaniu zrodził się między nami pewien podział ról. Ja byłem jej szaleństwem, ona moim rozsądkiem; ja byłem jej analizą i syntezą, ona moim osądem moralnym.

Ewa Dobrowolska tak ocenia to małżeństwo: – Nie tylko Gaja, wszystkie moje siostry to kobiety jednego mężczyzny. Gaja patrzyła na świat oczyma Jacka. Koło niego zawsze był tajfun i czasem myślę, że kiedy on szedł do więzienia, ona zażywała trochę spokoju, oddawała długi, kupowała coś do domu.

Kiedy byliśmy razem i wracałam do domu wieczorem, z niepokojem patrzyłam w okno. Bałam się, że może Ciebie nie być. Nie myślałam o tym, że może Cię nie być przez tydzień, miesiąc, rok. Bałam się, że ten wieczór nie będzie nasz – pisała do męża. – Teraz, kiedy siedzę sama w domu, nie pozwalam sobie na podobne myśli, byłoby to samobójstwem. Duszę głęboko tęsknotę, a raczej przetwarzam ją na świadomość tego, że jesteś mój. I ta świadomość jest moją radością.

Karol Modzelewski w reportażu „Gazety Wyborczej”: „Mówiło się, że wychował sobie żonę. Tylko że wychował ją sobie do tego, żeby ona go wychowywała”.

– Powiedziałbym, że ciągle jestem chłopcem – stwierdził w wywiadzie, który robiliśmy z nim razem z Krysią Pytlakowską. – Nie zdążyłem się emocjonalnie zestarzeć. Po pierwsze, podobają mi się starsze kobiety. Imponują mi, a poza tym fascynują mnie zmarszczki. Uważam bowiem, że na twarz trzeba sobie zapracować, na niej odbija się w pewnym wieku całe życie człowieka. Po drugie, lubię przygody. W najszerszym tego słowa znaczeniu. Uwielbiam zdarzenia nieoczekiwane, zaskakujące. Wszelkie ryzyko. Z tego punktu widzenia nie zestarzeję się nigdy.

Gaja w gruncie rzeczy była twarda. Kiedy Jacek długo nie wracał, mogła się domyślać, że zagadał się z kolegami. Albo, co gorsza, zwinęli go esbecy. Jakoś jednak wytrzymała tę nerwówkę. Paradoksalnie, kiedy Jacek siedział w więzieniu, była spokojniejsza: wiedziała, że już większa krzywdą mu się nie stanie.

Andrzej Kuroń widział kilka razy, jak bratowa płacze, ale potem dzielnie ocierała oczy i wracała do obowiązków. Wiadomo, harcerka!

W domu Kurońów rządziła Gaja, ujawniając cechy przywódcze najstarszej siostry.

– Później nawet nasi rodzice się jej podporządkowali – twierdzi Andrzej. – W naszym rodzinnym mieszkaniu od pewnego momentu Grażyna była osobą, która ten dom prowadziła. To ona wszystkiego pilnowała, to jej wszyscy słuchali, tak więc, jeżeli chodzi o takie domowe sprawy, na pewno dominująca była Grażyna. Oczywiście, bardzo ważne było też to, że Jacka po prostu nie było w domu, bo jeżeli nie siedział w więzieniu, to bardzo dużo jeździł, właściwie po całej Polsce. W pewnym sensie można powiedzieć także, że politycznie Grażyna również była ostrzejsza niż Jacek. Funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa nazywali ją lwicą. Dlatego, że Jacek podczas rewizji mówił: „Panowie, może napijecie się herbaty?”, a Grażyna trzymała ich bardzo na dystans. U Jacka nie wynikało to, oczywiście, z jakiejś sympatii czy tym bardziej chęci współpracy. On po prostu wychodził do innych ludzi. Dla niego funkcjonariusz to był przede wszystkim człowiek, dla Grażyny – funkcjonariusz to funkcjonariusz. Tak że Służba Bezpieczeństwa nieszczególnie lubiła Grażynę.

Choć bez wątplenia Gaja przejęła większość poglądów męża, stać ją było na autonomię. – W czasie mojego pobytu w więzieniu Gaja zbliżyła się bardzo do środowiska byłego Krzywego Koła – wspominał Jacek. – Ludzi klasycznej formacji lewicowo-liberalnej inteligencji polskiej. Niemarksści, zdecydowanie antykomunistyczni, zwolennicy demokracji parlamentarnej. W mojej ówczesnej perspektywie burżuazyjni liberałowie.

Gdy Jacek po raz pierwszy wyszedł z więzienia, zaproponowano mu posadę w Muzeum Lenina. Odmówił, więc z „wilczym biletem” nie mógł zdobyć pracy, został zepchnięty na margines. Dorabiał sobie tu i tam, pisząc artykuły do gazet, a nawet powieści kryminalne pod pseudonimem. Niedługo to jednak trwało, bo wkrótce znów trafił za kraty – po Marcu '68.

W czerwcu 1976 roku Kuroń podpisał „Apel do społeczeństwa i władz PRL” – oświadczenie 14 intelektualistów deklarujących solidarność z protestującymi robotnikami. Potem były kolejne aresztowania, więzienia – w tym dłuższy pobyt w 1977 roku, po zamordowaniu przez SB krakowskiego studenta Stanisława Pyjasa – i jedna dłuższa nieobecność z innego powodu niż wyrok: w czerwcu 1978 roku, po rozpoczęciu akcji dla represjonowanych robotników Ursusa i Radomia, Jacek dostał wezwanie do wojska.

Tak okrutnie mi Ciebie brak, tak okrutnie – pisał do Gai. – Zwykle trzymam się za mordę i nie pozwalam sobie, ale teraz trochę puściło. Nic to. Teraz trochę więcej czekania. Bo widzisz, moje słonko, okazało się, że 22-go nie będzie nas tutaj, tak że dopiero 29-go będziesz mogła do mnie przyjechać. Trzy tygodnie – 21 dni. Czy to dużo, czy mało? Wczoraj na ćwiczeniach,

w czasie przerwy, leżałem na trawie, na plecach, i patrzyłem na niebo. I było tak błękitne, i wszędzie było pełno słońca. Poczulem się nagle niesamowicie szczęśliwy, że jesteś, że mnie kochasz, że jest w naszym życiu taka wielka, prawdziwa miłość. Jak w bajce. Aż się wierzyć nie chce, aż strach, że nie może być tak pięknie, że nie zasłużyłem. Ale ten strach przyszedł dopiero dziś – taki niewielki cień, bez którego, jak wiesz, nie byłoby światła. W tamtej chwili, a trwała ona i trwała, była tylko oszalała radość. Dziękuję Ci, Grażynko, za tamtą chwilę i za całe życie. [...] Coraz dłuższe są moje nocne rozmowy z Tobą. Leżę, wszyscy już śpią, a ja szepczę zaklęcia, szepczę do Ciebie, o Tobie, Ty. Pamiętasz, moje cudne, kiedy jechałem do Wałcza [na obóz wojskowy], a to było osiemnaście lat temu i to było nasze pierwsze rozstanie, umówiliśmy się co dzień o dziewiątej na Polarnej Gwieździe. Mówiliśmy: nasza gwiazda. Od jutra, nie – od dziś, będę tam co wieczór na Ciebie czekał. Tak Cię strasznie proszę, przychodź.

– Kiedy był w tym białostockim wojsku, odwołał się do generała Jaruzelskiego – wspomina dawny znajomy Kuronia, białostoczanin Bogusław Pezowicz. – Napisał do niego mniej więcej taki list: „Ja, szeregowiec Jacek Kuroń, magister historii, przeciwnik ustroju panującego w Polsce, zwracam się i powołuję się na swoje zawały”. Pisał dwa razy. Za pierwszym nie zostało to uwzględnione z przyczyn formalnych. Ależ ta władza była czasem śmieszna... Przyczyny formalne to były takie, że kartka, na której pisał, była pomięta. On miał tutaj dość śmiesznie. Bo wojsko w tamtych czasach było nieco opozycyjne. Sprzyjano mu. Nieraz mógł wyjść do miasta, choć inni nie dostawali przepustek. Stworzyli mu jakieś godne warunki. Nie wiem, czy nie z tego powodu dowódca jednostki został odwołany, dwa tygodnie przed wypuszczeniem Jacka.

Pisywali do siebie podczas każdego rozstania. Czasem były to zwykle listy, czasem grypsy... *Że też ja kurwa jestem skazany na korespondencyjną miłość – pisał do Gai w 1982 r. – (...) No i co ja mam zrobić, do cholery? Podpisałbym współpracę z UB, ale wtedy Tobie bym zrobił krzywdę. Może byś mnie nawet wyrzuciła. Dziewczyny wolą ułanów od księgowych i co ja, mały piesek, na to poradzę. Nie urodziłem się na Don Kichota, nie ma już wiatraków, a ja furt próbuję walczyć ze smokami (...). Za jedno pocałowanie Twojej brudnej pięty oddałbym – no właśnie, co? Przecież nawet nie mam co oddać. Bo że wszystkie baby – to jasne, ale co Ci z tego. Więc ta Twoja pięta jest ważniejsza dla mnie niż arrasy, szczerbiec, ołtarz Wita Stwosza i ja cały, a wciąż jeździłem w te zasrane podróże (bez Ciebie), brałem udział w zebraniach, a co najważniejsze, bałaganilem. Nie dlatego najważniejsze, że tamto było takie ważne, tylko że bez sensu. No i co Ci z mojej miłości, choć taka wielka?...* Po latach obszernie fragmenty tych listów były wielokrotnie publikowane. Stanowiły też kanwę dramatu pt. *Listy jak dotyk* w Teatrze Polskiego Radia.

W latach 1977-1979 w prywatnych domach działacze opozycji organizowali pod historyczną nazwą Uniwersytet Latający wykłady z zakresu nauk humanistycznych i społecznych. Jacek Kuroń aktywnie włączył się w tę inicjatywę. Ze względu na tematykę działalność była zwalczana przez ówczesne władze; wykładowcy i uczestnicy byli zatrzymywani przez milicję, spotkania rozpędzane przez bojówki SZSP (Socjalistycznego Zrzeszenia Studentów Polskich) i ZSMP (Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej). 21 marca 1979 roku do mieszkania Kuroniów wtargnęła bojówka SZSP.

„Mój syn stał w drzwiach – relacjonowała później Gaja Komisji Helsińskiej. – Widziałam, jak go biją w twarz i w głowę. Z płaczem błagałam, by odeszli, bo awantura grozi życiu ojca (Henryka Kuronia). Podchodziłam do różnych osób, pytałam, dlaczego to robią, czy chcą mieć na sumieniu śmierć człowieka? Zobaczyłam, że Maciej się ślania, sprawiał wrażenie nie całkiem przytomnego. Bojówka wtargnęła. Niektórzy ubliżali mi ordynarnie, grożąc ucięciem rąk, powyrywaniem paznokci, mówiono do mnie: Ty stara k... Byłam bita po rękach, obie ręce

wykręcono mi do tyłu, stojący za mną mężczyźni bili ciosami karate po ramionach i przedramionach. Apelowалаm do mocno zbudowanego, barczystego blondyna, w pseudowojskowej kurtce, włóczkowej czapeczce naciągniętej aż po oczy, i w czarnych rękawiczkach. W odpowiedzi chwycił mnie za szyję pod uszami i podniósł do góry, a wtedy ktoś inny uderzył go mocno po rękach i zawołał: „Precz!”. Napastnik puścił mnie. Widocznie interweniujący uznał, że zachodzi niebezpieczeństwo śmierci”.

Oprócz Gai i syna zostali pobici: Jacek Kuroń, Henryk Wujec, Konrad Bieliński i Adam Michnik. Napastnikami byli członkowie specjalnie przeszkolonej grupy członków SZSP – z warszawskiego SGPiS i AWF (m.in. Jerzy Folcik, przewodniczący RU SZSP na AWF). Wiosną 1980 roku milicja umorzyła śledztwo w tej sprawie. SZSP na SGPiS urządziło otwarte spotkanie poświęcone tym zajściom, aby, rzecz jasna, zaprzeczyć stawianym organizacji zarzutom. Wokół sprawy bowiem zrobiło się głośno. Przyszli jednak poszkodowani oraz prof. Lipiński i Anka Kowalska. Gdy prof. Lipiński czytał list ojca Jacka Kuronia, w którym zwrócił uwagę, że sprawa dotyczy przyszłej polskiej inteligencji, „zarząd SZSP, gospodarze tego spotkania, tacy młodzi tłuści chłopcy, po prostu zaczęli chichotać, mówić coś o sklerotycznych starszuchach. Profesor zawołał: – Barbarzyństwo! Bandytyzm! – A oni beczelnie śmiejąc się, pytali, na czym ten bandytyzm polega. Gdy profesor odparł, że właśnie ta ich tutaj postawa jest barbarzyństwem, to sala zaczęła bić brawo i chłopcy przestali być u siebie” (z opisu Jacka Kuronia).

Przez wiele lat istniała niepisana konwencja, której przestrzegala SB: żon nie wsadzano. Wyrzucano je z pracy, szykanowano, ale nie szły do więzienia - w 1982 roku napisał we wspomnieniu o Gajce Seweryn Blumsztajn. – To im zostawialiśmy najważniejsze niezalatwione sprawy wyszeptane na ucho przed wyprowadzeniem z domu. Wiadomo było, że Gajka robi wszystko, co trzeba i więcej.

Dom Kuroniów był domem otwartym. Dzień i noc ciągle się coś działo, przychodzili ludzie. Bardziej tłumnie zrobiło się po utworzeniu Komitetu Obrony Robotników, którego Jacek był jednym z założycieli. Był także współinicjatorem przekształcenia go w Komitet Samoobrony Społecznej „KOR”. Powszechnie cytowano jego słynne hasło: „Nie palcie komitetów, ale zakładajcie własne”. W tym okresie zmarła mama Jacka. Kuroń senior chciał być użyteczny, często spędzał czas w kuchni, gotował zupę. Czymś trzeba było podejmować licznych gości.

Grażynie z czasem przybywało obowiązków, bo chcąc nie chcąc, podczas nieobecności męża zajmowała jego miejsce w opozycji. Trzeba było przyjmować ludzi, notować, z czym przyszli, często zapewniać im nocleg. Jacek prowadził tak zwany „dziennik pokładowy” – był to gruby zeszyt, w którym zapisywał informacje z danego dnia. Gdy go nie było w domu, prowadzenie tego dziennika stawało się obowiązkiem Gai. Robiła to skrupulatnie, a dodajmy, że formalnie nie była nawet członkiem KOR... Być może dlatego w wydanym przez Ośrodek „Karta” Słowniku biograficznym *Opozycja w PRL* nie ma jej biogramu, zaś w obszernym biogramie jej męża nie ma o niej najmniejszej nawet wzmianki.

– Ten najbardziej obleżony przez policję dom w Warszawie był jednocześnie miejscem, gdzie trochę mniej się bałeś. A ten dom to była Gajka – mówił Seweryn Blumsztajn, który często bywał u Kuroniów.

„Nie wiem, jak to się wszystko mieściło w młynie, który Jacek uczynił z ich domu, w kotłownianinie raz po raz przetrząsanej przez policję – pisała Anka Kowalska. – Mieszkaniu służącemu za biuro, salę konferencyjną, hotel, centralę telefoniczną, tłoczną kawiarnię i herbaciarnię w kilka minut Gaja potrafiła przywrócić charakter domu, ciepła rodzinności, ład, kameralny nastrój. Miała absolutny talent „bycia potrzebną” i ten rodzaj trzeźwości, spokoju i energii zarazem, który czyni autorytet z człowieka skromnego i niepchającego się nigdy do

pierwszych miejsc”.

Najbardziej pokrzywdzony i zagubiony w tym zamęcie był syn Kuroniów Maciek. Ojciec – zwykle nieobecny. Gdy Maciek był mały, mama mówiła mu, że ojciec jest „w wojsku”. Był bardziej jakimś bohaterem z bajki, rycerzem niż zwykłym tatą, jakich mieli jego rówieśnicy.

Jacek w liście do Gai z 1965 r.: *Maleńka. No więc pierwszy list. Jest 21 marca, niedziela – tutaj dzień pisania listów. Jak tu jest? No, trudno powiedzieć, że dobrze, ale w każdym razie można żyć. Jem (na koszt państwa), śpię (w państwowej pościeli), palę (sąsiedzi z celi mają papierosy), no i oczywiście prowadzę bardzo miłe konwersacje z funkcjonariuszami państwowymi. Traktujmy te historię jak mój urlop. [...] Może powiesz Maćkowi, że jestem w wojsku, on zresztą pewnie wcale się nie zdziwił, że taty nie ma. Obiecuję, że po powrocie opowiem mu długą i bardzo ciekawą historię o dalekich podróżach.*

– Jedyne syn, syn kochający, od niemowlęctwa zapatrzony w ojca – wspominała Barbara Słusznia, przyjaciółka domu. – Ten kult ojca z pierwszymi butelkami mleka i sokkami wpoila mu matka wraz z własną wielką romantyczną miłością do rycerza bez skazy, trochę Błędnego Rycerza, obrońcy słabych i uciśnionych.

Gajka – zalatana, zapracowana (pracowała jako psycholog w poradni, zdecydowała się na tę posadę z powodu dysleksji Maćka), bardziej przejęta losami kraju niż problemami własnego dziecka. Rewizje, esbeckie „naloty”. Tłumy nieznanymi ludźmi w mieszkaniu. I Maciek – traktowany w zależności od sytuacji jak maskotka albo uciążliwy natręt: „Idź pobawić się do swojego pokoju”. Nawiasem mówiąc, najmniejszego w mieszkaniu. „Lepiej, żeby dziecko nie słyszało, że rozmawiamy o polityce...”. On od najmłodszych lat doskonale wiedział, o czym rozmawiają. Przecież już jako niemowlak, wzorem własnego dziadka, spał na bibule, wetkniętej pod materac z obawy przed rewizją.

– W domu zawsze było dużo ludzi – opowiadał mi Maciej Kuroń w 1993 roku. – Kręciłem się między starszymi i śmieszyło mnie na przykład, gdy wymieniali między sobą informacje na karteczkach w obawie przed podsłuchem. Przysłuchiwałem się oczywiście rozmowom dorosłych, ale rodzice rzadko rozmawiali ze mną na tematy polityczne. Moją „opozycyjność” wyssałem niejako z mlekiem matki. Pewne rzeczy przyjmowałem w sposób zupełnie naturalny.

Na przykład to, że w szkole podstawowej nie wolno zapisać się do TPPR (Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej). Pamiętam duchowe rozterki, czy zapisać się do harcerstwa wodnego. Moi starsi koledzy, którzy odbierali ode mnie przysięgę harcerską, taktownie pominęli w niej słowo „socjalizm”, żebym nie musiał go powtarzać. Zostałem więc bardziej „wodnym” niż „harczerem”.

Być może z powodu traumy z dzieciństwa i buntu w stosunku do kultu ojca, rytego w spżu przez środowisko „Gazety Wyborczej”, Maciej wybrał drogę bardzo daleką od polityki: kulinaria. Inna rzecz, że od najmłodszych lat miał smykałkę do gotowania. Sam wspominał, że pierwszym jego dziełem była szarlotka – nieudana, jak twierdził, ale zjedzona do ostatniego okruszka. Barbara Słusznia przytacza inne wspomnienie Gai:

– Wróciłam z poradni ze strasznym bólem głowy i padłam. Maciej nie widział mnie jeszcze w takim stanie. Okropnie się zatroskał: „Mamusiu, ja ci usmażę jajecznicę!”. Dobrze, synku, dobrze. A on za chwilę naprawdę mi jajecznicę przyniósł i to taką, jak lubię, wiesz. Sześćioletni brzdąc!

Postać ojca wpłynęła w wielkim stopniu na poglądy i światopogląd Maćka. Na studiach zaangażował się w działalność w Niezależnym Zrzeszeniu Studentów. Był podobnie jak Jacek agnostykiem. I to od najmłodszych lat.

– W 1967 roku Gajka zwróciła się do mnie z prośbą, bym został ojcem chrzestnym

Maćka, który właśnie miał iść do szkoły – opowiada Antoni Zambrowski. – Wyraziłem zgodę, ale Maciek się uparł i nie dał się ochrzcić. Gdy siedziałem z nim w jednej celi podczas stanu wojennego w Białolece, opowiadał mi z humorem, jak tegoż lata 1967 roku babcia Borucka, czyli mama Gajki, usiłowała go ochrzcić w miejscowym kościele w Tuliszkowie, ale on salwował się ucieczką w krzaki. Siedząc z Maćkiem – tym razem działaczem NZS – w jednej celi, namawiałem go, by skorzystał z bogactwa życia religijnego w więzieniu w Białolece i przyjął chrzest, zapraszając mnie na ojca chrzestnego. Mówiłem mu żartem: „Maćku, twoja mama po śmierci będzie wyniesiona na ołtarze, ale *advocatus diaboli* wypomni, że nie ochrzciła swego syna”. Maciek niestety nie posłuchał mojej rady.

Maciej w 1980 roku zdał na historię na Uniwersytecie Warszawskim. Nie miał z tym najmniejszego problemu, bo z historii był bardzo dobry, wygrał nawet olimpiadę historyczną. Został jednak decyzją ministra nauki i szkolnictwa wyższego usunięty ze studiów w 1982 roku. Takie były czasy, że za działalność rodziców odgrywano się na dzieciach – oczywista szykana. Przyjęto go na uczelnię w Olsztynie, wychodząc z założenia, że z daleka od „wywrotowych” rodziców będzie spokojniejszy i łatwiejszy do prowadzenia. Nic z tych rzeczy – zaraz zaczął działalność opozycyjną w środowisku studenckim. W domu rzadko się pokazywał. Zresztą dom był prawie pusty, została tylko Gaja. Jacek, doradca Solidarności, cały czas przebywał w Gdańsku.

Gaja, zmotywowana przez przyjaciółkę, przyjęła klucze od jej domku letniskowego w Kruczym Borku.

– Była jedyną osobą spośród moich przyjaciół, która nie bała się spać sama w pustym domu, otoczonym z wszystkich stron leśnymi zagajnikami, za którymi dopiero znajdowały się siedliska rolników. Kochała tu przyjeżdżać, wszystko jej się podobało, a najbardziej kuchnia. – To nie kuchnia, to salon! Żebym ja coś takiego mogła mieć w Warszawie! – Nie miała. Nigdy. Kuchnia w mieszkaniu Kurońów była jak we wszystkich warszawskich „emach” kiszkowata, tyle że miała okno.

Barbara przyjechała do Borku prosto z „marszu głodowego” w Łodzi. Gajka od razu zaciągnęła ją do pobliskiego zagajnika, żeby pokazać odkrycie: „kurkowy” las. Rzeczywiście, polana była aż żółta od grzybów. Okazało się, że talent kulinarny Maciej odziedziczył nie tylko po dziadku.

– Gaja siekała drobno kurki na desce, na patelnię od jajek (z cienkim dnem) wrzuciła masło i kurki jednocześnie, chwilę poddusiła, wbiła dwa świeże wiejskie jajka, posoliła i, delikatnie mieszając białko, tak żeby żółtka się nie rozlały, słuchała ze spokojnym uśmiechem moich bluzgów: – Dranie! Cyniczni, wredni! Zdrajcy! Chcą nas pokonać głodem! Wiesz, co mi wiceprezydent Łodzi powiedział? Powiedział, że Łódź to najstarsze robotnicze miasto, trzecie pokolenie chłopów, podczas gdy inne miasta najwyżej drugie pokolenie, a Warszawa przeważnie pierwsze. W Łodzi zanikły więzi rodzinne ze wsią. Rodziny łódzkie zdane są na to, co kupią w sklepach, a że kobiety też pracują, dużo zresztą w Łodzi samotnych matek, jadłospisy oparte były o mięso. Bo szybko na mięsie pożywne danie się przyrządza. Kiedy więc chwilowo zmniejszono przydziały kartkowe. Rozumiesz?! Chwilowo! Oni z premedytacją doprowadzili to miasto do skrajnego niedożywienia, żeby mieć pretekst do użycia siły! To prowokacja... – ścichłam, bo Gaja wykonała piruet przy kuchni i drugą ręką chwytając talerzyk z kredensu, lekkim, jakby tanecznym krokiem, zawsze tak chodziła, zbliżyła się do stołu. Patelnię postawiła na talerzyku, podała mi widelec. Zatorski chleb i nóż, przykryte serwetką, leżały jak zwykle na stole w wiklinowym chlebowym koszyku. Zjadłam. Wylizałam patelnię – wspominała pani Barbara.

W latach 80. Jacek Kuroń był niekwestionowaną gwiazdą w środowiskach opozycji.

Oprócz nimbu bohatera zjednywał mu wielbicieli osobisty urok, bezpośredniość i błyskotliwa inteligencja – cechy, za które w latach 90. pokochały go miliony Polaków przed telewizorami. Wielbicie i wielbiciele – trzeba dodać. Jacek Kuroń, co zaświadczyłyśmy z moją przyjaciółką, Krystyną Pytlakowską, z którą przepytowałyśmy go do naszych *Alfabetów*, mimo dość szpetnej fizjonomii miał to „coś”, czym uwodził kobiety. Toteż po wstępnym stwierdzeniu: „on jest brzydki”, już nie wracało się do tej myśli. Trzeba dodać, że podobnie jak wielu innych przedstawicieli opozycji (tu palmę pierwszeństwa dzierżył Adam Michnik), Kuroń miał tak zwany problem stomatologiczny. Dopiero w latach 90. stołek ministra opieki społecznej i widmo cotygodniowych występów w telewizji zmusiły go do wizyty u dentysty. Nawiasem mówiąc, wstawiono mu tak ogromne, demoniczne wręcz zębiska, że kontrast z poprzednim stanem był komediowy.

Opinię publiczną intrygowała zawartość słynnego termosu, z którym parlamentarzysta nie rozstawał się nawet podczas obrad. On sam tak nam wyjaśniał tę tajemnicę z dużym znanstwem tematu:

– Alkohol? Owszem, lubię. Ale bardzo dobry i bardzo drogi, w związku z tym pijam niewiele i rzadko. Oczywiście domyślałam się, skąd biorą się domniemania, że jestem stale na bani. Otóż bywam po prostu nadpobudliwy. Zachowuję się niesłychanie swobodnie, co dla postronnych osób oznacza, że widocznie jestem pijany. Mój ulubiony trunek to whisky, dwunastoletni czarny Johnnie Walker. Nie jest to niestety miłość odwzajemniona, bo moja trzustka whisky wręcz nie znosi. Tolerowałyby lepiej czystą wódkę, ale tej z kolei ja nie lubię. Mogę ograniczyć się do ginu z sokiem grejpfrutowym, ale, jak powtarzam, to wszystko jest dosyć drogie. W związku z tym piję dziennie tylko pięćdziesiąteczkę koniaczku. Natomiast w większych ilościach interesuje mnie wyłącznie herbata, mocna, którą noszę w termosie. Wiem, że krążą plotki, iż jest dodatkowo „wzmocniona”. A nawet kiedyś jeden facet, kiedy proponowałam mu łyka, zachnął się: „Co ty, stary, przecież wiesz, że prowadzę!”. Każdego niedowiarka mogę poczęstować wspaniałą, pomagającą w koncentracji uwagi herbatą z mojego termosu. Parzę ją sam i uwielbiam.

Znajomi i przyjaciele Kuroniów dobrze wiedzieli, że Jacek nie stroni od alkoholu. To prawda, po 1989 roku trochę przystopował z powodów zdrowotnych. Najgorszy był jednak okres po śmierci żony. Pił z rozpaczą tak intensywnie, że bali się wtedy o jego życie.

Czy zdradzał Gaję? Na ogół nie miał zbyt dużych możliwości (kolejne więzienia i aresztowania). Wiemy jednak na pewno o jednej fascynacji Jacka – pełnej temperamentu pani, związanej z opozycją KOR-owską. Świadkowie tego romansu, który toczył się w czasie „karnawału” Solidarności, opowiadają, że namiętność dopadała ich w najbardziej nieoczekiwanych miejscach. I zwykle jej ulegali, ku uciesze i zgorszeniu otoczenia.

Czy Gaja o tym wiedziała? Jeśli tak, na pewno zachowała się jak prawdziwa kobieta z klasą. Miała niewzruszoną pewność, że mimo skoków na boki Jacek ją kocha. Tylko ją.

– Kobiety to sens mojego życia – mawiał z rozbajającym uśmiechem Piotrusia Pana. – Zawdzięczam im wiele. Uważam bowiem, że wszystko w życiu zrobiłem po to, by zobaczyć zachwyty w oczach jakiejś dziewczyny.

– Wzorowałam się na ich małżeństwie – opowiadała Paula Sawicka dziennikarkom z „Gazety Wyborczej”. – To od Gajki nauczyłam się, że w domowe ognisko trzeba dmuchać, żeby dawało ciepło. Powielaliśmy nawet ich relacje z ubekami. Ja na nich warczałam, a mój mąż Mirek ściągał z pawlacza walizkę, żeby mieli w czym wynieść zarekwirowane książki.

– Gajka miała w sobie – mówi Ewa Milewicz – miękkość i stal, dwie fantastyczne cechy, jeżeli się nad nimi panuje. Kiedy sprawa dotyczyła Jacka, szła jak czołg. W Sierpniu pojechała do Stoczni, żeby nie zapomnieli przy podpisywaniu Porozumień, że jej mąż siedzi...

Jak łatwo można było przewidzieć, w nocy z 12 na 13 grudnia 81 roku zatrzymano i Jacka, i Macieja.

Paula Sawicka: – W pierwszy dzień stanu wojennego poszłam do Gajki, a ona mówi: „Zabrali mi jednego chłopca, zabrali drugiego chłopca, ale przynajmniej wyrwałam im pokwitowanie na Maciusia!”.

Nie na wiele jej się ono przydało. Grażyna została zatrzymana 15 grudnia 1981 roku. Przebywała w ośrodkach internowania w Gołdapi i DarłóWKu. Tak wspominała transport do tego ostatniego obozu: „Wylądowałam tu po piętnastu godzinach podróży suką więzienną, bez okna, w warunkach niżej bydłych. W suce szesnaście kobiet w dwóch klatkach o kubaturze 5 metrów każda. Na dworze mróz, w środku dziki smród i zaduch. Samochód stanął tylko raz. Skręcałyśmy się z bólu pęcherza, większość miała torsje. Nasi opiekunowie byli tym rozbawieni. Znacnie mnie, wiecie, ile potrafię znieść z pogodą. Ogłaszam tym razem – tym razem to przekracza granice wytrzymałości. Tego nie można znieść z godnością. Bardzo chcę, żeby o tym wiedzieli ludzie.

Upiorna podróż nadwątlila jej zdrowie. W DarłóWKu zaczęła chorować. Zwolniono ją z internowania 15 czerwca „z powodów zdrowotnych”. Pisała do Jacka (gryps, Łódź, 15 czerwca 1982 r.): *Pewnie jutro biegłabym na dodatkowe widzenie do Białoleki (gdzie siedział Kuroń – przyp. aut.), a tu prątki Kocha albo inne niezidentyfikowane jeszcze wirusy zastawiły drogi, barykady, zasieki. Wszystko odbyło się nadzwyczaj szybko i ku swojemu zaskoczeniu wylądowałam na łóżku szpitalnym z kroplówką w żyłę i jutro będzie już tydzień. [...] Marka zaniepokoił mój kaszel i dla spokoju własnego sumienia wstawił pod RTG. [...] Nagle się zakotłowało, lekarka radiolog uznała, że zdjęcie popsute, zrobiono następne, potem jeszcze dwa i nie było dla mnie ratunku. Mam obustronne zapalenie płuc z zaciekami na całych płatach, ze zrostami (pewnie trwające już 3-4 miesiące) na tle infekcji gruźliczej bądź wirusowej.*

Przestały przychodzić wiadomości – pisał Kuroń w autobiograficznej książce „Spoko, czyli kwadratura koła”. – *Wiedziałem, że zabieg ma być drobny, ale wbrew temu, co wiedziałem, zaczął się we mnie rodzić strach. Potworny, narastający z godziny na godzinę. Czulem, że nadchodzi jakieś wielkie zło. Bał się, że to rak. Jego mama umarła na raka, podobnie jak przyjaciółka Kurońów Wanda. Wszyscy jednak ślali uspokajające listy: Jan Kelus, który akurat wychodził na wolność, i obiecał, że sprawdzi, co dzieje się z Grażyną; Marek Edelman, który osobiście zajął się Gają; aż wreszcie sama chora: *Naprawdę to nie rak. Konsultują mnie najlepsi lekarze Łodzi. Jestem świadkiem lekarskich sporów. Proporcja głosów 4:1. Cztery za gruźlicą i samotny głos Marka za bakteryjnym zapaleniem płuc. Teraz rozumiem, że ta słabość, z którą walczyłam, i której nie mogłam zaakceptować w DarłóWKu, to było choróbko, którego tamtejszy lekarz nie leczył, bo nie raczył wziąć słuchawek do ręki, mimo że mu mówiłam, że czuję się jak podczas zapalenia płuc. Jedno jest pewne: na to się nie umiera, więc się nie zamartwiaj. Przyjmij, że Marek jest geniuszem w te klocki i wyciągnie mnie w jak najlepszym stylu. Obiecuje nawet, że w lipcu zawiezie mnie do Ciebie do Białoleki.**

„Bakteryjne zapalenie płuc” – brzmiało niegroźnie. Marek Edelman, pytany, czy to na pewno to, a nie rak, odpowiadał: „Gorzej”. Tak naprawdę nie wiemy, na co Gaja chorowała. Zdaniem Antoniego Zambrowskiego, złapała odmianę grzybicy płuc, na które do dziś medycyna nie zna lekarstwa.

Po kuracji Gaja poczuła się na tyle dobrze, że w sierpniu pojechała z siostrą do Borka. Ojciec podarował każdej z córek wielką na owe czasy kwotę – po 700 dolarów. Początkowo miały pomysł, żeby wybrać się do Paryża i zaszaleć przez tydzień, ale doszły do wniosku, że ojciec nie pochwaliłby takiej rozrzutności. Kupiły więc ziemię w znajomym Borku nad Narwią, żeby postawić domek. Gaja wybrała się tam z siostrą Ewą Dobrowolską, wykorzystując fakt, że na czas remontu zamknięto oddział doktora Edelmana. Zamieszkały w chałupce Barbary

Słusznia. Przez miesiąc odpoczywała, patrzyła w niebo, wdychała sosnowe powietrze. Panie dogadzały jej, jak umiały: Barbara nie zważając na porę roku, co dzień paliła w piecu, żeby Gaja nie zmarzła. Przygotowywała jej smaczne potrawy „gdymy na coś miała ochotę”. W pobliżu rozbiło obozowisko stado esbeków i podglądali je przez lornetki. Nawet ją to bawiło, bo czuła się lepiej, nie miała już ataków duszności, mogła zdobyć się na drobny wysiłek, taki jak samodzielne przejście kilku metrów. Barbara drogo zapłaciła za tę gościnę: zaraz po śmierci Gai esbecy spalili jej domek.

Po miesiącu wróciła do Łodzi.

– Gajka była do końca szczęśliwa, uśmiechnięta – wspominał nieżyjący już Marek Edelman. – Wiedziałem, jakie objawy będzie miała przed śmiercią i powiedziałem, że jak się stanie to a to właśnie, to znak, że zdrowieje. Pewnie myślicie, że jestem bezczelny skurwysyn, ale uważałem, że tak trzeba. Leczyłem ją objawowo, żeby się dobrze czuła. Lepiej niż u mnie nie byłoby jej nigdzie.

– Jestem dumny – dodał – że nie przyszło jej do głowy, że umiera. Włożyłem w to nie tylko całą moją wiedzę medyczną, ale i moją filozofię umierania. Na czym to polega? Żeby człowiek pozostał człowiekiem, nie cierpiał, miał nadzieję, bo bez tego nie sposób żyć. Od 6 czerwca do 23 listopada niczym innym tylko tym się zajmowałem.

Podobno Edelman był w Gai beznadziejnie, platonicznie zakochany.

22 listopada 1982 roku, o świcie, do celi Jacka Kuronia na Rakowieckiej wszedł strażnik. Tak opisywała tę scenę „Gazeta Wyborcza”:

– Jedzie pan zobaczyć żonę, bo doktor mówi, że to pomoże w jej leczeniu.

Zanim wszedł do sali, gdzie leżała Gajka, Edelman wziął go na stronę.

– Jacek... coś ci muszę powiedzieć – zaczął.

Ale Jacek już wiedział. Przyjął z jego ręki butelkę whisky, odkręcił i wypił.

– Ona umrze, Jacek... Prędko.

– Kiedy? Dziś? Za tydzień? Za miesiąc? – spytał.

– Nie wiem – odpowiedział Edelman. – Tego nikt ci nie powie. Chodźmy do niej.

Pamiętaj, masz się uśmiechać.

Jacek chciał zostać na noc przy Gai, ale zaprowadzili go do aresztu. Skorupa agnostyka pękła. *Leżałem na koju – pisał – i modliłem się. Czulem, jak ciężko Gajce oddychać i prosiłem Pana Boga, żebym mógł oddychać za nią. I Bóg mnie wysłuchał, czulem to, starałem się łapać jak najwięcej powietrza, ale było coraz gorzej. A potem wszystko przestało mnie boleć. I to była godzina, w której moja Gajka umarła.*

– On się czuł winny – opowiada Andrzej Kuroń. – Dostał na dwa tygodnie przepustkę z więzienia i przez ten czas rwał sobie włosy z głowy. Uważał, że Grażyna umarła przez niego. To była dla Jacka trauma, prawdziwa trauma, bo czasem nadużywamy tego słowa dla spraw błahych. Zwłaszcza że po dwóch tygodniach on wrócił do więzienia. Jak się żyje na wolności, to są ludzie, rozmowy, a w więzieniu został sam w czterech ścianach. On to straszliwie przeżył, gdy już wyszedł z więzienia, zobaczyłem innego człowieka.

Jacek wyszedł z internowania na mocy amnestii w 1984 roku.

Maciej na jego cześć wyburzył ścianę łączącą kuchnię z salonem, tworząc duże pomieszczenie jadalne, o którym marzyła Gaja. Niedługo się nim jednak nacieszył – wkrótce wziął ślub i wyprowadził się z mieszkania przy ulicy Mickiewicza.

Jacek nadal działał aktywnie w opozycji. W 1990 roku ożenił się z Danutą *de domo* Filarską, absolwentką słynnego liceum sióstr niepokalanek, historykiem, zaangażowaną od młodych lat w działalność opozycyjną. Danuta najpierw przywoziła do Lublina bibułę i podziemne wydawnictwa, które dostawała od kolegów z Warszawy. Potem trafiła do

Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego. *Strasznie się bałam, że moja aktywność zostanie zredukowana do parzenia herbaty. Siadałam przy maszynie do pisania i kiedy ktoś mnie prosił o tę herbatę, odpowiadałam, że nie mam teraz czasu, bo robię matrycę, ale jeśli sobie robi herbatę, to ja też poproszę. Udało się* – opowiadała. Kiedy wybuchł stan wojenny, wzięła udział w strajku zakładów lotniczych w Świdniku. Potem przedostała się do Fabryki Samochodów Ciężarowych, gdzie też trwał strajk. Podczas obrad Okrągłego Stołu była dziennikarką w Serwisie Informacyjnym Solidarności, później zaś, po wyborach czerwcowych, kierowała biurem poselskim Kuronia. Po ślubie Danuta pracowała przez jakiś czas w „Gazecie Wyborczej”, jednak gdy Jacek zachorował na serce, rzuciła pracę i zajęła się mężem i Uniwersytetem Powszechnym im. Jana Józefa Lipskiego w Teremiskach, który organizował Kuroń.

Jacek Kuroń zmarł 17 czerwca 2004 roku. Jego pogrzeb odbył się 26 czerwca 2004 na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach w Warszawie. Został pochowany w Alei Zasłużonych. Hołd oddali mu m.in. prezydent RP Aleksander Kwaśniewski, przyjaciele i przedstawiciele różnych religii w Polsce, chociaż sam deklarował się jako osoba niewierząca. Przed jego dawnym mieszkaniem przy ulicy Mickiewicza na warszawskim Żoliborzu wmurowana jest pamiątkowa tablica.

Maciek nie skończył studiów, choć po wyjściu na wolność z internowania udało mu się dostać na KUL. Z żoną Joanną zaraz po ślubie mieszkali na Bielanach, potem zrealizowali wspólne marzenie: sprzedali mieszkanie i kupili niewykończony dom w Izabelinie. Tylko na to ich było stać. Maciej remontował dom, a tak naprawdę tak gruntownie go przebudował, że można powiedzieć, że postawił nowy. Ojciec nie pomagał mu finansowo. Maciej musiał sobie radzić sam: prowadził jakiś sklep, zajmował się renowacją samochodów, jeden z nich nawet udało mu się sprzedać – koledze z „Gazety Wyborczej” Wojciechowi Maziarskiemu. („Zwrócił mi go po jakimś czasie, bo miał za duże wymagania: nie dość że chciał, żeby samochód był tani, to jeszcze żeby jeździł...” – opowiadał mi Maciek.). Prowadził firmę budowlaną. Pracował w bufecie w „Gazecie Wyborczej”. Dopiero ukończenie prestiżowej, ponoć najlepszej na świecie szkoły The Culinary Institute of America w USA rozpoczęło jego karierę „pierwszego Kucharza III RP”. Miał swój autorski program w telewizji, napisał kilka książek kulinarnych, cieszących się wielkim powodzeniem, firmował swoim nazwiskiem restaurację przy Teatrze Buffo. Jego dwaj synowie: Jan i Jakub też postanowili iść w ślady ojca i gotować zawodowo.

Zmarł nagle 25 grudnia 2008 roku w swoim domu z powodu ciężkiej niewydolności krążenia. 7 stycznia 2009 został pochowany na Cmentarzu Powązkowskim w Warszawie w grobie mamy.



Mężczyzna mojego życia
opowieść o Marii Lipskiej



Jan Józef Lipski – publicysta, krytyk i historyk literatury. Działacz opozycji demokratycznej w okresie PRL. Kawaler Orderu Orła Białego. Współzałożyciel Komitetu Obrony Robotników i Komitetu Samoobrony Społecznej Kor. Członek zarządu Regionu NSZZ „Solidarność” mazowsze. Działacz socjalistyczny, przewodniczący Polskiej Partii Socjalistycznej.



Przedwojenna kamienica w centrum Warszawy. Świetny punkt – w dół zjazd Tamką na Powiśle, w górę Świętokrzyską na Trakt Królewski. Przez wiele lat właśnie tutaj, w mieszkaniu państwa Lipskich, odbywały się konspiracyjne zebrania polskiej wolnomularskiej loży „kopernik”. Jan Józef Lipski, wybitny literat i opozycjonista, był jej przewodniczącym.

Rozglądam się dyskretnie po przestronnych pokojach, ale nigdzie nie widzę ani węży splątanych, ani strąconej korony, przebitej puginałem. Śladu cyrkla i kielni. Na szafie, schludnie w specjalnych pudełkach setki fiszek. Lipski robił notatki o wybitnych Polakach, zwykle z nekrologów. Chciał ocalić od zapomnienia profesorów, artystów, cukierników, lekarzy. Takie miał hobby. W dawnym gabinecie Jana Józefa – portret jego ojca Romana, a na przeciwległej ścianie teścia Ottona Stabrowskiego.

– Zanim poznałam męża, niewiele wiedziałam o wolnomularstwie – mówi Maria Lipska, szczupła, siwowłosa pani o rasowej twarzy. – Mało rozmawialiśmy na ten temat, Jan Józef był bardziej związany z ideą niż z obrzędkiem. Nie miał fartuszka, z czego żartowałam, a on się obrażał. Członkowie polskiej loży nie nosili fartuszków. Bardziej tradycyjnie podchodzą do tego we Francji niż w PRL, gdzie loża działała w tajemnicy. Głównie z powo du bezpieczeństwa. Różnie to jednak bywało. Czasem słyszałam z sąsiedniego pokoju, jak pan Jan Wolski, osoba ważna w loży, zagaja głośno, z doskonałą dykcją: „Proszę braci...”. A tu ściany naszpikowane „pluskwami”! Pisali na kartkach różne ważne rzeczy, adresy, kontakty z obawy przed podsłuchem. Tymczasem pan Ludwik Cohn wkładał okulary i z namaszczeniem, głośno, wyraźnie odczytywał tekst, ku przerażeniu obecnych.

Teraz wszystko można przeczytać w różnych publikacjach, w internecie, łącznie z listą nazwisk osób należących do danej loży. Odarło to ruch z woalu tajemniczości.

– Podobno powstała nawet żeńska loża masońska. Wiem, że wiele pań chętnie by się zapisało, ale ja nigdy nie miałam takich ambicji – uśmiecha się.

Maria. Imię niezbyt oryginalne, ale długo wybierane. Kwestia istotna, bo dar na całe życie. Przynosi szczęście albo ściąga pecha, determinuje los.

Decydujący głos miały babki. Delikatna, wrażliwa mama zawsze im ustępowała, nawet w tak istotnej kwestii, jak imię własnego dziecka. Zresztą wszystkie jej propozycje były

odrzucała. „Może Wanda?” – pytała. W latach 30. było to modne imię, tak nazywała się jedna z córek marszałka Piłsudskiego. „Wykluczone!” – zaproponowała teściowa. – Moja najstarsza córka Wandzia zmarła w wieku dwóch lat. To nieszczęśliwe imię. „A Danuta? Męczennica z *Krzyżaków*. Nie wchodzi w grę”. „Marta?”. Zbyt frywolne (akurat przebojem była piosenka Hemara *Czy pani Marta jest grzechu warta*). Dziewczynka urodziła się 5 sierpnia, na Matki Boskiej Śnieżnej. Święto wywodzi się z następującej legendy: 5 sierpnia w Rzymie miała miejsce niespotykana anomalia pogodowa, spadł śnieg. Papieżowi Liberiuszowi ukazała się we śnie Matka Boska i nakazała w tym miejscu budowę kościoła – tak powstała bazylika di Santa Maria Maggiore. Stało się więc na Marii, choć druga babcia obstawała przy Helenie. Dziewczynce dano więc na chrzcie imiona „Maria Helena Salomea” – na to trzecie, po matce Juliusza Słowackiego, uparł się ojciec dziecka.

Aby skończyć ten wątek, dodajmy, że babcia Marysi postarała się, by w czasie okupacji zapomniano o trzecim imieniu. Wiele Żydówek nosiło imię Salomea, a hitlerowcy niekoniecznie musieli być zorientowani w biografii polskiego wieszca. Toteż pojawia się ono tylko w przedwojennych dokumentach pani Lipskiej.

Jej rodzina z dziada pradziada wywodzi się z kresowego ziemiaństwa. Dziadka Marii, Feliksa Stabrowskiego, przyrodnie rodzeństwo oszukało przy podziale majątku po ojcu. Został oficerem. Wtedy, rzecz jasna, carskim, po wojnie polskim. Ożenił się, na świat przyszły dzieci. Stabrowscy mieszkali częściowo w Warszawie, a częściowo w majątku stryja, w Dobroczynie w Inflantach, na terenie dzisiejszej Łotwy. Po śmierci stryja Stabrowski odziedziczył ten majątek.

Miejscowi chłopcy mieli różny stosunek do „polskich panów”. Gdy przyszła rewolucja, zniechęconego sąsiada Stabrowskich zamordowali. Ale Feliksa lubili, więc tylko przestrzegali go po dobroci: „Panoczek, ucikaj!”. Więc uciekł do Warszawy, uwożąc z Inflant tylko skromną część dobytku. Zamieszkał z rodziną w kamienicy przy ulicy Żurawiej, którą również odziedziczył po stryju. Zbudowana na początku XX wieku pod wynajem, już wtedy nie była luksusowym apartamentowcem. Ale dawała dach nad głową i skromny dochód. Feliks zmarł w 1936 roku.

Rodzice ze strony matki mieszkali w skromnym majątku Grzybówka na Ukrainie. Rewolucja zastała ich w Odessie, gdzie spędzali zimy.

Dziadka, który był prawnikiem i carskim sędzią śledczym, bolszewicy aresztowali i osadzili w więzieniu. Szczęśliwie po niedługim czasie udało mu się wyjść na wolność. Na przełomie 1919 i 1920 roku, wraz z rodziną i grupą Polonii odeskiej, w dramatycznych okolicznościach, podczas burzy, uciekł statkiem do Polski. Znalazł się w Warszawie bez grosza przy duszy. Młode państwo polskie potrzebowało prawników, więc dziadek Marii szybko znalazł pracę. Razem z żoną i trzema córkami (syn szybko się usamodzielniał i wyprowadził z domu) zamieszkał w dwóch małych pokojach przy Rynku Starego Miasta. Pod koniec życia otrzymał intratną posadę notariusza w Łucku na Wołyniu, ale niedługo się nią cieszył, bo wkrótce zmarł w wieku 66 lat.

Jedna z jego córek wyszła za mąż za obiecującego prawnika, Ottona Stabrowskiego i zamieszkała we wspomnianej już kamienicy przy Żurawiej, razem z teściami.

Otton był polskim patriotą, jako młody chłopak walczył w obronie Lwowa przed bolszewikami w 1919 roku, był ranny. Potem służył w V Dywizji Polskiej, tzw. Lwowskiej, i walczył w wojnie polsko-bolszewickiej.

– Ojciec przed wojną pracował w ministerstwie spraw wewnętrznych, co nie miało tak złych konotacji, jak w PRL – wspomina pani Maria. – Był radcą prawnym, zajmował się problematyką mniejszości narodowych. A było to wtedy bardzo szerokie zagadnienie, bo mniejszości stanowiły w II Rzeczypospolitej około 35 procent ludności. Ojciec znał się na tych

sprawach, starał się ze wszystkich sił, żeby kwestie narodowe były rozwiązywane przyzwoicie. Różnie to bywało, kolejne rządy miały sporo na sumieniu. Poprosił więc o przeniesienie do Departamentu Samorządowego MSW.

Jej dom był typowo mieszczański, katolicki, z tradycjami ziemiańskimi. Mieli gosponię na stałe mieszkającą w kuchni, kucharkę, praczkę. Maria pamięta wysokie, przestronne pokoje z dwuskrzydłowymi drzwiami. Dużą łazienkę, przerobioną z jednego pokoju – terakota pokrywała tylko część podłogi, na pozostałej był parkiet. Stał tu wysoki, kominowy piec kąpielowy, w którym służąca rozpalala ogień przed każdą ablucją. Mieszkali z babcią po sąsiedzku. Po śmierci dziadka ze strony mamy, do domu przy Żurawiej przeprowadziła się druga babcia, a mieszkanie na Starym Mieście zlikwidowano. Panie nie przepadały za sobą, co trochę podgrzewało spokojną atmosferę rodzinną. A była rodzina co się zowie; na trzecim piętrze mieszkała jeszcze z mężem siostra Ottona.

Maria, jedyne dziecko w rodzinie, była uwielbiana i rozpieszczana przez wszystkich.

Spokojne i sielskie dzieciństwo przerwała Marii, jak wielu innym polskim dzieciom, II wojna światowa. Otton domyślał się, co się święci. Już w sierpniu wysłał matkę, żonę i córkę do krewnych pod Grodzisk Mazowiecki, do majątku Izdebno. Na początku września powołano go do wojska. Po kapitulacji Warszawy został wzięty do niewoli i osadzony w oflagu.

Przed wywiezieniem do obozu – niewiarygodna rzecz! – udało mu się odwiedzić w Izdebnie swoją rodzinę. Strażnicy – Niemcy przywieźli go wieczorem w przyczepie motocyklowej. Gdy żona zobaczyła go w asyście uzbrojonych żandarmów, zbladła ze strachu. „Nic, nic, jestem jeńcem” – uspokajał. Była to ze strony Niemców uprzejmość wobec polskiego oficera. Takie przypadki zdarzały się na początku wojny. Żołnierze ugoszczeni zostali kolacją, a rodzina spędziła razem parę godzin przed długą rozłąką.

Maria z matką i babką wróciły do Warszawy dopiero po kapitulacji. Kamienica ocalała, ale mieszkania były rozszabrowane – zniknęły wszystkie cenne rzeczy, a nawet pościel i ubrania. Miały problemy, czym zasłonić powybijane okna. Z czasem jednak życie wróciło do normy, biorąc poprawkę na warunki okupacji.

Jakoś sobie poradziły. Musiały. Zostały bez mężczyzny i opiekuna. Ottona przetrucano do różnych obozów jenieckich. Z lakonicznych listów (cenzurowane listy jeńców zawierały na blankietach ograniczone miejsce na odpowiedź), a także z informacji od znajomych i sąsiadów przebijała trudna rzeczywistość jeńca wojennego: głód, zimno. Niemcy jednak przestrzegali konwencji genewskiej. Przyjaciele i rodzina pocieszała rozpaczone kobiety, że to dla Ottona swoiste dobrodziejstwo, że dostał się do niewoli. Dzięki temu miał szansę przeżyć wojnę. Z jego charakterem i temperamentem na pewno wcześniej czy później poległby na polu walki.

Rzeczywiście, była to pewna pociecha. Żona wiedziała, że Otton jest głodny, ale bezpieczny. Jej siostra nie sypiała po nocach ze strachu o męża, który działał w AK. Druga siostra wyplakiwała oczy za mężem oficerem, który zaginął po stronie bolszewickiej. W 1940 roku ustała korespondencja. Brak było jakichkolwiek wieści o nim i o jego kolegach. Rodzina usiłowała wmówić w szalejącą z niepokoju kobietę, że mąż przedostał się za granicę, do polskiego wojska. Niestety, gdy w 1941 roku Niemcy wkroczyli na obszar ZSRR, ujawnili straszną prawdę o Katyniu. Wuj, jeńiec Starobielska, został zamordowany w Charkowie, o czym bliscy dowiedzieli się dopiero w latach 90.

– Choć propaganda komunistyczna próbowała przedstawić to jako zbrodnię Niemców, my od początku nie mieliśmy żadnych wątpliwości, że zamordowali ich bolszewicy – twierdzi Maria Lipska. – Żadnych! Moja rodzina przekonała się, do czego są zdolni, kiedy uciekała ze swoich domów przed rewolucją. W PRL wielu przedstawicieli tak zwanych elit powtarzało kłamstwa bolszewickie. Mój mąż był zaprzyjaźniony z pewnym komunistą, któremu po kilku

latach przeszła fascynacja tą ideologią. Pamiętam taką dramatyczną rozmowę. Przyjaciel męża: „No dobrze, ale powiedz, co oni mogli zrobić z tak olbrzymią liczbą wrogów? Przecież dla nich te polskie elity stanowiły ogromne zagrożenie!”. Tak „pragmatycznie” chciał usprawiedliwić tę zbrodnię. Mąż na to: „Ale czy można tak mordować bezbronnych ludzi strzałem w tył głowy? Czy można?...”. On zbladł, pochylił głowę. „Nie można” – powiedział.

Jednak życie w okupowanej Warszawie toczyło się dalej. Maria chodziła do prywatnego gimnazjum przy ul. Wiejskiej 5. Po przejściu budynku przez Niemców na krótki czas przeniosła się ona do „Platerówny” na ulicę Piusa XI (dziś Piękna), potem dziewczynki tułały się po różnych przypadkowych lokalach. Maria, podobnie jak inne młode Polki, miała prawo do nauki tylko w szkole zawodowej.

Wybrała handlówkę.

– Robiliśmy wszystko, żeby niczego się nie nauczyć – uśmiecha się. – A nauczycielki były przyzwoite i patrzyły na to przez palce.

Przyjaźniła się w szkole z panienkami z organizacji młodzieżowych bliskich endecji, z czego mama nie była zadowolona. Maria wiedziała, że w szkole są dziewczynki z Szarych Szeregów. Sama do harcerstwa nie należała, bo mama nie chciała, żeby angażowała się w działalność podziemną. Zwłaszcza, że ludność Warszawy w 1944 roku zdawała sobie sprawę, że coś się wydarzy.

5 sierpnia 1944 Maria kończyła 16 lat. A 1 sierpnia wybuchło Powstanie Warszawskie.

– Jakiś oficer stanął na naszym podwórku na Żurawiej i zaczął nawoływać, że jeśli ktoś chce, może się zgłosić. „Mamo, ja pójdę” -powiedziałam. Stałyśmy w kuchni obok pieca węglowego, takiego z blachą. „To ja sobie o ten piec rozbiję głowę, jeśli pójdziesz do powstania!” – oświadczyła mama. Szantaż! No więc nie poszłam.

Matka zgodziła się jednak, żeby córka pomagała w kuchni, którą dla powstańców w swoim mieszkaniu na parterze zorganizowała sąsiadka, żona oficera.

Trwało to parę tygodni.

– W tej kuchni pomagało wiele kobiet, które nie dotarły do swoich domów po godzinie „zero”. Było nas za dużo, więc wkrótce podziękowano mi za pracę. Bardzo przeżywałam, że nie uczestniczę w powstaniu, nawet jako pomoc kuchenna. Niestety, nie było dla mnie innych zajęć.

Bombardowania na Żurawiej nie było, w pewnym stopniu chroniła ich poczta przy ul. Poznańskiej, ale mieszkańcy kamienicy przeżyli wszystko pozostałe: „krowy”, granatniki, czołgi, serie z karabinów. W ich dom nie trafił żaden większy pocisk, nie było też ofiar śmiertelnych – ktoś z sąsiadów zginął, stojąc w kolejce po wodę do studni na sąsiednim podwórku. Krążyła opowieść o trójce młodych powstańców, którzy zmarli wypijwszy wino zatrute przez Niemców.

– Siedziałyśmy w mieszkaniu lub w piwnicy, czego nie znosiłam. Zadziwiające, ale nie bałam się nawet podczas silnych ostrzałów. W duchu powtarzałam sobie strofy *Warszawianki*: „Kto przeżyje wolnym będzie, kto umiera wolnym już”. I naprawdę tak wtedy myślałam! Młodość ma lekceważący stosunek do życia.

Po klęsce powstania, razem z resztą ludności cywilnej Warszawy, rodzina Marii trafiła do Pruszkowa. W tłumie pogubili się: obie babcie i najmłodsza siostra mamy z 12-letnim synem zostały w obozie, a Maria z mamą wsiadły do towarowego pociągu, jadącego pod Kraków.

– Był tak zatłoczony, że wszyscy siedzieli na swoich tobołkach. My wzięłyśmy ze sobą bardzo nierozsądnie zapakowane „plecaki”, naprędce uszyte z jakichś starych materiałów.

Trudy podróży złagodzone zostały przez pewną elegancką damę, a właściwie przez jej przezorność, która nakazała jej zabrać... nocnik.

– Była bardzo zabawna. Zanim jeszcze pociąg ruszył, pytała mamę dramatycznym tonem: „Proszę pani, a gdzie się podziały wyższe sfery?”. Okazała się uczynna i użyczała nocnika innym

podróżnym. A że wagon był bez dachu, przynajmniej nie jechaliśmy w smrodzie.

Wylądowały na małopolskiej wsi. Wynajęły izbę u chłopa, z jednym łóżkiem.

– Wiem, że mama im płaciła za gościnę. Ale nie wszyscy brali od warszawiaków pieniądze. Moi przyszli teściowie, którzy zatrzymali się pod Łowiczem, nie mieli pieniędzy i gospodarze ich utrzymywali.

Przypomniały sobie o znajomych, którzy mieszkali w Piotrkowie. Jakoś do nich dotarły. Zostały przyjęte z otwartymi ramionami – tam też odnalazła ich babcia ze strony ojca. Namówiła je, żeby pojechały z nią do Koniecpola, gdzie zatrzymała się reszta rodziny. Mama Marii zgodziła się, choć później żałowała: był tam tylko jeden duży pokój, gdzie gnieśli się w sześcioro.

– To były ostatnie dni Niemców w Koniecpolu – wspomina Maria. – Zdawali sobie sprawę, że wojna jest przegrana. Kiedyś wpadło do nas kilku, uzbrojonych po zęby, z pancerfaustami. Młodych, brudnych, zziębniętych. Powiedzieli, że chcą tylko chwilę odpocząć. Mama poprosiła, żeby przekazali informację ojcu w oflagu, gdzie jesteśmy. Przypuszczam jednak, że żaden z nich nie wyszedł żywy z okrążenia, bo wkrótce potem usłyszałyśmy język rosyjski i ukraiński.

Od dawna krążyły opowieści o tym, jak Sowieci poczynają sobie na terenach wyzwolonych. Były tak przerażające, że Maria, która nie bała się hitlerowskich czołgów, drżała ze strachu przed żołnierzami Armii Czerwonej. Słyszała opowieści o tym, co działo się w czasie powstania: gwałty, męczarnie, śmierć. Przychodzili pijani, głośni, czuli się jak u siebie. Nie byli agresywni. Mieli jednak specyficzne poczucie humoru. Kiedyś jeden z żołnierzy posadził obie babcie na tapczanie i strzelał w sufit nad ich głowami. Choć obie damy nie lubiły się, w tej dramatycznej chwili trzymały się kurczowo za ręce. Inny żołnierz radziecki po pijanemu wrzucił granat do pokoju. Na szczęście nikogo nie było w środku. Pamiątką po tym „dowcipie” były poszatkowane tapety i meble. Potem Sowieci odeszli z frontem na zachód i wrócił spokój. Maria zaczęła uczyć się na kompletach u miejscowego piekarza, który przed wojną był nauczycielem.

Na wiosnę znalazł je Otton, wypuszczony z oflagu, i zabrał do Warszawy. Kamienica przy Żurawiej ocalała. Mieli więc dach nad głową. Ale tylko dach – szyb nie było, mebli, nawet koców. Podłogi pokrywała warstwa ziemi. W czasie powstania w ten sposób zabezpieczano mieszkania przed pożarem. Ojciec miał niewielki żołd i mundur, poza nim żadnego innego ubrania. Za resztki pieniędzy rodzina kupiła koce i poduszki. Tak zaczęli życie w wolnej Polsce.

Otton znalazł pracę w Ministerstwie Administracji Publicznej. Powoli odbudowywali tak zwane normalne życie.

Brat mamy po ucieczce z Kresów nie potrafił odnaleźć się w Polsce. Wyjechał do Afryki i osiadł w Kamerunie, gdzie został współwłaścicielem plantacji kawy. Przesyłał rodzinie zieloną, niepaloną kawę ze swoich zbiorów. Mieli jej w latach 40. pod dostatkiem.

Maria poszła do liceum im. Słowackiego. Nie lubiła tej szkoły. Nauczycielki były wymagające i ograniczone, zwłaszcza zniechęcona przez wszystkich „Pestka” od fizyki – mała, tłusta, siniejąca ze złości. „Czym dojeżdżasz do szkoły?” – pytała uczennicę. „Koleją”. „Kolej to stacje, szyny, maszyniści, pociągi. No to czym dojeżdżasz?” „Koleją...” – nauczycielka robiła się granatowa. Rzecz jasna, chodziło jej o pociąg.

Rodzice wychowywali Marię w duchu antykomunistycznym. Nie izolowali jedynaczki od polityki.

– Mój mąż się z tego śmiał, ale ja byłam przekonana, że nie należy chodzić do kina na radzieckie filmy, bo to infiltracja kultury sowieckiej, komunistyczna propaganda. Tak uważali moi rodzice. Ale Jan wielokrotnie oglądał te filmy i jakoś nie poniósł uszczerbku na światopoglądzie, więc ja też zmieniłam zdanie na ich temat – uśmiecha się pani Maria.

Swojego przyszłego męża po raz pierwszy zobaczyła w liceum. Był o klasę wyżej, choć

powinien być o dwie. Przeszkodziła mu rana odniesiona w Powstaniu Warszawskim.

– Kiedyś dla draki przyszedł do naszej klasy i usiadł w ławce. Ale wypatrzyła go łacinniczka i powiedziała: „Natychniast wyjdź!”. Też była z tych antypatycznych. Należała do tej grupy nauczycieli, którzy nie rozumieli, że młodzi ludzie po powstaniu byli psychicznie dorośli i irytowały ich sytuacje, w których traktowani są jak dzieci. Powstańcy warszawscy nie nadawali się do szkoły. Więc Janek jej się zrewanżował: „Że pani zwraca mi uwagę, to się nie dziwię. Że pani jest przy tym niegrzeczna, to znając panią, też się nie dziwię. Ale jednego nie rozumiem – dlaczego pani mówi do mnie per „»ty«?”. Od tej pory wszyscy nauczyciele zaczęli mówić do Jana Józefa „pan”. Trudno go było nie zauważyć. Ale on mnie ze szkoły nie pamiętał.

Jan Józef Lipski przed wojną mieszkał wraz z rodzicami przy ulicy. Filtrowej, był harcerzem. Dom był patriotyczny, polski. Jego ojciec Roman za udział w strajku szkolnym w 1911 roku został zesłany do Rosji. Pochodził z drobnej szlachty herbu Grabie, dlatego Jan Józef przyjął w AK pseudonim „Grabie”.

W Powstaniu Warszawskim jako żołnierz Pułku „Baszta” został ranny w przedramię. Granat strzaskał mu lewą rękę. Po upadku Mokotowa usiłował przedostać się kanałami do Śródmieścia. Wyszedł z kanałów z grupą powstańców przy ulicy Belgijskiej i dostał się do niewoli. Mimo rany uciekł z transportu do Pruszkowa. Wylądował w szpitalu w Łowiczu. Rana nie chciała się goić, wdała się egzema przyrana. Tam odnalazła go służąca i zawiozła do dziadków, do Wyszogrodu. Wkrótce spotkała się tam cała rodzina: rodzice z młodszą siostrą, którzy po wygnaniu z Warszawy zatrzymali się pod Łowiczem, i wreszcie starsza siostra, która w czasie powstania znalazła się na praskiej stronie, razem z mężem. Szczęśliwie wrócili do Warszawy.

Po maturze Jan Józef rozpoczął studia na wydziale polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego. Zaliczył seminaria u Waclawa Borowego, Juliana Krzyżanowskiego, Stefana Vrtel-Wierczyńskiego, Tadeusza Kotarbińskiego, Władysława Tatarkiewicza. Jednocześnie pracował w „Czytelniku”, redagując *Słownik wyrazów bliskoznacznych*.

Rok później, również na polonistyce, zaczęła studiować Maria. Ale parą zostali, dopiero gdy była na trzecim roku i zaczęła pracować w wydawnictwie „Czytelnik”. „Poznałem dziewczynę, którą trzeba pocieszać, bo deszcz pada” – opowiadał siostrze Jan Józef.

– Od początku wiedziałam, jakie ma poglądy, że jest zaangażowany w podziemną działalność. Kolega z „Czytelnika” rozpowiadał, że Jan robi jakieś niebezpieczne rzeczy. Nie znałam szczegółów. Uważałam, że nie dorastam do jego wyżyn intelektualnych. Bardzo jednak lubiłam nasze częste spotkania, rozmowy. Nazywał mnie żartobliwie Eulalią, to imię bohaterki z pewnego szkolnego przedstawienia, w którym grała jego siostra. Myślę, że nie od razu potrafiłam nazwać swoje uczucia, lecz Jan Józef od początku był mężczyzną mojego życia.

Lipski miewał do czynienia z bezpieczeństwem. Już w czasie studiów był obserwowany i namierzany. Od 1950 roku przez 3 lata wraz z Czesławem Czapowem, Stanisławem Manturzewskim i Adamem Podgóreckim uczestniczył w niejawnej inicjatywie samokształceniowej – utworzyli klub, w którym toczyli dyskusje literackie, filozoficzne. Oczywiście o wydźwięku antykomunistycznym. We wrześniu 1953 roku zatrzymano jednego z dyskutantów, Jerzego Prokopiuka, następnie przesłuchano 27 uczestników tej organizacji, w tym Jana Józefa Lipskiego. Klub przestał działać.

W 1953 roku Jan zrobił magisterium pracą pt. *Ekspresjonizm w twórczości Tadeusza Micińskiego*. Miciński należał do jego ulubionych poetów. W latach 50. wydał w PIW wybór wierszy Micińskiego pt. *W mroku gwiazd* i inne poezje z własnym wstępem.

Ślub wzięli wcześniej, niż planowali. Ojciec Jana Józefa, który był dyrektorem technikum mechanicznego, stracił pracę. Lipskim groziło wykwaterowanie z dużego mieszkania, które

zajmowali przy ulicy Konopczyńskiego. We wrześniu 1951 roku Maria i Jan wzięli ślub cywilny, a w styczniu 1952 roku – kościelny. Choć Maria zameldowała się u teściów zaraz po ślubie cywilnym, przeprowadziła się do męża dopiero w styczniu, po kościelnym. Niedługo potem zaszła w ciążę. Urzędnicy nie mogli wyrzucić z domu ciężarnej matki. Pomogła też interwencja koleżanki Jana z Instytutu Badań Literackich u jakiegoś wysokiego urzędnika.

W 1953 roku Jan zaczął pracę w Państwowym Instytucie Wydawniczym, początkowo jako redaktor, od 1955 roku zaś jako kierownik Redakcji Klasyków Literatury Polskiej Okresu do 1863 roku.

– Nie znałam szczegółów jego działalności. Nie bałam się wiązać z nim. A zresztą w ogóle nie brałam pod uwagę niebezpieczeństw i niedogodności. Byłam szczęśliwa, czułam się na swoim miejscu – wspomina pani Maria.

Urodził się syn Jan, a trzy lata później córka Agnieszka. Maria koncentrowała się na domu i dzieciach, nie pracowała przez 6 lat. Gdy Jaś miał rok, zamieszkała z nimi ciotka, która pomagała młodej matce. Po odchowaniu dzieci Maria pracowała najpierw w „Czytelniku”, potem w PWN. Jan zajmował się sprawami społecznymi i polityką. A działało się dużo. W 1957 roku został zlikwidowany przez władze tygodnik „Po prostu”, symbol październikowej „odwilży”. Jan Józef Lipski był w składzie kolegium redakcyjnego pisma. W latach 1956-1962 działał w słynnym Klubie Krzywego Koła – w okresie 1957-1958 jako jego prezes, a do końca jako sekretarz zarządu, odpowiedzialny za organizację zebrań czwartkowych.

– Rzadko chodziłam na te zebrania, mieliśmy małe dzieci – mówi pani Maria. – To była domena męża. Owszem, znałam to środowisko, między innymi byli to nasi koledzy z polonistyki. Jan był bardziej towarzyski, ja nigdy nie lubiłam dużych spędów. Wolał chodzić sam, bo zabraniałam mu palić. Na zebraniach odpalał papierosa od papierosa. Poza tym twierdził, że krępuje go, gdy po raz setny słucham opowiadanych przez niego anegdot. On chyba dobrze się beze mnie czuł na tych spotkaniach. A ja bez niego fatalnie. I to mi zostało na całe życie.

Zdaniem pani Marii, Jan musiał mieć w PIW-ie taryfę ulgową, bo tak dużo czasu zajmowała mu działalność społeczna, że niewiele zostawało na pracę. Zwierzchnicy tolerowali jego częste nieobecności. Od czasu, gdy nawiązał korespondencję z Jerzym Giedroyciem z paryskiej „Kultury”, był stale inwigilowany przez SB. W 1960 roku za odczyty o ONR-Falandze i Bolesławie Piaseckim wyrzucono go z pracy w PIW-ie. Musiał utrzymać rodzinę, więc brał zlecenia, jakie się nawinęły. Zwykle były to zajęcia poniżej jego kwalifikacji. Od roku 1960 do 1961 był kierownikiem działu literackiego w piśmie „Gromada Rolnik Polski”. W 1961 roku wrócił do Instytutu Badań Literackich, był wydawcą dzieł m.in. Gabrieli Zapolskiej i Jana Kasprowicza.

W 1961 roku władze zlikwidowały Klub Krzywego Koła. Trzy lata później Lipski zorganizował wspólnie z Antonim Słonimskim podpisanie przez intelektualistów słynnego „Listu 34”, adresowanego do ówczesnego premiera Józefa Cyrankiewicza, dotyczącego ograniczenia przydziału papieru na druk książek i czasopism oraz zaostrożenia cenzury prasowej. 21 marca wszczęto przeciwko niemu dochodzenie, zaś 23 marca dokonano w jego domu przeszukania i zatrzymano go na 48 godzin. Ponadto objęto Lipskiego zakazem publikacji.

– Doskonale pamiętam tę pierwszą rewizję i zatrzymanie Jana Józefa – wspomina pani Maria. – Przyszło siedmiu esbeków, a mnie się wydawało, że po naszym mieszkaniu kręcą się tłumy. W przeciwieństwie do Jacka Kuronia nie usiłowałam być dla nich miłą, nie proponowałam herbatki. Bo niby z jakiego powodu? Podziwiałam jedną z naszych znajomych, która pytała funkcjonariusza: „Czy ja pozwoliłam panu usiąść?”. Potem na pobyty w więzieniu uszyła Jankowi specjalny, „więzienny” worek, tak zwaną samarę, do którego pakowałam wszystkie najpotrzebniejsze rzeczy.

W 1965 roku uzyskał stopień naukowy doktora rozprawą zatytułowaną *Twórczość Jana Kasprowicza w latach 1878-1891*, przygotowaną pod kierunkiem Kazimierza Wyki. Drugi tom monografii *Twórczość Jana Kasprowicza w latach 1891-1906* był podstawą habilitacji przyznanej 30 października 1975 roku przez Radę Naukową Instytutu Badań Literackich PAN. Habilitacja została jednak wstrzymana przez Centralną Komisję Kwalifikacyjną przy Prezesie Rady Ministrów PRL. Zatwierdzono ją dopiero w 1981 roku, w czasie „karnawału” Solidarności.

W latach 1967-1968 Lipski bronił relegowanych z uczelni studentów, między innymi Adama Michnika. W 1968 roku współorganizował nadzwyczajne zebranie Związku Literatów Polskich, którego był członkiem, w sprawie zdjęcia przez cenzurę *Dziadów* ze sceny Teatru Narodowego.

W 1975 roku uczestniczył w zainicjowaniu protestu przeciw zmianom w konstytucji, rok później zaś pojechał do strajkującego Ursusa.

Bagatelizując poważną chorobę, energicznie włączył się w organizowanie pomocy dla rodzin zatrzymanych robotników, został jednym ze współzałożycieli KOR. Mimo nie najlepszego stanu zdrowia aresztowano go i zatrzymano na parę tygodni w 1977 roku. Dopiero interwencja biskupów i Jarosława Iwaszkiewicza, który był wtedy prezesem Związku Literatów Polskich, spowodowała uwolnienie Lipskiego.

– Mąż od wielu lat chorował na serce – mówi pani Maria. – Kilka razy leżał w specjalistycznym szpitalu w Aninie, od połowy września do końca grudnia 1982 roku była to kuracja pod nadzorem esbeków. Miał trzy poważne operacje. Pierwszą w Londynie, w styczniu 1978 roku. Rok wcześniej otrzymał nagrodę amerykańskiej Fundacji Jurzykowskiego za osiągnięcia literackie, pięć tysięcy dolarów. Stanowiło to koszt tej operacji.

W 1980 roku wstąpił do Solidarności i wszedł w skład zarządu Regionu NSZZ „Solidarność” Mazowsze. Był delegatem na I Krajowy Zjazd Delegatów w Gdańsku. Gdy wprowadzono stan wojenny, pojechał do zakładów w Ursusie, aby uczestniczyć w strajku. 14 grudnia 1981 roku, gdy strajk spacyfikowano, Lipski został zatrzymany i oskarżony o kierowanie protestem. Został tymczasowo aresztowany. W związku z orzeczeniem lekarskim o stanie zdrowia 15 stycznia 1982 roku jego sprawę wyłączono do odrębnego postępowania. Przewieziono go do szpitala w Aninie, wkrótce wyjechał na badania kontrolne do Anglii.

– Mieliśmy wspaniałe stosunki z polską emigracją – wspomina pani Maria. – Bywaliśmy u prezydenta Edwarda Raczyńskiego, który proponował mężowi prezydenturę po swojej dymisji, a także u jego następcy Kazimierza Sabbata. W 1981 roku wróciłam wcześniej z Londynu, skończył się mój urlop. Mąż z pośpiechem kończył pisać monografię KOR-u. Na wiadomość o rozpoczęciu procesu członków KOR postanowił wyjechać do Polski, mimo protestów adwokata i przyjaciół.

Dzień po powrocie, 16 września 1981 roku znów go aresztowano. I znów ta sama droga: szpital więzienny, Anin pod strażą, powrót do domu po przeszło trzech miesiącach i działalność podziemna... A także przeróżne szykany, anonimy, listy z pogrózkami, niesprawiedliwe, krzywdzące ataki. Nie tylko inspirowane przez SB, niektóre z ust „zawodowych patriotów”. Maria silnie przeżywała to wszystko, choćby z powodu jego chorego serca. Internowano również dzieci: Janka na rok, Agnieszkę na cztery miesiące. Maria krążyła między więzieniem i „internatami”, rozwóżając paczki, prosząc o widzenia. Lipski napisał w jednej ze swoich książek: *Lepiej być tym, kogo aresztowano, niż tym, a raczej tą, która zostaje w domu.*

– Nigdy nie żałowałam i nie żałuję wyboru – mówi pani Maria. – Miałam ciekawe życie i poczucie, że jestem we właściwym czasie na właściwym miejscu. Całym sercem popierałam wybory moralne męża, bo on zawsze zachowywał się zgodnie ze swoim sumieniem. Wszyscy – przyjaciele, rodzina, znajomi – mówią, że mu pomagałam. A ja mam wrażenie, że robiłam za

mało. Wiem, że Jan i tak robiłby swoje, nawet gdyby mnie przy nim nie było, gdybym nie wspierała go duchowo. Gdy zaczął się KOR, ludzie mnie pytali: „Czy ty się liczysz z tym, że on pójdzie do więzienia?”. Odpowiadałam, że mam taką świadomość. Mówiłam mu czasem: „Pójdiesz do więzienia”. „No to pójdę” – odpowiadał. „Stracisz zdrowie”. „Nie stracę”. Taka była z nim rozmowa. Wiedziałam, że jeśli nawet postawię kontrę, to on i tak będzie robił swoje i w efekcie będziemy zwaśnieni. Ale tak nawiasem mówiąc, wcale nie miałam zamiaru go kontrować, bo jak już wspomniałam, jego wybory polityczne i moralne były mi bliskie. Oczywiście zdarzały się chwile załamania. Jedną z nich opisała Anka Kowalska w książce *Spotkania i spojrzenia* – byłam zła, zmęczona tym wszystkim: aresztowania, rewizje, ciągłe bieganie za pieniędzmi, bo przecież wciąż zwalniali go z pracy. „Jakie my mamy okropne życie!” – zawołałam. A on na to: „Jak to, my mamy wspaniałe życie!”. Co do tej wspaniałości, to nie do końca byłam przekonana. To wszystko razem było chwilami ciężkie do wytrzymania. Gdy wyrzucili go z IBL, to koledzy się składali na nasze utrzymanie. Bardzo dyskretnie to robili, ale o tym wiedziałam.

Jan stosunkowo szybko przeszedł na emeryturę. Zawsze żyli skromnie. Wakacje na ogół spędzali na Mazurach, wynajmując pokój u chłopów. W ostatnich latach życia Lipskiego zakochali się w miejscowości Jerzwałd nad Jeziorkiem. Dwa pokoje, mili gospodarze, piękne okolice, czysta woda. Rozrywki? Kino, dużo kina. Teatru mniej, bo Jan Józef chyba niespecjalnie lubił teatr. Ale pretekst był inny: „Bo ty mi się każesz specjalnie ubrać”. A nie cierpiał się „stroić”. W okresie KOR, po 1976 roku miał coraz mniej czasu na wieczorne wypadki z żoną. Zresztą kupili telewizor. No i ta jego gra. Wymyślił jej zasady w latach 70., w celi na Rakowieckiej. Potrzebny był zeszyt z opisem i kostka do gry. Świat bez wojen, historyczne postacie: Piast, Rurykowicz, Medyceusz... Konkretna punktacja. Doskonały pomysł na zagospodarowanie czasu w więzieniu.

– Żeby tylko w więzieniu... – uśmiecha się pani Maria. Jan często grywał w „grę” sam, w domu.

Przyszła wolna Polska i wszystko nagle się odmieniło. Jan Józef Lipski został senatorem. Nie był już outsiderem, nękanym przez służby specjalne, ale grubą rybą.

– Dla mnie były to trudne czasy – twierdzi pani Maria. – W 1988 roku urodził się mój pierwszy wnuk, a synowa rozpoczęła drugie studia, filozofię, na papieskiej akademii teologicznej w Krakowie. Miała zajęcia w poniedziałki, w ten jeden jedyny dzień w tygodniu, gdy nie było obrad Senatu i moglibyśmy być razem. Tymczasem ja skoro świt jechałam na Bemowo, a mąż sam siedział w domu.

Jan zmarł we wrześniu 1991 roku. Mecenasi Aniela Steinsbergowa, przyjaciółka Jana z Klubu Krzywego Koła, KOR-u i Polskiej Partii Socjalistycznej (Lipski w 1987 roku brał udział w tworzeniu tej partii i został jej przewodniczącym), gdy przeczytała kilka kartek, które u niej zostawił, powiedziała do Marii: „Szczęście od Boga, że na mnie trafiło! Nie wyszedłby z kryminału”. Toteż nie chcąc narażać ludzi, których tam wymieniał, zdecydował, aby zniszczyć wszystkie notatki. Zostały spalone. Rzecz jasna, ze szkodą dla przyszłych historyków.

Wnuk Jan Andrzej ma już 22 lata. Jego ojciec, Jan Tomasz Lipski, jest z wykształcenia socjologiem. Po 1990 roku przez kilka lat był redaktorem w „Gazecie Wyborczej”.

Agnieszka jest psychologiem, pracuje w ośrodku pomocy dla ofiar przemocy w rodzinie. Ma dwóch synów – Piotra i Macieja. Pani Maria trochę ubolewa, że nie ma ani jednej wnuczki.

To, co dziś dzieje się w polityce, podziały, kłótnie nie wzbudzają entuzjazmu pani Marii. Po jakiej stronie opowiedziałby się, gdyby żył, autor eseju *Dwie ojczyzny, dwa patriotyzmy?*

– Nie wiem. Na pewno nie poparłby PiS-u. Ale z drugiej strony to, co robi Platforma Obywatelska, nie wzbudziłoby jego sympatii – te afery, Miro, Grzecho, Rycho... Czekala na

niego niedokończona praca o Kasprówiczu, miały być trzy tomy, opracowanie o Micińskim. Proponowałam mu też, by wyjął z pracy o Kasprówiczu i rozszerzył wątek o prądach literackich Młodej Polski. On bardzo interesował się prądami w literaturze. Wykorzystał kiedyś uzdolnienia konstruktorskie odziedziczone po ojcu inżynierze i zrobił oryginalny model geometryczny światowych prądów literackich – duży sześcian z przegródkami z dykty, obudowany szklanymi płytami. Każda cząstka była innego koloru. Straszny ciężar! Zaniósł go do IBL, ale chyba nikt go nie używa, bo nikt nie wie, do czego to służy.

Jan kochał muzykę; klasyków wiedeńskich, kompozytorów baroku. Słuchał radia, gramofonu. Czasem chodzili do filharmonii.

– Pod koniec życia mawiał, że tylko muzyka mogłaby dla niego, agnostyka, stanowić dowód na istnienie Boga. Czasem przerywałam mu, chciałam coś powiedzieć, a on łagodnie mnie uciszał: „Ciii, słuchaj...”.

Ksiądz kanclerz z kurii odmówił Janowi Józefowi Lipskiemu katolickiego pogrzebu na warszawskich Powązkach. Niedowiarek, socjalista. Gdy przyjaciele interweniowali u prymasa Józefa Glempa, ten wyraził zgodę, ale zastrzegł, by zwłok nie wnosić do kościoła. Zamiast trumny przed ołtarzem leżała wiązanka kwiatów.



Kobieta w czerwieni
opowieść o Alinie Pieńkowskiej



Bogdan Borusewicz – polski polityk, działacz opozycji demokratycznej w latach PRL, poseł na Sejm I, II, III kadencji, od 2005 marszałek Senatu VI i VII kadencji, Honorowy Obywatel Miasta Gdańska. Członek Platformy Obywatelskiej.



Do historii weszła jako autorka 16. postulatu i jedna z trzech dzielnych pań, które uratowały strajk w Stoczni. Dzięki niej Lech Wałęsa zmienił zdanie na temat kobiet. „Uważałem, że kobiety są jak kwiaty, które należy pielęgnować, a więc do polityki się nie nadają – powiedział kiedyś.

– Alina zmieniła mój pogląd na rolę kobiet”.

Była nie tylko „żoną Borusewicza”. Trochę się zresztą złościła, gdy identyfikowano ją z mężem, zwłaszcza w okresie, gdy Bogdan związał się z Unią Demokratyczną i w wielu sprawach – jak np. w przypadku votum zaufania do rządu Hanny Suchockiej – zajmował stanowisko przeciwne niż Solidarność. Alina, mimo lojalności w stosunku do męża, którą manifestacyjnie okazywała przed kolegami z „S”, chciała być traktowana jako „oddzielny podmiot”, mający własne poglądy i własne zdanie.

– Dla niektórych było i jest od lat najważniejsze, że jestem żoną Borusewicza – mówiła w jednym z ostatnich wywiadów. – To mi liczono na plus albo na minus. Nieważna była sama Alina Pienkowska i to, co w życiu zrobiła. Słyszałam często: głosuj na nią albo: nie głosuj, bo to żona Borusewicza. I to nie jest w porządku. Bo albo kobieta jest kimś w życiu, coś w nim robi, albo nie. A to, kim jest jej mąż, albo to, czy w ogóle go ma, nie powinno mieć znaczenia. I ja się przeciwko temu buntuję, choć nigdy nie byłam w żadnych grupach feministycznych. Ale widzę, że kobietom jest znacznie trudniej w życiu.

– To była po prostu bardzo porządna kobieta – mówią o niej znajomi i przyjaciele. Podkreślają jej cechy charakteru – lojalność, ofiarność, skromność, rozsądek i odwagę. – Myślała o wszystkich, najmniej o sobie – dodaje jej mąż. Miała rzadki dar łagodzenia konfliktów, co było cenne w rozemocjonowanych środowiskach opozycyjnych.

– Alina nie kreowała siebie, działała, roztopiała się w działaniu – opowiada Jadwiga Staniszkis. – Hołdowała zasadzie: ludzie pomagają ludziom. Odpowiadała na wezwanie czasu. Nie jestem feministką, ale uważam, że nadchodzi era kobiet. Szkoda, że zabraknie w niej Aliny.

Życie jej nie pieściło. Urodziła się w 1952 roku w Gdańsku, w skromnej, robotniczej rodzinie. Jej ojciec był stoczniowcem. W grudniu 1970 roku wziął udział w strajku. Wrócił do domu skrajnie zdenerwowany. Zamknęli się z matką w kuchni i długo o czymś szeptali.

Osiemnastoletnia Alina podsłuchiwała to i owo. O wiecu, pochodzie, podpaleniu siedziby komitetu wojewódzkiego PZPR. O biciu robotników przez MO, gazach łzawiących, strzelaniu do stoczniowców jak do kaczek. O ofiarach śmiertelnych. Na drugi dzień okazało się, że gazety zupełnie inaczej przedstawiły przebieg wydarzeń, nazywając robotników domagających się swoich praw „warchołami” i „chuliganami”. Wtedy po raz pierwszy zdała sobie sprawę, że żyje w zakłamanym kraju, rządzonym przez zbrodniczy system. Chciała coś zrobić, pomagać, przeciwstawić się tym wołającym o pomstę do nieba kłamstwom – ale była bezradna.

Po maturze nie miała konkretnych planów. Przypadkowo przeczytała ogłoszenie: „Pomaturalne Studium Zawodowe Wydział Pielęgniarstwa w Gdańsku zaprasza kandydatów”. Złożyła papiery i rozpoczęła naukę zawodu, w którym miała przepracować całe życie.

– Długo wydawało mi się, że ta decyzja podjęta w jednej chwili to był przypadek. Ale teraz, gdy z perspektywy oceniam swoje życie, widzę, że tak nie było – stwierdziła po latach. Przyznała, że chciała iść na studia, ale rodzice woleli, żeby szybciej się usamodzielniała, podjęła pracę.

– W sumie cieszę się, że skończyłam tę szkołę. Ona pomaga żyć, nawet jeśli praca w zawodzie przekłada się na bardzo marne pieniądze. To trochę szkoła życia, pomaga w wychowywaniu dzieci, zdobywa się tu ogólny szlif w kwestiach psychologii i fizjologii człowieka. Z tym się potem łatwiej żyje. To wszystko, co dała mi szkoła, było później ważne. Nie tylko formalne kwalifikacje – twierdziła.

Do pracy w stoczniowej przychodni namówił ją ojciec. Przedtem, zaraz po szkole, zaczęła pracę w Szpitalu Wojewódzkim, gdzie zarabiała 1100 zł miesięcznie. Czuła się tam dobrze, zaprzyjaźniła z wieloma pielęgniarkami i lekarzami. Zaważyła jednak tradycja rodzinna i pieniądze – w stoczni zarabiała o 500 zł więcej.

Wyszła za mąż. Małżeństwo z Piotrem okazało się nieporozumieniem – w 1978 roku mąż zostawił ją z małym Sebastianem. Dzieliła los tysięcy polskich samotnych kobiet. Zamknięta w trójkącie praca – dom – dziecko, rzadko miała czas dla siebie, na rozwój zainteresowań i realizację marzeń. A peerelowska Polska, wbrew temu, co dziś z rozczuleniem opowiadają niektórzy, to nie był kraj aniołów. Za taką płacę, jaką dysponowała Alina, można było mówić tylko o wegetacji. Takie „dobra luksusowe”, jak własne mieszkanie czy samochód, były poza granicą wyobraźni pielęgniarki. Dostępnym marzeniem były pomarańcze dla dziecka z okazji świąt, „rzuczone na sklep”. Ale nie było wyjścia, jakoś się żyło. Z tym że Alina nie chciała żyć „jakoś”.

W 1977 roku na kilka miesięcy pojechała do stryja do Londynu. Podczas spotkania Polonii po raz pierwszy przekonała się, że o polityce można mówić głośno. Opowiedziała o wypadkach z 1970 roku na Wybrzeżu i o tym, co wiedziała o wydarzeniach z 1976 roku w Ursusie i Radomiu. Dowiedziała się, że w kraju działa opozycja demokratyczna, poznała zakazane w Polsce wydawnictwa. Bardzo ją to wszystko zainteresowało. Trafiło w czułą strunę. Chciała coś zrobić dla innych, pomagać, być użyteczna. Po powrocie do Gdańska udało jej się znaleźć egzemplarze „Robotnika” – był to podziemny dwutygodnik założony we wrześniu 1977 roku przez grupę współpracowników Komitetu Obrony Robotników. Czytywała również „Bratniaka”, pismo Ruchu Młodej Polski. Nie bała się, wyciągała je podczas dyżurów, dawała je kolegom. Gdy któryś z nich zwrócił uwagę, że nie ma w nich informacji o stoczni, Alina postanowiła, że sama coś napisze. Nie miała jednak doświadczenia. Postanowiła więc, że nawiąże kontakt z którąś z osób wymienionych w stopce redakcyjnej „Robotnika”. Wybrała Bogdana Borsewicza.

Był „modelowym rewolucjonistą”. Po raz pierwszy trafił za kratki w liceum, za rozklejanie ulotek własnej produkcji, dotyczących wydarzeń marcowych w 1968 roku.

W porównaniu z innymi opozycjonistami znajdował się w komfortowej sytuacji – nie musiał pracować. Pomagała mu mama, mieszkająca na stałe w USA. Biorąc pod uwagę ówczesny przelicznik dolara na złotówki, można było spokojnie przeżyć miesiąc za 20-50 dolarów. Był absolwentem liceum sztuk plastycznych i historii na KUL-u. Należał do KOR-u.

Borusewicz: – Kiedy się poznaliśmy? To było latem 1978 roku. Przyszła do mnie dziewczyna, która wyglądała na uczennicę. No nie, pomyślałem, niedługo przedszkolaki będą chciały czytać „Robotnika”...

Skonfundowana Alina zaczęła się tłumaczyć, pokazała Bogdanowi dowód osobisty. Miała już 28 lat, męża, dziecko. Gorzkie doświadczenia.

– Gości nie legitymuję – odparł i wszyscy zaczęli się śmiać, było akurat u niego kilkoro studentów z Politechniki Gdańskiej, rozmawiali o pakcie Ribbentrop-Mołotow. Alina przyłączyła się do grupy.

To prawda, wyglądała na uczennicę. Drobna, szczupła, w okularach. Nieśmiała. Do legendy przeszły opowieści, jak w początkowym okresie zabierała głos na zebraniach, zawsze zaczynając od słowa „przepraszam”. Zdenerwowany Andrzej Gwiazda zwrócił jej uwagę: „Przestań wreszcie przeproszać, że żyjesz, tylko mów!”. Ujęła Bogdana swoją filigranowością, naturalnym wdziękiem. Na początku jednak tłumaczył sobie, że po prostu cieszy się, że nawiązał taki pożyteczny kontakt: dziewczyna ze stoczni!

– Od razu wydawała mi się cennym kontaktem – wspominał. – Miała dostęp do robotników ze wszystkich wydziałów, doskonale nadawała się do kolportażu naszego pisma.

Umówili się na następne spotkanie.

Przyszła zmieniona nie do poznania, w czerwonej sukience i wysokich, czerwonych szpilkach. Rozpuszczone włosy. Powiedział jej, że w mieszkaniu ma podsłuch, była to szczerą prawdą, a nie wybieg podrywacza. Poszli na spacer na Pachołek, wzgórze w Gdańsku Oliwie. Było jej niewygodnie wspinać się w szpilkach, czerwoną sukienkę esbecja mogła zauważyć z kilku kilometrów. Był trochę zły na nią, choć mile łechtało jego próżność, że tak wystroiła się dla niego.

– Spotkanie z Bogdanem całkowicie odmieniło moje życie – zwierzała się przyjaciółce. – Szalenie mi imponował. Zakochałam się bez pamięci, ale nadszedł Sierpień i na sprawy prywatne nie było czasu.

Za kilka dni znów poszli na spacer do lasu. Wiedziała o tym, ale znów włożyła tę samą sukienkę i szpilki. Widocznie był to jej jedyny zestaw na specjalną okazję. Teraz Bogdan był już śmielszy i na stromej ścieżce wziął ją na ręce.

Zaczęli spotykać się regularnie. Dyskusje o polityce, o Polsce coraz częściej przerywały osobiste wtręty. Dowiedział się, że jest w separacji z mężem, że wychowuje dziecko. Dawał jej do czytania publikacje drugoobiegowe. Zdarzały się wieczory, że razem słuchali Chopina.

– Byłem nieśmiały w stosunku do dziewczyn – wspomina w „Dzienniku Bałtyckim”. – Ale w pewnym momencie zauważyłem, że Edwin Myszk ją podrywa. A zacząłem go już wtedy podejrzewać, że donosi do SB. „Nie ma na co czekać” – pomyślałem i zdecydowałem się ją pocałować. W lesie, oczywiście że w lesie. Mam nadzieję, że bezpieka tego nie widziała...

Dzięki temu uratował Alinę przed związkami z postacią nader podejrzaną. O Myszk pisał Jacek Kuroń w książce *Gwiezdny czas*: w 1979 roku na ukradzionym opozycji powielaczu wydał on dwa fałszywe numery „Robotnika Wybrzeża”, pisma Wolnych Związków Zawodowych. Kuroń z kolegami sprawdzili fałszywki pod względem technicznym. „Był to absolutny dowód, że mieliśmy do czynienia z pracownikiem Służby Bezpieczeństwa, i to kadrowym”. Jakoś jednak nie przeszkodziło to w dalszej „podziemnej” karierze Myszka: w 1988 roku razem z Nikodemem Skotarczakiem, pseudonim Nikoś (późniejszym szefem gdańskiej

mafii), zorganizowali na Wybrzeżu całe podziemne wydawnictwo. Zaczęli wydawać tropione przez bezpiekę materiały NZS, historię Polski Pobóg-Malinowskiego, a nawet Biblię! Zdaniem opozycjonistów, Myszk i „Nikoś” zarobili w ten sposób olbrzymie pieniądze pod kuratelą SB.

W czerwcu 1978 roku Alina przystąpiła do Komitetu Założycielskiego Wolnych Związków Zawodowych. Pisywała również do „Robotnika”, a jej nazwisko znalazło się w stopce redakcyjnej obok nazwiska Bogdana. W swoich artykułach poruszała ważne problemy stoczniowców, o których milczały reżimowe media: pisała o złych, niebezpiecznych warunkach pracy, biurokracji, szwankującej służbie zdrowia. Przez nową aktywność i nowych znajomych Alina zaczęła mieć kłopoty w domu i pracy. Rodzice byli niezadowoleni, bo późno wracała, kręcili się koło niej podejrzani ludzie, zapewne z bezpieki. „A pan do kogo?” – ojciec tarasował drzwi Borusewiczowi. – „Dajcie jej spokój, ona ma dziecko!”. Za którymś razem Borusewicz wypalił: „Przychodzę, bo podoba mi się pańska córka!”.

Po latach okazało się, że obawy rodziców nie były bezpodstawne. Biuro „B” Komendy Wojewódzkiej MO w Gdańsku bacznie obserwowało tzw. aktywistów antysocjalistycznych, nadając im przeróżne pseudonimy, m.in.: Aleksander Hall – „Hak”, Anna Walentynowicz – „Wala”, ksiądz Henryk Jankowski – „Jakut”. Alina Pieńkowska była „Pelasią”. W jej domu zaczęły się rewizje, zatrzymywano ją na 48 godzin.

– Ja przed Sierpniem miałam trudno – wspominała – bo jednak ubecja czasem do mieszkania wpadała. Zdarzało się, że ubecy wchodzą, mama otwiera lodówkę, wypadają ulotki, otwiera piekarnik – znowu ulotki.

Piotr Adamowicz w artykule „Wspinaczka pod stromą górę” (PlusMinus, 01.11.02) opisuje tragikomiczną historię związaną z próbą zatrzymania Aliny: *W roku 1979, przed nielegalnymi obchodami Grudnia '70, władza postanowiła zamknąć całą gdańską opozycję. Pieńkowska była śledzona. Napotkanemu mężczyźnie powiedziała, że jacyś ludzie ją zaczepiają i poprosiła, by ją odprowadził. Gdy ubecy rzucili się na nią, mężczyzna stanął w jej obronie, więc jego też zamknęli. Już po powstaniu „Solidarności” na Uniwersytecie Gdańskim odbyło się spotkanie na temat WZZ. Jeden z jego uczestników wstał i zaczął opowiadać: – Wie pani, ile mnie pani kosztowała zdrowia? Myślałem, że SB chodzi o jakieś dolary czy złoto. A oni mnie wypytywali o Borusewicza, którego za Boga nie znam. Ale to jeszcze nic. Wypuścili mnie po 48 godzinach. Idę do domu i tłumaczę żonie, że zostałem zatrzymany. Ona pyta o dowody. Tłumaczę, że nie dali zaświadczenia. A ona Won! Byłeś na pewno u jakiej baby”. SB to nic w porównaniu z żoną, która przez pół roku nie dawała mi spokoju.*

Wracała późno z zebrania Wolnych Związków Zawodowych, u Bogdana Felskiego na ulicy Ojcowskiej, u Jerzego Borowczaka...

– Borowczak mieszkał na kwaterze, utkwiły mi w pamięci takie żelazne łóżka. Straszne były te kwatery dla stoczniowców, łóżka i koniec. Jak wszyscy tam weszliśmy, to nie było się gdzie poruszyć – wspominała Alina, opisując dziennikarzowi swój album ze zdjęciami z lat 70. i 80. – Ja też miałam ciasne mieszkanie i pamiętam, jak na któreś moje urodziny przyszedł Bogdan Felski, a że było trochę ludzi, więc ledwo się mieściliśmy. Z Jackiem Taylorem stwierdziliśmy, że nie może być tak, że jedni wejdą, a ci młodzi robotnicy zostaną gdzieś na schodach.

Choć czasy były ciężkie, w stopniu nieporównywalnie większym niż dziś respektowano prawo pracy. Alina Pieńkowska była jedynym żywicielem rodziny, więc nie można jej było zwolnić z pracy. Usiłowano jej jednak maksymalnie utrudnić życie. Przenoszono ją na inne oddziały (np. ze stoczni do Elmoru) i robiono to z regularną częstotliwością, żeby uniemożliwić jej nawiązanie kontaktów. Obcinano skromny dodatek do pensji.

– Gdy zaczynałam współpracę z opozycją, dykcja przerzucała mnie z jednego oddziału

na drugi, żebym nie miała bliższych relacji ze współpracownikami – wspominała. – To mnie wcale mnie martwiło. ZOZ nie był wielki, nie byłam osobą anonimową, a dzięki temu przybywało mi tylko koleżanek. Ten cały koncept SB nie powiódł się.

Wszystkie te szykany nic nie znaczyły w sytuacji, że znalazła wreszcie swoje miejsce. Czuła się potrzebna, miała świadomość, że to, co robi, jest ważne. A poza tym – znalazła miłość swojego życia. Związek z Bogdanem kwitł, rozwijał się. Wiadomo już było, że są parą. Zaczęła starać się o rozwód.

SB postanowiła uderzyć w Alinę przez jej eksmałżonka. Z dokumentów esbeckich wynika, że niejaki podporucznik J. Osuch planował wykorzystanie Piotra do „ośmieszenia i skompromitowania gdańskiego środowiska działaczy antysocjalistycznych”. Namawiano go, by rozesłał do pism opozycyjnych – w tym do „Robotnika” – list, w którym przedstawiałby w sposób nieprawdziwy, szkalujący kontakty Aliny i Bogdana. Jego jako pozbawionego skrupułów uwodziciela, ją jako rozpustną i wyrodną matkę. Proponowano Piotrowi, żeby wykorzystał zbliżającą się sprawę rozwodową do odebrania Alinie praw rodzicielskich „z uwagi na zaniedbywanie swoich obowiązków wobec Sebastiana i wychowywanie go niezgodnie z socjalistycznymi zasadami współżycia”. Trzeba oddać sprawiedliwość Piotrowi, że oparł się namowom esbeków. Do rozwodu nie doszło – Piotr zmarł nagle w marcu 1980 roku. Alina została młodą wdową.

– Jeszcze kilka tygodni przed strajkiem pracowała u nas w przychodni Elmoru – wspominał Bogdan Lis, który był jednym z członków prezydium Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego. – Dzięki Alinie wszyscy dowiedzieli się o strajku.

Zobaczyła strajk z okien przychodni zakładowej. Tak opisywała wydarzenia sierpniowe: *Taki drobiazg: wtedy trudno było nawet przekazać żonie wiadomość, że się zostaje na noc na strajku. Mało kto miał telefon, zresztą telefony zostały od razu w pierwszym dniu odcięte. Dlatego od razu chcieliśmy nagłośnić strajk przez Wolną Europę, a także przekazać tą drogą apel o dostarczanie strajkującym żywności, by choćby w ten sposób uspokoić nastroje wśród rodzin. Osobą, która miała najlepszy w Polsce dostęp do RWE, był Jacek Kuroń. (...) Ode mnie z przychodni na miasto dzwoniło się przez centralę. Ale to wyjście przez „0” szybko odcięli. Były jednak jeszcze trzy aparaty z wyjściem bezpośrednim. Wykręciłam numer Jacka Kuronia. Na pewno już coś się z tymi telefonami działo, nie wiem, czy były słuchane, czy nie, ale Jacka głos się pojawił. Mówię: Jacku, chciałabym, żebyś zapisał postulaty. A Jacuś: Świetnie, złotko, idę po długopis. Koleżanka stała na czatach, a ja czekałam, jak drzwi się otworzą i wpadną ubecy. To wyjście po długopis wydawało mi się wiecznością. Jacuś najpierw ochoczo wszystko pisał, mówił: tak, tak. Wreszcie mówię: Bezpieczeństwo dla strajkujących. On: Dla jakich strajkujących? Ja: Stocznia strajkuje. Wtedy on nieparlamentarnie coś powiedział – i rozłączyli rozmowę. Potem dzwoniliśmy do niego z telefonów kolejowych, bo kolej miała własną sieć łączności. Tyle że trzeba było się przebrać i wyjść ze stoczni bocznym wyjściem, żeby ubecy nie zauważyli. Nie wiedziałam, gdzie iść na tę kolej, więc poszłam do informacji. Stwierdziłam, że jak mają mnie szarpać, to lepiej, żeby ktoś widział. Więc nie szłam do żadnych zawiadowców, tylko do okienka „informacja”. Była spora kolejka. Pytam: Czy mogę zadzwonić? Pani: Proszę. Uprzedzam, że jestem ze strajkującej stoczni. Ona: Proszę bardzo. Mówiłam rzeczy polityczne, przekazywałam apel do mieszkańców o żywność, a kolejka zachowywała się tak, jakbym pytała o godzinę odjazdu pociągu.*

Informacja poszła w świat. W Warszawie, we władzach wywołała panikę. Jaruzelski, Kiszczak, Kania błyskawicznie przerwali urlopy, był sierpień. (I sekretarz KC, Edward Gierek z urlopu na Krymie nie wrócił, gdyż, jak powiedział po latach Januszowi Rolickiemu w książce pt. *Przerwana dekada*, towarzysze poinformowali go, że strajk jest kontrolowany, bo na jego

czelę stoi „ich człowiek”). Sytuacja jednak była podbramkowa – do żądań ekonomicznych doszły polityczne, podważające system komunistyczny. Do strajku w Stoczni Gdańskiej przystępowały kolejne zakłady.

Bogdan Borusewicz brał udział w przygotowywaniu strony organizacyjnej strajku i opracowywaniu postulatów strajkowych.

Dwa dni później, po rozpoczęciu strajku w Stoczni, nastroje zaczęły siadać, protest się załamywał. Tak opisał tę sytuację brytyjski historyk Timothy Garton Ash w książce pt. *Polska rewolucja: „Solidarność” 1980-1982: W Komitecie Strajkowym w Gdańskiej Stoczni panowała niespokojna atmosfera i brakowało jedności (...). Przybywało teraz wielu starszych robotników, którzy gotowi byli poprzestać na pieniądzach. I, mimo całej elokwencji Wałęsy, poprzestali. W sobotnie popołudnie 16 sierpnia większość rozszerzonego komitetu strajkowego przyjęła propozycję dyrekcji zakładów: podwyżkę 1500 złotych. Gniech pospiesznie zakomunikował przez radio, że wszyscy pracownicy powinni opuścić Stocznę do szóstej po południu. Jednocześnie Wałęsa musiał stawiać czoła rozwścieczonym delegatom z innych strajkujących zakładów, którzy, jak w Szczecinie w styczniu 1971 roku, zeszli się do największej stoczni. „Jeżeli nas porzucicie, będziemy zgubieni! – krzyczała Henryka Krzywonos, kobieta o męskiej posturze, która przewodziła kierowcom tramwajów i autobusów. – Autobusy nie zwyciężą czołgów!”. Alina Pienkowska, odważna pielęgniarka z WZZ, z grymasem napięcia na szczupłej twarzy, i Ewa Osowska, działaczka Ruchu Młodej Polski, próbowały zatrzymać potok robotników opuszczających Stocznę, ale głosy ich zagłuszało stoczniowe radio. Niektóre kobiety z tłumem na zewnątrz bramy szydziły z wychodzących mężczyzn. Wałęsa wysłuchał protestów, wyczuł gniew ludzi i szybko zmienił zdanie. Jeżeli robotnicy tego chcą, to strajk będzie prowadzony nadal, tym razem jako strajk solidarnościowy.*

– Zarówno Ania Walentynowicz, jak i Alina Pienkowska były kobietami, które zdawały sobie sprawę z ryzyka, które podejmują. Były po prostu „w temacie”, wiedziały, co je czeka, jeżeli coś się nie uda i strajk się nie powiedzie. Dzięki Walentynowicz i Pienkowskiej, i dzięki mężczyznom działającym w WZZ, takim jak Bogdan Borusewicz czy Andrzej Gwiazda, to wszystko powstało – najpierw wybuchł strajk, a potem zawiązała się Solidarność – podsumowuje Henryka Krzywonos.

Gdy Wałęsa ogłosił zakończenie strajku, stoczniowcy ruszyli w stronę bram. Henryka Krzywonos krzyknęła: – Sprzedaliście nas! Teraz wyduszą nas jak pluskwy!... A stojąca obok Wałęsy Ewa Osowska: – Zdrada!

– Lechu próbował coś mówić, ale go wyklaskali – wspominała Pienkowska. – Powiedział tylko: – Chcecie strajkować, to strajkujemy. Lecz radiowęzeł został już odcięty, a stoczniowcy wychodzili do domów. Mówię do Walentynowicz: – Aniu, wychodzą! Ania: – Ty leć na pierwszą bramę, ja na trzecią, a potem przyjdź na trzecią, bo ona jest duża. I tak żeśmy zrobiły. To był kawał drogi, chciałam więc znaleźć takiego dziennikarza, chyba z „Życia Warszawy”, który miał samochód. Pytam Bogdana, czy wsiąść, bo myślę: jak wsiądę, a on jest z SB, to koniec. Bogdan powiedział: „Wsiadać”. Dojechaliśmy do tej bramy. Tam jest most nad ulicą. Nigdy nie widziałam tylu wychodzących. Wszyscy naraz wychodzili. I tam ich zatrzymywałam. Każda z nas ma udział w utrzymaniu wtedy strajku: Ewa Osowska, Henryka Krzywonos, Ania Walentynowicz, ja. Garstka ludzi została. Mówimy, że 700 osób, ale nikt nie liczył. Brakowało ludzi, by obstawić bramy i teren stoczni. Lechu zaprzecza, niestety, a to kobiety trzeciego dnia uratowały strajk – twierdziła Pienkowska. – Niech Lechu nie zaprzecza, bo fizycznie ktoś te bramy zamknął. A gdyby nie zamknął, to wszyscy by wyszli.

W stoczni powstał Międzyzakładowy Komitet Strajkowy, z Aliną i Bogdanem. W nocy z 16 na 17 sierpnia sformułowano 21 postulatów. Autorką 16., brzmiącego następująco:

„Poprawić warunki pracy służby zdrowia, co zapewni pełną opiekę medyczną osobom pracującym”, była Alina. Sama zresztą własnoręcznie zapisała 6 postulatów.

Władze próbowały osłabić i przerwać strajk. Przez megafony powtarzano wezwanie do opuszczenia stoczni – przecież robotnicy doszli do porozumienia z dyrekcją. Z helikoptera rozrzucano antystrajkowe ulotki. Bez rezultatu. Strajk się rozrastał, wkrótce dołączyło do niego 150 zakładów, w tym stocznie w Szczecinie. Temu wszystkiemu towarzyszyła ostra, medialna kampania dezinformacyjna. W epicnowy entrum tych wydarzeń znajdowała się Alina. Było dokładnie tak, jak w przejmującej *Piosence dla córki* Macieja Pietrzyka, którą często śpiewano na strajku:

*Nie mam teraz czasu dla Ciebie
nie widziała Cię długo matka
jeszcze trochę poczekaj dorośnij
opowiemy Ci o tych wypadkach
O tych dniach pełnych nadziei
pełnych rozmów i sporów gorących
o tych nocach kiepsko przespanych
naszych sercach mocno bijących*

Sebastian został z dziadkami. Miał 6 lat.

– Byłem zazdrosny o Bogdana, to fakt – wspomina. – Gdy chodziliśmy we trójkę do lasu, rzucałem się na ziemię i krzyczałem, że dalej nie pójdę. Chciałem mieć mamę tylko dla siebie. Bogdan starał się zaskarbić sobie moją sympatię, pamiętam, że robił mi łódki z kory...

Na pewno bardzo przeżył rozstanie z mamą. Wróciła do domu jako bohaterka, jedna z sygnatariuszy Porozumień Sierpniowych. Jak wiadomo jednak, „karnawał” trwał krótko.

– W nocy z 12 na 13 grudnia 1981 roku, po posiedzeniu KK, miało się odbyć spotkanie tzw. gwiazdzbioru (grupy osób skupionych wokół Andrzeja Gwiazdy, niezgadających się z polityką Lecha Wałęsy – przyp. red.) – wspominała Pienkowska. – Chcieliśmy ustalić, czy się chowamy, były już sygnały, że coś się zaczyna dziać. Zadzwoniłam najpierw do Gwiazdów, sygnał był dziwny, nikt nie odbierał telefonu, a ponieważ miałam jechać z Gdańska do Gdyni, a wcześniej był Sopot, pomyślałam: najpierw polecę do Bogdana. U Bogdana telefon jeszcze działał, jego siostra Róża powiedziała, że dzwonił i że zaraz przyjdzie. Więc pojechałam do niego i już nie wyszłam. W mieszkaniu czekali ubecy. W pewnym momencie zrobił się szum, usłyszałam dwa strzały. Bogdan wszedł na klatkę schodową, ale sąsiadka z pierwszego piętra, pani Kopeć, otworzyła swoje drzwi, wciągnęła go do mieszkania, otworzyła okno i kazała uciekać. Bogdan wyskoczył, oni to zauważyli, zaczęli strzelać, ale na szczęście nie trafili. Potem zawieźli mnie do Strzebielinka. Byłam w więzieniu w Gdańsku, w Fordonie, w Gołdapi. W Gołdapi było gorzej niż w innych więzieniach. W tamtych byli klawisze, był przeciwnik, a tu niby mogłyśmy wszystko, niby było poczucie wolności, ale naprawdę wcale go nie było. Dzieci ubeków biegały na zewnątrz, wołały mama, mama, a mnie się stałe wydawało, że to Sebastian. Psychologicznie było to cięższe do zniesienia. Ktoś ze słabszym charakterem lepiej się trzymał w więzieniu niż w ośrodku internowania. Wiele moich koleżanek miało przepustki na leczenie w szpitalu w Giżycku, na badania, zabiegi. Ja nie, choć był u mnie lekarz z Gołdapi i Międzynarodowy Czerwony Krzyż. Miałam wątrobę uszkodzoną po żółtaczce; ubecja nigdy się nie zgodziła, żebym poszła do szpitala.

Przebywała kolejno w zakładach karnych w Strzebielinku, w Gdańsku na Kurkowej i na końcu w Gołdapi. W tym istniejącym w okresie od stycznia do lipca 1982 roku ośrodku internowania dla kobiet przebywało 329 z 750 zatrzymanych. Pierwszy transport trafił tu 6 stycznia 1982 roku. Prerażone kobiety oddychały z ulgą, przekonując się, że nie trafiły do

radzieckiego gułagu, ale do zakładu o standardzie domu wczasowego: łazienki, stołówka, a nawet kawiarnia. Ośrodek w Gołdapi pokazywany był delegacjom Czerwonego Krzyża i zagranicznym mediom. Kobiety, odcięte od świata, zorganizowały tu sobie własne „życie obozowe”. Miały na przykład konspiracyjną „służbę zdrowia” (wzięła się do tego między innymi Alina), życie kulturalne (aktorka Halina Mikołajska przygotowywała spektakle teatralne). Miały radio i potajemnie słuchały Wolnej Europy. Wydawały własne „gazety”, przepisywane ręcznie w wielu egzemplarzach. Alina źle się czuła, martwiła się o syna.

Sebastian bardzo tęsknił.

– Pojechałem wraz z dziadkami do Gołdapi. Jechaliśmy z trzema przesiadkami, szesnaście godzin. Rzuciłem się mamie na szyję, a po dziesięciu minutach zasnąłem. Obudziła mnie, dopiero kiedy musieliśmy wracać. Byłem bardzo zawstydzony, bo tak czekałem na to spotkanie.

Alina Pienkowska: – Dziś niektórzy mówią: styropian, kombatanctwo. Fajnie się tak mówi tym, którzy byli wtedy po przeciwnej stronie, mieli władzę. Natomiast z mojego punktu widzenia tamte czasy wyglądają zupełnie inaczej. Pracowałam, miałam małe dziecko – w 1981 roku Sebastian miał 7 lat. Moje internowanie było dla niego bardzo trudne. Oczywiście, ja się ze wszystkim liczyłam, miałam świadomość, co się może stać i starałam się przygotować go na taką sytuację, że mama zniknie, ale wszyscy inni będą mu pomagać. Jednak dziecko traci wtedy poczucie bezpieczeństwa. A ja sama żyłam w nieustannym niepokoju, czy Sebastian jest u dziadków, co się z nim dzieje.

Po wyjściu z internowania – 23 lipca 1982 roku – wróciła do pracy na oddziale laryngologii. Co jakiś czas spotykała się z ukrywającym się Borusewiczem. We wrześniu 1984 roku urodziła się ich córka Kinga. Postanowili szybko się pobrać, bali się bowiem, że Bogdan trafi na wiele lat do więzienia. Ślubu udzielił im 3 grudnia ksiądz Bogdanowicz, proboszcz Bazyliki Mariackiej, w mieszkaniu swojego brata. Świadcami byli brat księdza i kolega Bogdana. Bogdan przybył incognito, w przedziwnej fryzurze afro, w swetrze, jesionce z laminatu i z butelką szampana w teczce. No i pod przybranym nazwiskiem – Jan Klusek. Wtedy też, na ślubie, po raz pierwszy zobaczył córkę.

– Byłam w skromnej sukieneczce, Bogdan w sweterku, za oknami lał deszcz. Przyjechaliśmy burym tramwajem, z Kingą w wózek. Po sakramencie małżeństwa gospodyni otworzyła drzwi do drugiego pokoju. A tam – niezwykle uroczyste nakryty stół, wokół obcy dla nas ludzie, choć bardzo sympatyczni, grono dzieci. I jak zobaczyłam ten śnieżnobiały obrus, super wykrochmalony, a na nim wyszukane, drogie potrawy, choć było ich malutko i symbolicznie – łosoś i pomidory i chyba szynka, wtedy nie do kupienia, eleganckie nakrycia – nie wytrzymałam i strasznie się rozplakałam. Chrzcziny Kingi odbyły się w marcu następnego roku, w kościele Mariackim. Bogdan ciągle się ukrywał, ale przyszły tysiące ludzi. Był taki tłok, że mój tato nie przecisnął się w pobliże ołtarza, gdzie była chrzczona jego wnuczka. A była to osobna uroczystość, poza mszą. Potem byłam na urlopie wychowawczym; wróciłam do ZOZ-u, gdy Kinga poszła do przedszkola.

– Kinga to największy dowód porażki SB, która wiedziała, że Alina jest moją dziewczyną, a nie potrafiła mnie złapać – mówi Borusewicz. Ukrywał się w różnych miejscach, przeważnie u znajomych i „znajomych znajomych”.

– W mieszkaniu Ligii Kilińskiej na ulicy Matejki był magazyn bibuły, było drukowanie, Bogdan się też tam ukrywał – tuż przed rozpoczęciem strajku w Sierpniu. A potem w stanie wojennym ukrywał się też we Wrzeszczu na Waryńskiego albo Wyspiańskiego (zawsze myślę te dwie ulice), chyba na Waryńskiego, u mamy Ligii. W tym pierwszym okresie, kiedy wszyscy się bali kogokolwiek schować, u niej mieszkało trzech poszukiwanych: Borusewicz, Krzysztof Pusz

i Andrzej Kinaszewski. Wszystko było dobrze, tylko że to była starsza pani, słaba, wszyscy ją tam znali, i ona nagle kupowała pięć bochenków chleba, trzy kilo kapusty, a sklepikarz się pytał: „Po co pani ten chleb?” Ona: „Jak to? Wojna, to trzeba magazynować”. I codziennie brała te chleby. Potem musiała zmienić sklep i nosić z odległych miejsc, bo zaczęli na nią zwracać uwagę. Po stanie wojennym te więzi trwały – wspominała Alina. – Bogdan miał taką słynną wpadkę na Zaspie: ukrywał się u swojej byłej nauczycielki. Tam weszła ubecja, on uciekał po dachach. Ubecja założyła kocioł, a Bogdan na tym dachu nie mógł się ruszyć. Widzi, a do tego mieszkania idzie Piotr. Tam miało być spotkanie. Szedł Kapczyński i szedł jeszcze jeden. Bogdan był umówiony, że w razie najścia milicji coś będzie stało w oknie. Piotr to zbagatelizował i idąc, mówił: a, Bogdan chce mnie nastraszyć. I chyba wszedł z ulotkami, niestety.

Każda rewolucja ma swoje legendy. Jedną z nich jest opis chrzcin Kingi. Nawet niedawno „New York Times” powieili ją, opisując, jak to w ceremonii wziął udział Borusewicz przebrany za kobietę, a niczego niepodważający Wałęsa pocałował go w rękę. Tak naprawdę Bogdan na chrzest nie przyszedł, bo esbecja obstawiła kościół. W 1986 roku Borusewicz został aresztowany w domku Osowskich na Stogach i uwięziony, a w 1988 zwolniony z więzienia na mocy amnestii. Akurat zdążył na strajk majowy i sierpniowy w Stoczni Gdańskiej w tym samym roku. Alina, rzecz jasna, była członkiem komitetów strajkowych.

Wielu uważa, że największym osiągnięciem Aliny w okresie od wyjścia na wolność do 1989 roku jest założenie Fundacji Zdrowia Solidarności, na którą poszło milion dolarów, otrzymanych przez Solidarność od amerykańskiego Kongresu. Pieniądze te zostały wykorzystane na pomoc medyczną w Gdańsku, Warszawie, Krakowie i Legnicy. W 1989 roku dzięki Fundacji powstały nieistniejące do tej pory w Polsce punkty nieinwazyjnej diagnozy serca.

– Utożsamiałam się z ideą okrągłego stołu. Ale skład delegacji do spraw służby zdrowia był ustalany przez kolegów z Warszawy. I nie było tam osób, które się najbardziej narażały w stanie wojennym. Z tego względu nie chciałam uczestniczyć w tych rozmowach.

Uważałam, że byłabym nie w porządku wobec ludzi, którzy przez cały stan wojenny pracowali na rzecz zmian.

Po 1990 roku została senatorem II Kadencji z listy związkowej, reprezentując województwo gdańskie. Jednocześnie Bogdan został posłem. Z humorem opowiadała, jak to w hotelu poselskim odmówiono im wspólnego pokoju, bo nie było takiego przypadku, żeby poseł dzielił pokój z senatorem. Od 1993 roku działała w Unii Demokratycznej, potem Unii Wolności. Po skończonej kadencji wróciła do dawnej pracy w ZOZ.

– Gdy zostałam senatorem, uważałam, że nie jest w porządku łączyć funkcje i złożyłam rezygnację z funkcji przewodniczącej Sekcji Służby Zdrowia w Solidarności. A potem nikt się już do mnie nie zwrócił, żeby wróciła do sekretariatu służby zdrowia. Przesądziło to, że mój mąż był w Unii Wolności, która nie była wtedy w dobrych relacjach ze związkiem. Na dole zawsze byłam wybierana, ale na górze aparat związkowy mnie kasował. Poczulałam się zdradzona przez osoby, które do związku weszły w latach późniejszych i za jego pośrednictwem – do polityki. Takie poczucie miałam i mam, ale to się nie odnosi do osób, które poznałam w latach 80. w Sali Herbowej w Gdańsku (w trakcie okupacyjnego strajku służby zdrowia w listopadzie 1980 r. – przyp. red.). I chociaż z nimi nie spotykamy się na co dzień – wiemy, że chyba zawsze możemy na siebie liczyć. A mówię tu tylko o środowisku służby zdrowia – lekarzach, pielęgniarkach, sanitariuszach, kierowcach karettek. Czuliśmy się wtedy tak bardzo solidarni. Ale takie były tamte czasy, byliśmy ich częścią. Ludzie z tamtych lat pełnią dziś różne funkcje. Ale pozostają tacy sami jak wtedy. Niestety, nie mogę tego powiedzieć o ludziach, którzy weszli do związku po '89 roku, w czasach legalnej działalności. Zachowywali się bardzo koniunkturalnie.

W Pienkowskiej nie było cienia karierowiczostwa – co podkreślają jej znajomi. Mogła w rządach Mazowieckiego i Bieleckiego objąć wysokie, ministerialne funkcje, bo składano jej takie propozycje – nie chciała. Cechowała ją skromność i przyzwoitość. Ludzie to doceniali. Na przykład w okresie pracy w Elmorze zwierzchnicy próbowali ją oskarżyć o rażące zaniedbanie dyscypliny, co byłoby powodem jej zwolnienia z pracy. Pod petycją w jej obronie podpisało się wówczas 311 członków niewielkiego zespołu.

– Zawsze wracałam do ZOZ-u. Niewielu ludzi wraca. Nie dlatego, że nie miałam innej możliwości. I mówię to uczciwie: chciałam być w tym środowisku. Odchodziłam z ZOZ-u na czas pełnienia funkcji publicznych – mówiła w wywiadzie pod koniec życia. – Teraz sama jestem w poradni podstawowej opieki zdrowotnej. Szkoda, że dotknęła mnie choroba, bo w kontakcie z pacjentami czuję się najlepiej. Odpowiedzialność publiczna – mówiłam tak zawsze – to dla mnie kamieniołomy. W przychodni czy szpitalu praca jest uporządkowana, ma określone godziny, ja tu odpoczywałam. Pamiętam zdziwienie: to pani wróciła?, gdy po skończonej kadencji senatora zjawiłam się w ZOZ-ie. – A gdzie miałabym być? – pytałam. – No, mógłby mąż coś lepszego załatwić – mówiono. Ale po co miałby załatwiać, jak mogę wrócić do swojej pracy? Dla wielu było to niepojęte, zwłaszcza dla dyrekcji.

Borsewiczowie przez lata mieszkali w bardzo skromnych warunkach – w jednopokojowym mieszkaniu na Przymorzu, wszystkiego trzydzieści parę metrów. Gdy na noc rozkładali łóżka, nie można się było precyzyjnie przemieszczać. Dopiero z czasem, dzięki mamie Bogdana, która przysłała im pieniądze, przeprowadzili się do niewykończonego szeregowca bez podłóg, drzwi wewnętrznych z jedną umywalką i toaletą. Rzeczy trzymali w workach i kartonach. Cały czas trwały prace wykończeniowe, na które albo nie było pieniędzy, albo czasu – Bogdan na okrągło siedział w Warszawie: zajmował się sprawą „Olina”, był wiceministrem spraw wewnętrznych. W 2001 roku wreszcie miał więcej czasu, bo nie został posłem. Prace wykończeniowe ruszyły pełną parą. Alinie bardzo zależało na ukończeniu ogrodu. Już źle się czuła, a chciała przynajmniej raz zobaczyć, jak się zazieleni.

Ostatnie wakacje Borsewiczowie spędzili w Gorcach. Alina była taka szczupła, że nosiła ubrania córki, rozmiar 34.

To były jej ostatnie szczęśliwe chwile. Nowotwór. Zmarła 17 października 2002 roku. Jedną z jej przyjaciółek wspomina, że do końca zamartwiała się, jak rodzina sobie bez niej poradzi. Przed śmiercią zapytała syna, czy nie ma do niej pretensji, że związała się z Bogdanem.

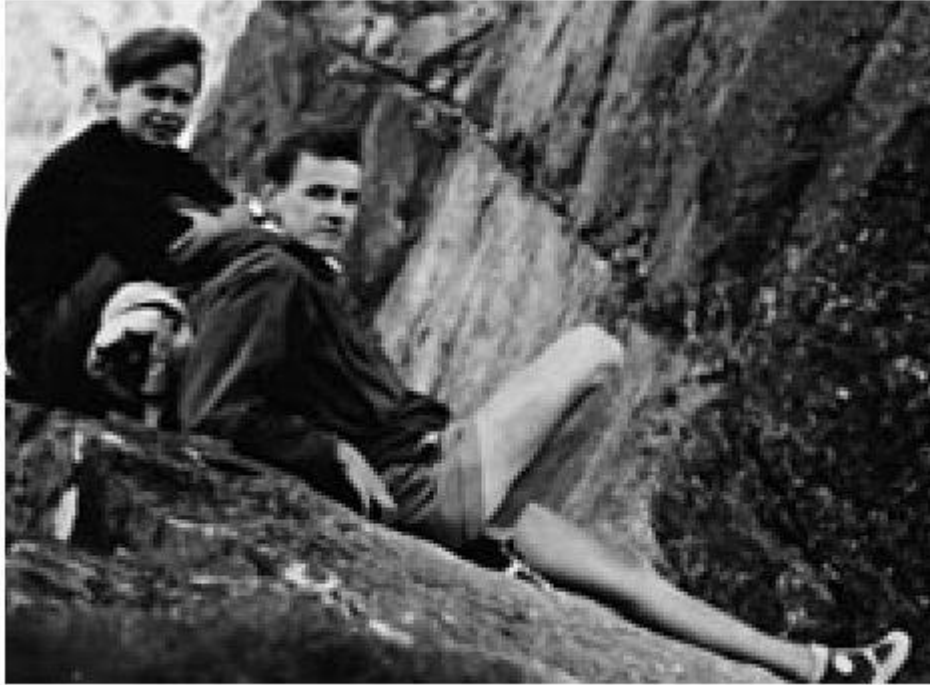
– No co ty, mamó? – odparł. – Przecież wiesz, że nie. Byłem z niego taki dumny.



Warszawianka
opowieść o Zofii Romaszewskiej



Zbigniew Romaszewski – polski polityk, działacz opozycji w okresie PRL, jedyny senator RP sprawujący nieprzerwanie urząd od czasu ponownego powołania Senatu w 1989 roku (od I do VII kadencji), od 2007 wicemarszałek Senatu VII kadencji.



Zdaniem Agnieszki Romaszewskiej-Guzy, bunt przekazywany jest w ich rodzinie jak rzadka genetyczna choroba – w linii żeńskiej, postaci męskie zaś, choć niezbędne, są do pań tylko przypisane. Dlatego też początkowo nasza bohaterka kręciła nosem na wywiad do książki. Przyznaję, że jej postać rozsadza koncepcję.

Nie tylko jest żoną słynnego byłego opozycjonisty, ale sama ma pokaźny dorobek w walce z komuną. Romaszewscy. To była – i jest do dziś – niejako „firma rodzinna”. Dziś pani Zofia, zamiast jako elegancka emerytka chodzić z przyjaciółkami na ciasteczka do Bliklego, walczy dalej. Prowadzi biuro senatorskie męża i z równą energią, jak z reżimem komunistycznym, mocuje się z patologiami III RP, komplikującymi życie obywatelom.

Duże, przedwojenne mieszkanie państwa Romaszewskich na warszawskim Powiślu jest wzorcowym przykładem, jak wygląda mieszczańsko-inteligenckie wnętrze. Dużo książek. Obrazy. Urządzone eklektycznie, ale ze smakiem. Widać, że każdy sprzęt ma tu jakąś historię. Wygląda, jakby rodzina mieszkała tu od pokoleń. Aż trudno uwierzyć, że Romaszewscy kupili je raptem dwadzieścia lat temu. Jest tu jednak mnóstwo cennych – z sentymentalnego, nie materialnego punktu widzenia – pamiątek po przodkach. To wszystko tworzy nastrój zasiedlenia i stabilizacji. Jeden przechodni pokój pełni funkcję domowego „biura” (prawdziwe biuro pana senatora znajduje się w tym samym domu na ostatnim piętrze). Stoi tu komputer, na okrągło dzwonią telefony. Akurat to czas, gdy na polecenie prezydenta Komorowskiego przeniesiono krzyż spod Pałacu Prezydenckiego do kaplicy. Trwają protesty. Jeden z obrońców krzyża, starszy mężczyzna, został przemocą zapakowany do karetki pogotowia i poddany przymusowym badaniom psychiatrycznym. Pani Zofia, choć w całej sprawie krzyża na Krakowskim Przedmieściu zachowuje zdrowy rozsądek, zaangażowała się w obronę staruszka, wychodząc ze słusznego założenia, że w wolnym, demokratycznym kraju nie można nikomu robić przymusowych badań. Bez względu na wiek i stopień niedołężności. Naszą rozmowę często więc przerywają telefony. Nie mam tego za złe, wiadomo, gorąca sprawa.

I tak płaczą się wątki: tu krzyż, a tam mrozy Syberii; tu gąszcz paragrafów, a tam strzały Powstania Warszawskiego; tu katastrofa smoleńska, a tam „zima wasza, wiosna nasza”. Polska, warszawska historia rodziny, w której współczesność pisze przewidywalny ciąg dalszy.

Zofia Romaszewska, jak sama mówi, jest „dzieckiem wojny”. To pokolenie, które zaczęło mieć normalne dzieciństwo dopiero w wieku szkolnym. Rodzice wynajmowali mieszkanie w willi przy ulicy Kleczewskiej. Do ich ogrodu dochodził Lasek Bielański. Idealne miejsce dla dziecka. Oczywiście gdyby nie wojna.

Mama Ewa z domu Prauss w pierwszych latach wojny, gdy jej córeczka była małym dzieckiem, praktycznie wyprowadziła się z domu. Zachowanie, przynajmniej, niekonwencjonalne. Oficjalnym powodem było to, że musiała zaopiekować się córką siostry, którą aresztowano i wsadzono do więzienia na Pawiaku. Zarzut był poważny – jako pracownica Miejskiego Domu Kobiety zajmowała się przerwaniem Żydów z getta na aryjską stronę. Przed nią, już w 1941 roku, aresztowano ich matkę, babcię Zofii, Praussową z domu Kulesza. Zabrali ją z listy sanacyjnych władz, była bowiem przez trzy kadencje posłanką na Sejm, później radną Warszawy. Jej mąż Ksawery, zmarły w 1925 roku na gruźlicę, był senatorem dwóch kadencji, w 1918 roku został ministrem oświaty w rządzie Jędrzeja Moraczewskiego. Też wyładowała na Pawiaku. Zmarła w hitlerowskim obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu. Pechowo w dniu, gdy wyzwalali go Sowietci.

Zofia odziedziczyła imię po babci. Babcia, inicjując emancypacyjne tradycje, jako młoda panna uciekła z domu do Petersburga, aby na kursach Biestużewskich studiować matematykę. Tam poznała Ksawerego Praussa, który już wtedy był socjalistą. Aresztowano go i osadzono w szczelnie zamkniętej twierdzy Pietropawłowskiej. Krąży w rodzinie legenda o tym, jak żona ułatwiła mu ucieczkę. Zajeżdżała na dziedziniec twierdzy pięknie ubrana, karetą zaprzęzoną w sześć koni. Przedstawiła się zastępcy naczelnika jako kuzynka carowej i poleciła wyładować dary dla więźniów. W ogólnym rozgardiaszu nikt nie zauważył, że do jednego z kufrów wskoczył Ksawery. Największy problem był w tym, żeby nie zaczął kaszleć – miał już początki gruźlicy. Potem pognali karetą w kierunku granicy fińskiej, skąd pojechali dalej, na zachód.

Tułali się po Europie, po czym osiedli w Zakopanem, gdzie otworzyli koedukacyjną szkołę, bodaj pierwszą na terenach polskich.

Obydwoje Praussowie byli działaczami PPS i bliskimi współpracownikami Józefa Piłsudskiego. Mąż jednej z ich córek komunizował i w latach 30. został zamknięty przez władze sanacyjne w więzieniu. Babcia poszła do Ziuka prosić, żeby go wypuścili, bo córka we łzach. Piłsudski odpowiedział: „Chętnie, pod warunkiem, że wyjedzie do swojej ojczyzny”. Bo jak wiadomo, ojczyzną wszystkich komunistów był Związek Radziecki. I tak się też stało. Zięć wyjechał do Kujbyszewa. Wybitny fizyk, uczeń Marii Skłodowskiej-Curie, który w jej imieniu przewiózł rad do Warszawy, pracował w komunistycznym raju... przy budowie drogi. Jego dalsze losy pozostają nieznane. Prawdopodobnie jako Polak został rozstrzelany.

Gdy jego żonę hitlerowcy zamknęli na Pawiaku, mama Zofii Romaszewskiej zajęła się ich osieroconą córką Hanką i przeprowadziła na Leszno. Jej miejsce w domu na Bielanych zajęła druga babcia, matka ojca, która przyjechała do Warszawy z Piotrkowa Trybunalskiego wraz z 13-letnią wnuczką Marysią, której rodzice zmarli tuż przed wojną.

– Moja mama niespecjalnie lubiła się z teściową – wspomina Zofia. I ten powód najpewniej zaważył na wyprowadzce Ewy. – Babcia, tradycyjna żona carskiego oficera, uważała, że mama nie nadaje się na panią domu, bo nie umie palić w piecu, gotować, prać itd. Oczywiście, mama tego nie potrafiła, bo od pokoleń takie prace u nich wykonywały służące. Poza tym była „kobietą nowoczesną”, w jej pokoju stały tak zwane ładowskie meble, ostatni krzyk przedwojennej mody.

Ilekróć Zofia Romaszewska ogląda obraz pt. *Branka* w Muzeum Narodowym, tylekróć myśli o tajemniczym dziadku po mieczu. Pochodził z polskiej rodziny szlacheckiej. Po powstaniu styczniowym jako 9-letnie dziecko został przez Rosjan odebrany matce i wcielony do Korpusu

Kadetów, była to represja za udział jego ojca w powstaniu. Do Polski wrócił dopiero po 1918 roku. Pierwszy kontakt z rodziną nawiązał po ukończeniu 25 lat, wcześniej zakazywano mu tego. Od tej pory regularnie wymieniali listy. Po wielu latach napisał – po rosyjsku, bo polskiego nie znał – że chciałby mieć żonę Polkę, mówiącą poprawnie i ładnie po polsku. Znalaziono mu taką na Kielecczyźnie, tak zwaną „starą pannę” (miała już 24 lata!), więc nie mogła wybrzydzać. Na zdjęciu ślubnym widać, jak śmiertelnie przerażona stoi obok 46-letniego, wąsatego jegomościa z marsową miną, w mundurze z epoletami. Zabrał ją do Briańska, gdzie stacjonował jego pułk. Tam urodził się ojciec Zofii. Od dzieciństwa świetnie mówił po polsku. Pułkownik Płoski zmarł w 1936 roku w Piotrkowie.

Mała Zosia wychowywała się trochę bez dozoru. Babcia Wandzia miała dwoje dzieci: Irenę i Stasia, ojca naszej bohaterki. Bardzo przeżyła przedwczesną śmierć swojej córki. Była osobą zamkniętą w sobie i nie bardzo interesowała się wnuczkami. Dziewczynkę przywiązywano długim drutem do trzepaka, jak wiejskiego kundelka. W ten sposób całe dni spędzała na świeżym powietrzu. Bawiła się w specjalnych szeleczkach, budząc tym nowoczesnym „patentem” furorę na ulicy. Zosia jednak od najmłodszych lat potrafiła odróżnić wolność od niewoli. Gdy tylko uznano, że jest dostatecznie samodzielna i wyzwolono ją z szelek, wspięła się na ogrodzenie, żeby wyjść na ulicę. Niestety, sukienka zaczepiła się o drut kolczasty i Zosia zawisała dwa metry nad ziemią. Tak bardzo bała się kary, że wisiała w milczeniu dobrą chwilę, aż wreszcie uwolnił ją rozbawiony przechodzień.

Ojciec Zosi, Stanisław Płoski, był historykiem i oficerem polskiego wywiadu wojskowego – znakomicie znał rosyjski. W czasie wojny został szefem Biura Historycznego Biura Informacji i Propagandy Komendy Głównej AK. Ukrywał się z fałszywymi dokumentami, nie było go w domu. Jego żona zaś pracowała w wywiadzie „Parasola” i do jej zadań należało śledzenie gestapowców. Gdy wybuchło powstanie, mama wzięła w nim udział wraz z oddziałem dywersji kobiet (DiSK). Tuż przed godziną „W” przybiegła do domu pożegnać się z córką.

– Zabrała mi mój mały, śliczny plecaczek, który niedawno dostałam w prezencie – wspomina pani Zofia. – Byłam z tego bardzo niezadowolona.

Mama powiedziała, że zostawia Zosię i babcię pod opieką Marysi, córki zmarłej Ireny. Ale siedemnastolatka nie zamierzała nikim się opiekować i ledwo drzwi się za ciotką zamknęły, pobiegła do Kampinosu do oddziału partyzantów.

Po upadku powstania babcię i Zosię zabrano do obozu w Pruszkowie. Zostały zamknięte w sektorze przeznaczonym dla starców i inwalidów. Zosia z przerażeniem i ciekawością przyglądała się mężczyźnie bez rąk i nóg, leżącemu obok na ziemi. Inny mężczyzna, bez nogi, robił dziewczynce ludziki z kasztanów – była jedynym dzieckiem w kilkusetosobowej grupie. Babcia z powodu stresu do reszty „odleciała”. Siedziała na swoim tłumoczku, wyciągnąwszy przed siebie spuchnięte nogi i w kółko mówiła Zosi: „Jedziemy do Piotrkowa, do Irenki”. Zosia wiedziała, kim była ciotka Irenka, jej wielka fotografia wisiała w pokoju babci, więc odpowiadała: „Babciu, ale przecież Irenka nie żyje”. Babcia wtedy strasznie się denerwowała i krzyczała na Zosię.

Nadjechał pociąg. Nie bydlęcy, ale osobowy, z całkiem wygodnymi wagonami. Przypominał dzisiejszą kolejkę podmiejską. Zosia biegała między ławkami, przyglądała się podróżnym. Wszyscy byli starzy, smutni, chorzy. Siedzieli spokojnie, rozmawiali – jak to przed podróżą. Babcia, kompletnie nieobecna duchem, usiadła naprzeciwko upiornej, starej jak świat kobiety, całej w czerni, która bezustannie strofowała ruchliwą czterolatkę. „Ja nie pojedę” – oświadczyła Zosia stanowczo. Babcia nie zareagowała. Samowolna Zosia, przyzwyczajona do tego, że zawsze robiła to, co chciała, wyskoczyła z wysokiego wagonu na ziemię. Pociąg odjechał. Została sama.

Po wojnie Stanisław szukał śladów matki. Bez skutku. Przepadła jak kamień w wodę. Można się tylko domyślać, że tych starych, nieprzydatnych dla III Rzeszy ludzi Niemcy wywieźli na stracenie – do komory gazowej w którymś z obozów koncentracyjnych.

Błąkając się Zosię spotkali przypadkiem znajomi rodziców i zajęli się nią. Na szczęście rodzicom udało się przeżyć. Ewa pod koniec powstania przepłynęła Wisłę na praską stronę i została aresztowana przez Sowieców, ale dosyć szybko ją wypuścili. Stanisław trafił do oflagu.

Pod koniec wojny mama odnalazła córkę i wróciły do domu na Bielanach. Zamieszkały na piętrze, bo parter Ewa, wykształcona w podziemiu AK-owskim, zaminowała. Chroniło to je przed bandami szabrowników i bandytów, plądrujących zburzone miasto. Na piętrze w czasie powstania mieszkali Niemcy. Zosia pamięta pięknie ubraną choinkę – niektóre zabawki z symbolem swastyki – i poczucie krzywdy, gdy mama wyrzuciła drzewko przez okno.

Po zakończeniu wojny profesor Płoski wrócił z obozu – i zaczęło się tak zwane normalne życie. W nienormalnym kraju.

Może przed więzieniem – za AK i przedwojenny wywiad – uratowała ich pepeesowska przeszłość dziadków Praussów i przedwojenne znajomości? A może fakt, że nie zaangażowali się czynnie w działalność przeciw komunistycznym władzom? Albo po prostu niewiele o nich wiadomo? Stanisław twierdził, że tylko dlatego przeżył, że jego znajoma, Janka Salcewiczowa, która wpadła w ręce bezpieki, nie zdradziła, że działał w kijowskim okręgu POW, który zajmował się wywiadem na Rosję. Zofia nigdy jednak nie poznała całej prawdy o działalności ojca, nawet gdy przeczytała jego teczkę w IPN. Dobrze był zakonspirowany. W każdym razie ani Ewa, ani Stanisław nie doświadczyli większych represji w PRL. Nawet za to, że przez jakiś czas mieszkał u nich January Grzędziński, dawny adiutant Piłsudskiego.

Przeprowadzili się na ulicę Zygmuntowską na Pragę. Zajmowali dwa pokoje z kuchnią. W jednym zainstalował się Stanisław razem z wielką biblioteką i prątkami gruźlicy, w drugim Zosia z mamą. W kuchni spała służąca. Ojciec utrzymywał dom z pracy nad bibliografią historii Polski XIX wieku. Pracował w pokoiku w Pałacu pod Blachą, gdzie zimą było lodowato, a w lecie panował nieznośny upał. Nie było to dobre dla jego płuc – miał otwartą gruźlicę, często wyjeżdżał do sanatoriów w Zakopanem i Otwocku. Założono mu odmę. Na szczęście córka nie zaraziła się od ojca. Było biednie, przysmakiem był chleb z cukrem lub z marmoladą buraczaną, sprzedawaną w blokach, na wagę.

Rodzice chronili córkę przed polityką. Nie rozmawiali z nią na ten temat. Jedynym „politycznym” zachowaniem był kategoryczny zakaz chodzenia na pochody pierwszomajowe, Dziewczynka obserwowała z okna, jak przechodzą przez most Śląsko-Dąbrowski – i bardzo zazdrościła uczestnikom.

Ponieważ krnąbrna dziewczynka nie chciała pójść do szkoły, matka intensywnie zajęła się jej wychowaniem. Postanowiła uczyć ją sama. Lekcje matematyki i polskiego odbywały się zimą, a latem – geografii, biologii i historii. Do dziś Zofia Romaszewska trzyma zeszyty z tego okresu: skrupulatnie notowały w nich obserwacje z wycieczek, szczegółowe wiadomości na temat ziół, zwierząt, obiektów historycznych, a nawet zakładów: Zosia dowiadywała się, jak działa np. cukrownia czy elektrownia. Suszyły kwiaty do zielnika, Zosia uczyła się oznaczać je za pomocą klucza Rostafińskiego. Później przyszedł czas na chemię i fizykę. Mama uczyła Zosię razem ze starszą dziewczynką, której udzielała korepetycji. W domu pojawiły się próbówki, palnik, retorty. Piłowały patelnię, żeby uzyskać opilki żelaza. Niestety, nigdzie nie można było kupić mikroskopu.

– Mama uczyła mnie wartościowania pierwiastków w ten sposób, że podskakiwałam: sól – raz, miedź – dwa razy i tak dalej... – wspomina pani Zofia.

Sytuacja skomplikowała się, gdy Ewa rzuciła pracę w „Przewodniku Bibliotekarskim”

i pod pozorem bólu kręgosłupa (była przysypana gruzem podczas powstania) położyła się do łóżka. Nie wstała już z niego aż do śmierci. Zdaniem córki nie była to zwykła choroba, ale psychiczny protest przeciwko rzeczywistości, której nie akceptowała. Socjalizm ją pokonał. Ewa paliła jak smok, po sto papierosów dziennie. Zosia budziła się rano w oparach tytoniowego dymu, jak w komorze gazowej, podtruta i półprzytomna. Do dziś, choć sama nie pali, nie przeszkadza jej dym papierosowy.

Nauczanie domowe skończyło się, gdy Zosia poszła do szkoły. Niestety, obowiązek. Od razu do piątej klasy. W klasie w praskiej szkole było wielu wyrosniętych chuliganów, „dzieci wojny”. Historyk uczył ich o niedoli chłopów pańszczyźnianego z nowego, komunistycznego podręcznika – Zosia nic z tego nie rozumiała. Zwłaszcza ze starożytności interpretowanej, a jakże, jako „walka klas”. Na szczęście na lekcjach były inne atrakcje: uczniowie rzucali w nauczyciela jajkami, a ten, wściekły, wskakiwał na pulpity ławek i biegał za nimi z paskiem. W szkole po raz pierwszy zetknęła się z tak zwanym „problemem żydowskim”.

– W naszej klasie było trzech chłopców z ortodoksyjnych rodzin żydowskich. W sobotę nie przychodzili do szkoły. Regularnie w poniedziałki wychowawca wzywał ich rodziców i wybuchała awantura. Siedziałam w ławce z Sewkiem, który był miły, ale okropnie cuchnął czosnkiem. Potem nagle wszyscy trzej zniknęli. Dowiedziałam się później, że wyjechali do Izraela z pierwszą falą emigrantów.

Zofia mile wspomina praskie dzieciństwo. Spędzała je na ogół na podwórku, z dziećmi. Wyczyniała gimnastyczne cuda na trzepaku, chodziła po krawędzi dachu sześciopiętrowej kamienicy, bawiła się w wojnę na gruzach, w piwnicach.

– Kiedyś nasz dozorca, pan Tamoń, przyszedł do mamy i powiedział, że to wstyd, żeby taka duża dziewczynka biegała z chłopakami po piwnicach. Fakt, biust mi już zaczął rosnać, ale byłam bardzo dziecinna. Oburzyłam się i oświadczyłam, że do końca życia będę wychodzić na podwórko!

Można powiedzieć, że Zosię w dużym stopniu wychowało praskie podwórko. Podwórko i harcerstwo, do którego zapisała się w szkole średniej.

– Po „odwilży” w 1956 roku miałyśmy w szkole wspaniałą drużynę. Jeździłyśmy na obozy, na których zajmowałyśmy się wiejskimi dziećmi, podczas gdy ich rodzice pracowali przy żniwach. Same stawiałyśmy namioty, robiłyśmy sienniki, budowałyśmy kuchnię, latryny. Na pewno nauczyło to nas przedsiębiorczości i dzielności – wspomina pani Zofia.

Był jeszcze krótki epizod z ZMP, w 1955 roku. Nie tyle interesowała ją sama organizacja, ile potańcówki na Mariensztacie, na które rodzice kategorycznie zabronili jej chodzić. Ojciec poddał się jednak i nawet kupił jej zieloną „organizacyjną” koszulę i czerwony krawat. Niestety matka w nocy pocięła ten strój nożyczkami i dla Zosi skończyła się kariera w ZMP.

W tym okresie poznała Zbyszka. Pani Zofia pokazuje wycinek z „Walki Młodych”. Notatka: „Powstanie Związek Młodzieży Rewolucyjnej”. Na zdjęciu nie ma Zosi, ale jest młody Zbyszek.

– Po szkole biegałam na arcyciekawe spotkania, które organizowała dla młodzieży redakcja „Po prostu”. Okazało się, że bez swojej wiedzy staliśmy się grupą eksperymentalną dla socjologów: Czapówa i Manturzewskiego. Porównywali naszą grupę, tak zwaną „porządną” młodzieży, z grupą chuliganów. Prowadzali nas do teatrów – na przykład na premierę *Czekając na Godota*, na sztuki Artura Marii Swinarskiego, wystawy taszystów, puszczały płyty z zakazaną do tej pory muzyką jazzową – i notowali nasze uwagi i reakcje. Pamiętam, że uspokajali nasze rewolucyjne nastroje – chcieliśmy działać. Manturzewski mówił: poczekajcie, jeszcze zdążycie. No i czekamy do dziś. Chyba przez te słowa, które wzięliśmy sobie do serca, nie wstąpiliśmy wtedy do ZMS czy partii.

Zosia zaprzyjaźniła się ze Zbyszkiem. Godzinami chodzili po moście nad Wisłą i rozmawiali. Były to, rzecz jasna, poważne dyskusje o życiu i polityce.

Zdała maturę i poszła na studia, co w jej domu było oczywiste. Choć interesowała ją socjologia, uległa presji rodziców, którzy uważali, że w niespokojnych czasach nauki ściśle są najbezpieczniejsze, i wybrała fizykę, choć wydawała jej się trudna i beznadziejnie nudna. Zbyszek też studiował fizykę, choć zdaniem Zofii nie wpłynęło to na jej decyzję.

Z Powstania Warszawskiego rodzina Romaszewskich wyszła okaleczona. Ojca Zbyszka zamordowano w obozie w Oranienburgu. Matce i czteroletniemu Zbyszkowi udało się wrócić do Warszawy z niemieckiego obozu koncentracyjnego Gross-Rosen. W stolicy spotkali siostrę matki, cudem ocalałą z obozu Ravensbrück, gdzie zmarła ich matka. Siostry zamieszkały razem i wspólnie wychowywały Zbyszka.

– Było ubogo, ale na niczym nie zbywało – wspomina Zbigniew Romaszewski. – Mama pracowała w Narodowym Banku Polskim, do 1956 roku w dziale korespondencji stemplowała koperty bez możliwości awansu. Ciotka prowadziła dom. Nauczyły mnie, że zawsze, bez względu na konsekwencje, należy żyć zgodnie ze swoim sumieniem.

– Zbyszek tak po prostu został przy mnie – uśmiecha się pani Zofia. – W trakcie naszej znajomości miałam innego ukochanego, który mnie porzucił. Zbyszek zapełnił to miejsce. I był tak wytrwały, że zaprowadził mnie do Urzędu Stanu Cywilnego. Byłam jedyną mężatką na pierwszym roku studiów. Ale wtedy nie do pomyślenia było, żeby młodzi ludzie żyli na kocią łapę. Mama namawiała mnie do małżeństwa. Była zdania, że jeśli szybko nie wyjdę za mąż, to zejść na „złą drogę”...

Zamieszkali wspólnie z rodzicami Zofii. Półtora roku później pojawiło się dziecko – Agnieszka. Pod żadnym pozorem nie mogło mieszkać pod jednym dachem z prątkującym dziadkiem. Załatwienie mieszkania w Warszawie jednak w tamtych latach graniczyło z cudem. Dziadek Płoski nie chciał iść po pomoc do swojego kolegi historyka Henryka Jabłońskiego. Pomogła jednak ciotka, starsza siostra Ewy, która wybrała się w tej sprawie do Jabłońskiego, przewodniczącego Rady Państwa. I tak dzięki ciotce udało się zamienić duże, dwupokojowe mieszkanie na dwa bardzo małe, po sąsiedzku, w samym centrum, na Hożej. W jednym zamieszkali rodzice, w drugim – młode małżeństwo.

To był spokojny i szczęśliwy okres. Zofia zajmowała się Agnieszką, uważała bowiem, że małe dziecko nie nadaje się do zespołowego życia w żłobku czy przedszkolu. Zbyszek skończył studia, broniąc pracę magisterską pt. *Produkcja hiperfragmentów mezonowych w oddziaływaniu szybkich mezonów K*. Dostał pracę w Instytucie Fizyki Polskiej Akademii Nauk i zaczął przygotowywać się do doktoratu. Zarabiał grosze, ale dorabiali sobie korepetycjami.

Wkrótce w mieszkanku na Hożej zaczęli zbierać się przyjaciele Romaszewskich, młoda inteligencja. Przeważali fizycy. Może dlatego, że ludzie, którzy nauczyli się myśleć w sposób uporządkowany, logiczny i ścisły, lepiej niż inni dostrzegali absurdu systemu. Mieli też większy pęd do poznania prawdy. Rozmawiali o polityce, o otaczającej rzeczywistości, komentowali bieżące wydarzenia. Czasem Romaszewscy zapraszali jakąś wybitną postać – prof. Marię Ossowską, prof. Lipińskiego.

– Nie zgodziliśmy się na system peerelowski – mówi pani Zofia. – Wiedzieliśmy, że to jedno wielkie kłamstwo. Wybraliśmy spotkania i dyskusje jako rodzaj emigracji wewnętrznej. Nikomu nie wydawało się realne, że ZSRR przestanie istnieć i tym samym upadnie system. Nie byłam na *Dziadach* Dejmka. Nic nie mieliśmy wspólnego z grupą „komandosów”, byliśmy trochę starsi od nich. Mnie nigdy nie podobała się idea „czerwonego harcerstwa”. I to nie tylko dlatego, że nosili czerwone chusty, mieli koedukacyjne drużyny i palili papierosy. Byli za bardzo socjalistyczni, ogólnie mówiąc. Ja i Zbyszek byliśmy z innej bajki.

Potem był słynny marzec 1968 roku. Zosia popędziła na wiec studentów na Uniwersytecie Warszawskim. (Zbyszka nie było w Polsce, wyjechał na roczny staż do Moskwy. Rosjanie mieli nieograniczone możliwości – dla potrzeb eksperymentu skłonni byli nawet uruchomić całą elektrownię).

– Moja koleżanka miała klucz do ogródka prof. Leszczyńskiego, geologa i geografa, tuż po lewej stronie nad ogłoszeniami. Po wiecu, gdy zaczęło się robić gorąco i weszło ZOMO, uciekłyśmy do tego ogródka. Był to znakomity punkt obserwacyjny. Szkoda, że nie miałam aparatu fotograficznego! Wszystko było widać jak na dłoni: jak weszli czwórkami i potem się rozsypali, tłukli studentów. Było bardzo ostro – wspomina.

Poznała Adama Michnika we własnym domu, gdy przyszedł w odwiedziny do Januarego Grzędzińskiego.

– Zdziwiłam się trochę jego wyglądem: słodki, niewinny aniołek z kręconymi loczkami. A tu taki straszny opozycjonista! Zaprosiłam go na obiad. On nawet tej biblioteki dokładnie nie obejrzał, tylko pogadaliśmy chwilę. Uznał chyba jednak, że nie jesteśmy przesadnie interesujący, bo szybko zebrał się do wyjścia. Na do widzenia zrobił rzecz, która mnie trochę zdziwiła: poprosił, żebyśmy pożyczyli mu pieniądze na taksówkę. A pierwszy raz w życiu widział nas na oczy. Do dziś nie oddał. Potraktowaliśmy to jednak jako nasz wkład w opozycję – śmieje się pani Zofia.

Zbigniew wrócił z Rosji bez doktoratu (w międzyczasie Amerykanie opublikowali... wyniki jego badań), ale z doszlifowanym rosyjskim, z nowymi przyjaciółmi – np. z Andriejem Sacharowem, oraz z całą torbą nagrań rosyjskich bardów: Wysockiego, Okudźawy i Galicza. Zmienił temat pracy doktorskiej, zajął się półprzewodnikami. Planował, że obroni się w 1977 roku. Ale przeszkodziły mu sprawy ważniejsze od kariery naukowej.

W styczniu 1976 roku obydwójce podpisali się pod słynnym protestem w sprawie zmiany Konstytucji – chodziło o projekt dopisania w niej przyjaźni z ZSRR. Okazało się, że ten rok był ważny dla rodziny Romaszewskich. Po pierwsze, zamienili mieszkanie na większe, na Ochocie. Po drugie – w czerwcu władze krwawo spacyfikowały protesty robotników w Ursusie i Radomiu.

– Przyszedł do nas Henio Wujec, nasz kolega ze studiów, i zapytał, czy chcemy coś robić – wspomina Romaszewska. – Chcemy, ale co? – spytałśmy. Dowiedzieliśmy się, że trzeba jeździć do Radomia do rodzin represjonowanych robotników, zbierać relacje i rozwozić pomoc.

O ile do Ursusa często jeżdżą ludzie, bo niedaleko, o tyle o Radomiu niewiele wiadomo. W sierpniu był tam Wojciech Ziemiński i Boguś Studziński. Mirek Chojecki. Zgodziliśmy się, więc odwiedził nas Mirek, żeby wtajemniczyć w szczegóły. Nie najlepsze wrażenie na mnie zrobił, był to tak zwany ładny chłopiec i wielki podrywacz. Miał na sobie czarny płaszcz, długi, biały szalik i czarny kapelusz. Młodopolska bohema. Mirek szybko wpadł, badając śmierć jednego z robotników w Radomiu. Został wtedy ze względów bezpieczeństwa dołączony do jawnej grupy członków KOR, a Zbyszek i ja przejęliśmy pomoc represjonowanym robotnikom radomskim, bo w tym czasie bezpieka o nas jeszcze nic nie wiedziała.

No i zaczęli jeździć do Radomia, przywożąc razem z dobrą nowiną pieniądze, pomoc prawną, a nawet ubrania (woziła je dziennikarka Janina Jankowska). Od robotników dowiadywali się kolejnych nazwisk rodzin osób represjonowanych. 2-3 razy w tygodniu po pracy Zbyszek wsiadał w pociąg lub łapał „okazję”. Odwiedzał aresztowanych, nawiązywał nowe kontakty. Wracał późną nocą lub nad ranem. „Zwykle w okolicach Janek zasypiałem, tak byłem zmęczony” – wspomina. Po powrocie Zosia, która na niego czekała z kolacją, zapisywała wszystkie ważne informacje. W ten sposób stała się kronikarką tamtych wydarzeń. Od 1977 roku zaczęła prowadzić Biuro Interwencji KOR, rejestrujące przypadki łamania praw człowieka i organizujące pomoc pokrzywdzonym.

Dość długo udało im się zachować anonimowość. Służby specjalne namierzyły Romaszewskiego dopiero na wiosnę po powstaniu KOR.

– KOR pokazał nam, że wszyscy jesteśmy takimi samymi ludźmi i powinniśmy się nawzajem szanować bez względu na pochodzenie, wykształcenie czy poziom zamożności. Zrozumieliśmy, że każdy od każdego może się wiele nauczyć, wspólnie stanowimy naród polski i nikt nikogo z tego narodu nie może wykluczyć, zepchnąć na margines – mówi pani Zofia. – KOR to przede wszystkim dzieło Antosia Macierewicza i Jacka Kuronia. Natomiast Adam Michnik zjednał dla KOR mnóstwo ważnych, znaczących ludzi, zachodnich intelektualistów. To jednocześnie zadziwiające i bardzo smutne, że wszystkie podziały w Polsce po 1989 roku powstały w rezultacie działań Michnika i „Gazety Wyborczej”. To są szkody nie do opisania. To nawet w pewnym sensie zabawne, że „Gazeta Wyborcza” określa dziś Jarosława Kaczyńskiego tymi samymi epitetami, jakimi gazety stanu wojennego określały Michnika: też był „chorym z nienawiści” i „nieszczęściem dla Polski”...

Romaszewscy po 1976 roku nie mogli wyjechać za granicę. Byli na „czarnej liście”. Władze nie chciały im dać nawet tzw. wkładki do dowodu, na którą można było wyjechać na Słowację lub do NRD. Odkryli Tarasówkę, wioskę w okolicach Zakopanego, i tak im się tam spodobało, że wyjeżdżali do niej co roku na wakacje. Dziko, cicho i dla warszawiaków trochę egzotycznie: gdy pojechali tam po raz pierwszy, w chacie nie było prądu.

Dzięki wzajemnemu zaufaniu, miłości, a także zdrowemu rozsądkowi cechującemu fizyków, udało im się ominąć wiele raf, które bezpieka stawiała na drodze opozycyjnych małżeństw. Były to często jakieś podstawiane panienki – wiadomo, na wyjazdach samotny mężczyzna się nudzi – anonimy, plotki, donosy. Nie wszystkie związki to przetrwały, ale Romaszewskim się udało. Tylko raz Zofia dostała anonim od niejakiej Inki z Radomia, która informowała ją, że Zbyszek tylko udaje, że jeździ do robotników, a tak naprawdę spędza noce z nią. Ze względu na kuriozalny język, anonim odczytany został publicznie na jednym ze spotkań towarzyskich, wywołując salwy śmiechu. Niestety był to także dowód na to, że służby doskonale wiedzą, co robią Romaszewscy.

– Nasze wspólne pasje? – zastanawia się pani Zofia. – Góry, obydwoje lubimy chodzić. Książki. No i oczywiście polityka i działalność publiczna.

Zawsze jednak na pierwszym planie stawiała dom. Dbała o to, żeby wszystko w nim funkcjonowało normalnie, żeby były regularne posiłki, a domownicy w szafach znajdowali czystą odzież. Nie do końca udawało się zachować pozory normalności. W szkole Agnieszki wszyscy wiedzieli, że jej rodzice są opozycjonistami i „występują” w Radiu Wolna Europa.

Pod koniec lat 70., gdy Agnieszka przygotowywała się do matury, zaczęły się problemy ze szkołą. Dzieci opozycjonistów z reguły nie dostawały się na studia, a Agnieszka marzyła o historii. Jediną drogą było wygranie olimpiady historycznej na szczeblu krajowym – to uprawniało do otrzymania indeksu bez egzaminów wstępnych. Wystartowała więc w olimpiadzie już w trzeciej klasie, na rok przed maturą, ale okazało się, że nie jest w stanie przejść nawet przez poziom szkolny – choć doskonale się uczyła i miała o wiele większą wiedzę, niż wymagał tego program. Nauczyciel historii wiedział, czym zajmują się rodzice, a może wyjątkowo jej nie lubił, nie miała też wsparcia w dyrektorze, która była członkiem komitetu dzielnicowego PZPR. W następnym roku koledzy z opozycji postarali się, żeby do szkoły Agnieszki podczas eliminacji na olimpiadę historyczną zawitała nieuprzedzona o „fatalnym” pochodzeniu Romaszewskiej wizytacja.

W rezultacie Agnieszka zajęła pierwsze miejsce na szczeblu ogólnopolskim. Na świadectwie maturalnym pod naciskiem rady pedagogicznej nieszczęsny nauczyciel historii został zmuszony do postawienia piątki, mimo że do końca usiłował protestować, twierdząc, że

Agnieszka po eliminacjach olimpijskich odmówiła przychodzenia na jego lekcje.

W październiku 1980 roku bez przeszkód zaczęła studia. Jak sama twierdzi, nie studiowała w PRL... od razu zapisała się do nowo powstałego Niezależnego Zrzeszenia Studentów i przez rok była przewodniczącą samorządu studenckiego na Wydziale Historii UW. Starszy od niej Jarosław Guzy był członkiem Komisji Uczelnianej NZS UJ, a od 1981 roku Ogólnopolskiego Komitetu Założycielskiego. W kwietniu 1981 roku na I Ogólnopolskim Zjeździe NZS w Krakowie wybrany został przewodniczącym Krajowej Komisji koordynacyjnej NZS. Wkrótce stali się nierozłączną parą.

Na przełomie lat 1979 i 1980 Zbigniew Romaszewski organizował Komisję Helsińską, niezależną organizację obywatelską nadzorującą wprowadzanie w życie postanowień KBWE. Pod jego redakcją Komisja opublikowała Raport Madrycki, kompleksowo omawiający stan przestrzegania praw człowieka w PRL, na podstawie konkretnych, zarejestrowanych przez Biuro Interwencji, przypadków łamania prawa. Gdyby nie to, że właśnie kończyła opracowanie tego raportu, Zofia na pewno pojechałaby w sierpniu do Stoczni Gdańskiej.

W „karnawale” okazało się, jak dobrze zrobili, zamieniając mieszkanie na większe. Ciągłe ktoś u nich bywał, odbywały się wieczorne „spędy”, na których omawiano bieżącą sytuację, planowano kolejne działania. Ale i bawiono się wesoło. Zbyszek puszczał swoje unikatowe rosyjskie nagrania, ktoś przynosił gitarę. Karnawał jednak kiedyś się kończy i następuje post.

Nocą z 12 na 13 grudnia 1981 roku Zbigniew wracał z Gdańska z posiedzenia Komisji Krajowej NSZZ Solidarność, na której był delegatem. 16 grudnia miała odbyć się w Warszawie wielka manifestacja, którą organizował. Okazało się, że był jednym z nielicznych, którym udało się uniknąć aresztowania. Domyślał się, że władze coś knują. Informacje o tym, co prawda mgliste, kolportował na zjeździe Aleksander Hall, któremu takie informacje przekazał major Adam Hodysz, oficer SB, który współpracował z opozycją. Romaszewski wracał do Warszawy nocnym pociągiem. Przezornie wsiadł w Gdyni. Okazało się, że dobrze zrobił, bo wszystkich podejrzanych pasażerów na gdańskim dworcu zatrzymała milicja. W pociągu spotkał adwokatów Jana Olszewskiego i Władysława Siła-Nowickiego. Podejrzewali, że warszawski Dworzec Centralny też jest obstawiony. Gdy pociąg zwolnił na Pradze, w okolicach Szmulek, Romaszewski, namówiony przez Siła-Nowickiego, jak James Bond w filmie akcji, wyskoczył w zaspę.

Zofia spędziła ten wieczór na imieninach u koleżanki Oli. Gdy wracała do domu o 23.45, zauważyła dziwny samochód z antenami, odjeżdżający spod klatki. Pomyślała: „Chyba mam już początki manii prześladowczej, wszędzie widzę bezpiekę...”. W mieszkaniu paliło się światło, ale nikogo nie było. Zaniepokoiła się – Jarek Guzy, który mieszkał z nimi, był chory, miał zapalenie płuc. Może tak mu się pogorszyło, że Agnieszka musiała zawieźć go do szpitala? Ale w pokoju Agnieszki, gdzie zwykle panował potężny rozgardiasz, zastała porządek. Zniknęły papiery (ulotki, dokumenty NZS), nie było też w pokoju Romaszewskich sterty numerów „Tygodnika Solidarność” i komunikatów KOR-owskich. Domyśliła się, że była rewizja. Podniosła słuchawkę telefonu – cisza. Więc nie zważając na późną porę, ruszyła w Warszawę szukać informacji. Później okazało się, że zaraz po wyjściu Zofii z imienin do mieszkania Oli wpadła bezpieka i aresztowała gospodarzy.

Agnieszkę i Jarosława Guzega zabrano z domu Romaszewskich tuż przed 24.00. Jarek czuł się fatalnie, miał gorączkę, nie chciał wstać z łóżka. Zagrozili, że jeśli tego nie zrobi, to na jego oczach pobiją Agnieszkę. Wybuchła awantura. Pełna temperamentu Agnieszka stanęła w obronie narzeczonego. Jeden z esbeków uderzył ją w głowę. Gdy po jakimś czasie pojawił się w ośrodku internowania w Gołdapi, kobiety skandowały na jego widok: „Damski bokser!”.

Agnieszka trafiła do więzienia na Olszynie Grochowskiej, potem do Gołdapi i w końcu do obozu dla internowanych kobiet w DarłóWKu. Na „dołku”(komisariacie) na Ochocie trzymali ją trzy doby, dłużej o 24 godziny, niż to przewidziane w prawie, bo mieli nadzieję, że podpisze „lojalkę” (oświadczenie, że będzie przestrzegać praw stanu wojennego). Obiecywali, że po podpisaniu wypuszczą ją na wolność – miała dopiero 19 lat, była jedną z najmłodszych internowanych kobiet, nie chcieli, by świat dowiedział się, że aresztują tak młode panny. Ale napotkali tak stanowczy opór (wiadomo, geny.), że nie mieli wyjścia. Agnieszka została internowana. Siedziała pięć miesięcy.

– Na spacerniaku śpiewaliśmy do siebie przez mur marcowe kuplety, których znajomość Agnieszka wyniosła z domu. Pewnego razu zanuciłam: „Twarz ma aryjską, cały napletek...”. „Cały co?” – nie dosłyszała Agnieszka. I już dośpiewaliśmy resztę: „...nie trzeba sięgać do spodni / ten ci jest Moczar, ten ci jest Mietek/ ten jest skurwysyn przewodni”. Strażnik na wieżycze o mało nie spadł ze śmiechu – wspomina Ludwika Wujec, która Agnieszkę zna od dzieciństwa. Wiosną 1982 roku Agnieszka i Jarosław wzięli ślub, na który musieli otrzymać przepustki z internowania.

Zofia i Zbigniew odnaleźli się bardzo szybko. Byli przezorni, nie mieli zaufania do Wałęsy i spodziewali się jakiegoś „tąpnięcia”. Już wcześniej zorganizowali sobie tajny lokal. Najgorsza była niepewność, co z Agnieszką. Zofia nie histeryzowała, nie obawiała się najgorszego. Zachowała stoicki spokój. Zdawała sobie sprawę, że nic poważnego nie grozi internowanym, że wcześniej czy później zaczną ich wypuszczać.

– Spotykaliśmy się ze Zbyszkim Bujakiem, Wiktorem Kulerskim i wymienialiśmy koncepcje, co robić dalej – wspomina Zofia. – My uważaliśmy, że trzeba nawiązać kontakt z ludźmi, zebrać ich, pokazać, że jesteśmy razem i działamy – mieliby wtedy więcej energii na opór. Oni z kolei uważali, że trzeba tworzyć społeczeństwo podziemne, jak w czasach okupacji hitlerowskiej, co w warunkach stanu wojennego było nierealne.

Podziemne radio – to był przypadek. Kolega miał nadajnik, więc zdecydowali, że trzeba to wykorzystać. Przedtem rozprawdzili w mieście ulotki z dokładną datą i godziną transmisji – 12 kwietnia 1982 roku. W pierwszej audycji spikerami byli Zofia Romaszewska i Janusz Klekowski, który ukrywał się razem z nimi. Wykorzystali piosenkę, którą śpiewał Janek Kelus, pt. *Ostatnia szychta na KWKPiast*, przedtem oczywiście pytając go o zgodę. W rezultacie, dla artysty skończyło się to internowaniem na Białołęce. Audycja została nadana z mieszkania na rogu ulic Niemcewicza i Grójeckiej. Dziś jest tam pamiątkowa tablica.

Byli doskonale zakonspirowani, nawet córka o niczym nie wiedziała. Osłupiała, gdy usłyszała z radia u koleżanki głos mamy: „Tu Radio Solidarność...”

– Pierwszej audycji nie podpisaliśmy. Poprosiliśmy tylko słuchaczy, żeby migali światłami w mieszkaniach, jeśli ją słyszeli. To było wzruszające, bo prawie cała Warszawa migiała!

Drugą audycję już firmowali własnymi nazwiskami, żeby esbecy nie mogli robić konkurencyjnych programów. Uzgodnili, że podpisze się Zbigniew. Zaplanowali emisję na 30 kwietnia. W ostatniej chwili montowali wypowiedź Bujaka. Skleili taśmę niefachowo, przecież debiutowali jako „radiowcy”.

– W chwili nadawania wyszłam na balkon. Mieszkaliśmy na czwartym piętrze, miałam dobry widok. Nad Warszawą latały helikoptery, usiłując nas namierzyć. Miasto było niebieskie od samochodów milicyjnych. W chwili gdy Bujak miał mówić, taśma się rozkleiła i wszystko ucichło. Ludzie myśleli, że to sprawa służb specjalnych. Niektórzy dostali szalu i rzucali z okien doniczkami w milicjantów. Byli przekonani, że nas złapano, bo audycja została tak nagle przerwana.

Bezpieka szalała. Do wykrycia emiterów zaangażowano najlepsze siły. Romaszewscy ukrywali się. Rzadko wychodzili z mieszkania, nie jeździli komunikacją miejską z obawy przed rozpoznaniem. Zbigniew – jeśli musiał – paradował po mieście w dwustronnym, „kospiracyjnym” płaszczu i przedziwnej, ryżawej peruce, którą zrobili mu znajomi w perukarni Opery Narodowej. Wyglądał w niej tak nienaturalnie, że ściągał wzrok przechodniów. Gdy na ruchliwej Puławskiej pęd przejeżdżającego TIR-a zerwał mu ją z głowy, przechodnie zauważyli, że pod spodem ma swoje własne, ciemne włosy. Czarno na białym było widać, że facet się ukrywa. Zrezygnował więc z przebrania.

W czerwcu 1982 roku zatrzymano jednego z nadających, który nie wytrzymał i zdradził na przesłuchaniu adresy mieszkań, których używali do emisji. Wśród nich był adres brata Zbyszka Kobylińskiego, właściciela mieszkania w alei Stanów Zjednoczonych (jego brat przebywał wtedy za granicą), w którym Zofia i Zbigniew postanowili 5 lipca uczcić z przyjaciółmi rocznicę ślubu.

– Bezpieka pod pozorem naprawy kaloryferów zaczęła się w mieszkaniu wskazanym na przesłuchaniu i kiedy przyszedł otworzyć drzwi Zbyszek Kobyliński, udali się z nim pod adres jego zameldowania, czyli w aleję St. Zjednoczonych. Gdy wchodzili do mieszkania, Kobyliński zdążył szepnąć Zbyszkowi, że na dole jest pusto. Mąż powiedział, że musi iść po dowód osobisty do kurtki wiszącej w przedpokoju – i uciekł. Agenci rzucili się za nim, ale Romaszewski wykonał sprint życia – i zwiął bezpiece.

Aresztowano wtedy wszystkich obecnych, w tym Joannę Szczęsną i Zofię Romaszewską. Jedna z zatrzymanych tak zeznała podczas przesłuchania: „Romaszewska leżała na kanapie, uspokajała. Powiedziała, że chce zjeść kalendarzyk. Joanna Szczęsna dała mi wtedy do zjedzenia jakiś papier. Sama też jadła, bez popijania, a mnie przyniosła szklankę wody”.

– Byłam w gruncie rzeczy zadowolona – wspomina pani Zofia – bo śmiertelnie zmęczyło mnie już to półroczne ukrywanie się.

Oficer, który zajmował się Zofią w Pałacu Mostowskich, był kompletnie pijany. Pokazał jej kaptcie Zbyszka, które ten zgubił na schodach, i oświadczył, że „nie wypada tak uciekać”. Klawiszka prowadząca ją do celi była zdziwiona, że Zofia jest zadowolona i uśmiechnięta.

– A ja czułam, że wreszcie jestem na swoim miejscu – uśmiecha się pani Zofia, wspominając ten moment.

Sylwestra 1982 roku Zofia spędziła na Rakowieckiej. I dostała wspaniały noworoczny prezent – usłyszała najnowszą audycję Radia Solidarność! Głośniki były ustawione na pobliskim domu i w celi znakomicie było audycję słycać.

Podczas przesłuchań straszono ją, że „wyrok będzie dwucyfrowy”. Wierzyła w to. Skoro Ewę Kubasiewicz za rozpowszechnianie ulotki skazano na 10 lat, to ona mogła liczyć na dłuższą odsiadkę. Ubek, który ją codziennie przesłuchiwał, krzyczał na nią w poniedziałki, wtorki i środy, ale potem męczyło go to i dawał jej spokój. Bywały dni, kiedy w ciszy obydwójce czytali kolorowe czasopisma – w areszcie kolportowano tylko „Trybunę Ludu”. W sumie było to jednak potwornie stresujące – z powodu stałego napięcia psychicznego rozwinęło się na dłoniach Zofii bielactwo. Taka „wieczna pamiątka” po stanie wojennym.

Przesłuchania odbywały się zwykle w następującej formule:

Esbek: – Pani dzisiaj będzie zeznawać.

Zofia: – Będę.

– To niech pani coś powie.

– To proszę sporządzić protokół i zadać pytanie. (Przerwa na spisanie protokołu: imię, nazwisko i inne dane).

– No to jak, będzie pani zeznawać?

– Tak, będę. – Tu padało pierwsze konkretne pytanie.

Zofia: – Niestety, nie mogę na nie odpowiedzieć.

Zadawano kolejne pytania, sytuacja się powtarzała.

Esbek: – To znaczy, że pani odmawia odpowiedzi.

Zofia: – Jak to, odmawiam? Nie odmawiam. Ale na te pytania po prostu nie odpowiem.

– A kiedy pani odpowie?

– Kiedy będzie ze mną adwokat.

– Tak? To my pani załatwimy adwokata.

– Nie, to musi być adwokat, którego sama wybiorę.

– Czy pani sobie wyobraża, że jest w Anglii?!

Prowadzili też rozmowy na tematy niezwiązane z opozycją. Pytała: Dlaczego w więzieniu dają nam takie wstrętne zupy i nieobrane kartofle? Przecież siedzi tu beczynnynie tyle kobiet, które ucieszyłyby się, że mogą coś zrobić w kuchni.

– Coś pani nie smakowało? – pytał esbek.

– Tak, zupa – odpowiadała.

– I co pani z nią zrobiła?

– Wylałam do kibla.

– Oj, to ja napiszę skargę do naczelnika, że pani marnuje jedzenie i będzie kara!

Była z tak zwanego „korowskiego chowu”. Uważała, że przesłuchujący też są ludźmi.

Zdarzało się, że brało ich na zwierzenia. Opowiadali o żonach, dzieciach, pochodzeniu – zwykle przyjeżdżali do Warszawy ze wsi i małych miast, praca w służbach specjalnych była dla nich jedyną szansą na awans społeczny: mieszkanie w stolicy i niezłe zarobki.

– Czy pani wie, jak trudna jest praca w SB? Jak my szybko umieramy? Niech pani zobaczy, ile naszych nekrologów jest w „Trybunie”! – wzruszał się esbek.

Tak to trwało sześć tygodni. Dali jej spokój, gdy pod koniec sierpnia złapali Zbyszka. Wpadł przez prowokację. Agent, Sławomir Miastowski, działający w strukturach podziemnych, poinformował SB o spotkaniu Międzyzakładowego Robotniczego Komitetu Solidarności, na które wybierał się Romaszewski. Prasa reżimowa zrobiła wokół tego aresztowania mnóstwo huku. *Zbigniew Romaszewski zarówno w okresie swojej działalności w KSS KOR, a następnie NSZZ Solidarność reprezentował skrajnie awanturniczy nurt – czytała Zofia w „Trybunie Ludu”.*

Panowie, czy na tę krwawą rzeź, którą chcieliście zgotować, zgadza się klasa robotnicza? Szczęście, że z grona krwawych sępów ubył ten najbardziej zaciekły – Zbigniew Romaszewski – pisał dziennikarz „Żołnierza Wolności”. Zarzuty miał podobne, jak „czwórka korowska” i „siódemka z Komisji Krajowej” – działania zmierzające do obalenia siłą ustroju PRL.

W więzieniu, jak twierdzi, miał się całkiem dobrze. Ponieważ szykowano im pokazowy proces, nie chciano, aby zmizernieli za bardzo.

Dostał 4,5 roku więzienia. Zofia – 3 lata.

Siedziała ponad rok, głównie na Rakowieckiej. Dopiero pod koniec przewieziono ją do innych więzionych kobiet, do Fordonu. Na Rakowieckiej była w celi dwuosobowej, zawsze z kryminalistką: paserką, prostytutką, defraudantką. Najbardziej dokuczała jej nuda – rozmowy nieciekawe, książek złośliwie nie dawali do czytania.

Wyszła na wolność na mocy amnestii w lipcu 1983 roku. Zbyszek rok i miesiąc po niej, w sierpniu 1984 roku.

Po wyjściu Zbyszka na wolność Zofia ogarnęła sytuację: nie mieli pracy, skończyły się pieniądze na pomoc pokrzywdzonym. A były bardzo potrzebne. Pod koniec stanu wojennego nie sadzano do więzień, lecz zasądzano wysokie grzywny – w wysokości miesięcznych pensji. Opozycjoniści zwykle nie mieli pieniędzy. Wpadli więc na następujący pomysł: ponieważ

koledzy fizycy załatwili Zbyszkowi zaproszenie do USA od noblisty w dziedzinie półprzewodników, a Romaszewski nie dostał paszportu, to zamiast niego pojedzie... Zosia. Ona jakimś cudem paszport otrzymała. Udało jej się wtedy zebrać na owe czasy zawrotną sumę – w dużej mierze od Barbary Piaseckiej-Johnson, która wydatnie pomagała polskiej opozycji. I można było już rozkręcić działalność Komisji Interwencji i Praworządności NSZZ „S”.

Ostatnią audycję Radio Solidarność nadało tuż po Okrągłym Stole. Zbigniew wziął udział w obradach „podstolika” Okrągłego Stołu ds. wymiaru sprawiedliwości pod przewodnictwem Adama Strzembosza, gdzie powołano go jako eksperta, korzystając z jego doświadczenia i wiedzy. W pierwszych wolnych wyborach kandydował do Senatu z listy Komitetu Obywatelskiego Solidarności i 4 czerwca 1989 roku otrzymał mandat. Jest jedynym senatorem, który nieprzerwanie sprawuje ten urząd przez kolejne siedem kadencji, kolejno z list Komitetu Obywatelskiego, jako kandydat niezależny, z NSZZ Solidarność, Ruchu Odbudowy Polski, Bloku Senat 2001 oraz od 2005 z Prawa i Sprawiedliwości. Sam do PiS jednak nie należy. Pani Zofia w latach 1989-1994 była dyrektorem Biura Interwencji Kancelarii Senatu, w latach 1991-1993 piastowała godność sędzi Trybunału Stanu. W 2006 roku przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego odznaczona została Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski. W czerwcu 2007 roku prezydent powołał ją na Kanclerza Kapituły Orderu Odrodzenia Polski – z funkcji zrezygnowała 28 września 2010 roku na znak protestu przeciwko polityce odnaczeniowej nowo wybranego prezydenta Bronisława Komorowskiego.

– Podkreślam rzecz zasadniczą – nie chodzi o poglądy polityczne, ale o wartości moralne. O to, czy kluczową kategorią działania ma być tak zwana polityczna skuteczność, czy przyzwoitość. Przedkładanie pierwszej nad drugą jest nie do przyjęcia. Order Odrodzenia Polski powinien promować nadzwyczajne, obywatelskie postawy, ludzie nim odznaczeni powinni być przykładem. Jeśli nie są, albo przeciwnie – są ludźmi, z których wręcz nie należy brać przykładu, to jest źle – tłumaczyła swoją decyzję w Salonie Politycznym „Trójki”. Media zaatakowały ją za tę decyzję. Tak skomentował to Robert Mazurek, dziennikarz „Rzeczpospolitej”: No właśnie, kiedy na początku kadencji Kaczyńskiego z zasiadania w jednej z kapituł zrezygnowała prof. Skarga, gest ten spotkał się z wyrazami uznania. Gest Romaszewskiej też się spotkał z wyrazami. Najbardziej oddana prezydentowi gazeta („Gazeta Wyborcza” – dop. A.R) informację o tym zatytułowała Żona senatora PiS nie chce współpracować z Komorowskim. Nie jest więc Zofia Romaszewska legendą opozycji, założycielką Biura Interwencji KOR, a potem „Solidarności”, nie jest twórczynią podziemnego Radia Solidarność, więźniem stanu wojennego. Jest pozbawioną imienia żoną senatora, anonimem zasiadającym w kapitule po znajomości.

W 2010 roku klub parlamentarny PiS przedstawił ją jako kandydatkę na urząd Rzecznika Praw Obywatelskich. Zaciekle jej kandydaturę zaatakowała Platforma Obywatelska i mainstreamowe media. „Wycofajcie tę kandydaturę!”, „To kompromitacja!” – krzyczały nagłówki „Gazety Wyborczej”. Powodem był wywiad, przeprowadzony z Zofią Romaszewską przez Dominikę Wielowieyską, w którym Zofia Romaszewska wyraziła się krytycznie o demonstracjach homoseksualistów w Warszawie.

No i rzecznikiem nie została.

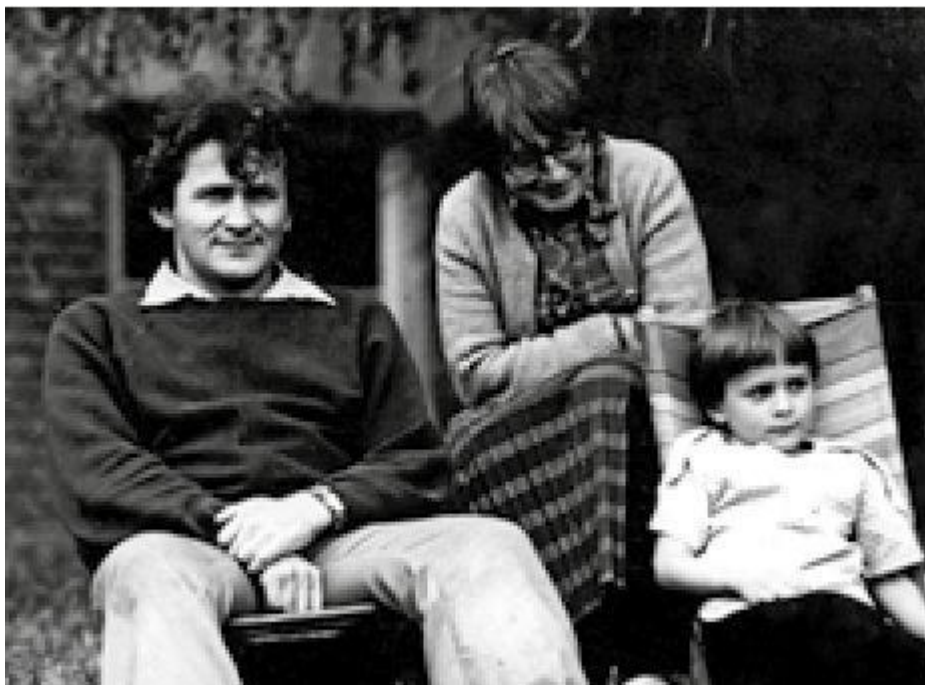
Ale wszystko przed nią. Bo zdaniem Zofii Romaszewskiej nieważne są życiowe zakręty, ale to, co za nimi.



Szczeniara
opowieść o Ludwice Wujec



Henryk Wujec – polityk, fizyk, działacz opozycji w czasach PRL, wiceminister rolnictwa w latach 1999-2000, obecnie doradca Prezydenta Bronisława Komorowskiego ds. społecznych. Poseł na Sejm X, I, II i III kadencji.



Podobno o każdym człowieku można napisać książkę. Nad smutnym dzieciństwem Danuty Wałęsowej pochylałaby się Konopnicka. Historia Gai Kuroniowej mogłaby zainteresować Szekspira albo Mniszkównę – w zależności od konwencji. A opowiadanie o Ludwice Wujec napisaliby pospołu, co drugi rozdział, Singer i Reymont. A może tu i ówdzie wtrąciłby się Tuwim? Wszyscy trzej nie narzekaliby na brak inspiracji.

– Od urodzenia jestem obciążona – żartuje. – Pierwsza niedobra rzecz, to że przyszłam na świat w czasie wojny, w 1941 roku. W dodatku we Lwowie, zajęтым przez Rosjan. A druga niedobra rzecz to fakt, że moi rodzice byli Żydami.

Obydwoje, Oskar Okrent i Regina Burgerman, pochodzili z Łodzi. Wychowali się w biednych, wielodzietnych rodzinach na Bałutach. To o nich i o ich sąsiadach pisał Tuwim:

Rozdział z dzieciny „Farbenlehre”: *Śródmieście ma ziemistą cerę, W bramie robotnik usiadł stary, Suche kartofle z miski je, A kolor jego żółtoszary, Bo głodno, chłodno, brudno, źle. Na cmentarz żółta trójka wiedzie, Do domu szóstka granatowa, Zieloną czwórką się dojedzie Do zielonego Helenowa. Popatrz na usta tej dziewczyny, Podręcznej z magazynu mód: A kolor ich niebieskosiny, Bo smutno, trudno, chłód i głód.*

Dziadek Ludwiki ze strony mamy był piekarzem. Pochodził ze Skierniewic. Wedle opowieści jej mamy, bo zmarł przed wojną i wnuczka go nie знаła, razem z bratem uciekł spod kurateli ojca, który usiłował ich trzymać twardą ręką i zaczął szukać szczęścia w „ziemi obiecanej”, czyli w Łodzi. Ludwika niewiele więcej wie o pradziadku. Ale nie traci nadziei, że doszuka się jeszcze jakichś wiadomości, bo w archiwach skierniewickich figuruje nazwisko Burgerman.

Dziadek ożenił się, zamieszkał na Bałutach, spłodził sześcioro dzieci. Klepali biedę. Łódzka klasyka.

Ludnością napływową była także rodzina Okrentów. Pochodzili z Włoszczowej i na przełomie wieków przyjechali do Łodzi za chlebem. Pradziadek Ludki był drobnym handlarzem, domokrądcą, bo takie zapiski znalazły się w łódzkiej księdze meldunkowej.

– A dziadek to już była taka bida – opowiada Ludwika – że tuż przed ucieczką mamy na wschód usiłował utrzymać się z tego, że robił w butach dziurki na sznurówki specjalnym

dziurkaczem.

Choć byli biedni, ich dzieci otrzymały przyzwoite wykształcenie. Chodziły do państwowych, bezpłatnych szkół na Bałutach, które były w owym czasie na dobrym poziomie. Regina w szkole zaraziła się teatrem, miłością do polszczyzny i literatury polskiej. Związała się z Łódzką Sceną Robotniczą Towarzystwa Uniwersytetów

Robotniczych, prowadzoną przez Witolda Wandurskiego, lewicującego dramaturga i poetę, który w 1933 roku wyemigrował do ZSRR i tam, niesłusznie oskarżony podczas „wielkiej czystki”, zmarł w więzieniu. W tym okresie w Łodzi wielu przedstawicieli młodej inteligencji, zafascynowanych ideologią socjalistyczną, odczuwało potrzebę „niesienia oświaty w lud”.

– Mama należała do tej grupy, do której tę oświatę niesiono – mówi Ludwika. – Potrafiła mówić sceniczne „f” i bardzo pilnowała, żebym też tak mówiła. Opowiadała, że Wandurski stawał na końcu sceny i kazał im powtarzać „Łódź Główna”. I poprawiał: „No widzisz, no widzisz, mówi się Główna”...

Młodzi – Oskar i Regina – co było naturalne, „poszli w komunę”: wstąpili do Komunistycznej Partii Polski i działali w niej intensywnie. Traktowali to jako jedyną dostępną szansę na awans społeczny. Reginę kilkakrotnie aresztowano przy okazji nielegalnych pochodów na 1 maja. Oskar za swoją aktywność osadzony został w więzieniu w Sieradzu, skąd wyszedł w 1938 roku z zaatakowanymi płucami. Do końca życia Regina wspominała jedyne piękne wakacje, spędzone w lasach spalskich, które, jak wtedy wierzone, „robiły dobrze na płuca”.

Gdy wybuchła wojna, Oskar jako ochotnik poszedł „na obronę Warszawy” i potem, cofając się, znalazł się za Bugiem, we Lwowie. Przekazał Reginie wiadomość, że na nią czeka. Postanowiła przeprawić się przez „zieloną granicę”, na drugą stronę przez Bug. Nie obyło się bez przygód, opłacała się po drodze Niemcom, ale szczęśliwie do Lwowa dotarła. Przez krótki czas prowadzili pozornie ustabilizowane życie: on pracował w fabryce, ona dorabiała szyciem. Miała talent. W kwietniu, niedługo przed inwazją III Rzeszy na ZSRR, urodziła się Ludka. Mama opowiadała jej, że podczas bombardowania Lwowa jedna z pierwszych bomb uderzyła w sąsiedni budynek. Z okien wypadły szyby i szkło posypało się do łóżeczka córki, z którego chwilę wcześniej mama wyjęła ją, bo głośno płakała.

Oskar zdążył jeszcze wepchnąć żonę i córeczkę do jednego z ostatnich pociągów jadących na wschód. Regina wyszła z domu tak jak stała, w letniej sukience, trzymając na jednej ręce zawiniątko z dzieckiem, a w drugiej – kawałek mydła. Pod bombami dotarły pod Stalingrad, gdzie zatrzymały się z grupą Polek w małym kołchozie. Młoda kobieta z miasta, nieznająca wsi, radziła sobie nadspodziewanie dobrze, obszywając zamożniejsze chłopki. Miały dach nad głową, a Ludka mleko. Tylko ona i jeszcze jedno dziecko przeżyły. Inne zmarły z powodu chorób i głodu.

Kiedy linia frontu przesunęła się na wschód, przewieziono je dalej, do Łyśwy na Uralu. Regina pracowała w zakładzie zbrojeniowym, Ludkę musiała oddać do tygodniowego przedszkola, które zajmowało się dziećmi robotnic. Takiej przechowalni. Na szczęście Oskar odnalazł je – w ostatnim momencie, bo gdy dziewczynkę odebrano z przedszkola, była w stanie prawie agonialnym. Wyjechali do najbliższej „metropolii”, do Krasnouralska. Oskar znalazł pracę w fabryce, Regina jak zwykle wykorzystywała swoje talenty krawieckie. Ludka poszła do normalnego przedszkola.

Ojciec przez cały czas usiłował dostać się do wojska. Oczywiście nie do Armii Andersa, bo był komunistą. Chodziło o Ludowe Wojsko Polskie. Do I Armii nie przyjęli go ze względu na chorobę serca i kiepski wzrok. Dopiero kiedy załatwił sobie zaświadczenie „zdolny do służby nieliniowej”, przyjęli go do II Armii dowodzonej przez Karola Świerczewskiego. 25 kwietnia

1945 roku zginął pod Dreznem.

Regina z córką wróciły do Polski z pierwszą falą repatriantów wiosną 1946 roku. Pojechały, rzecz jasna, do Łodzi. Tam spotkały siostrę Oskara, Zosię, która służyła w I Armii LWP. I Regina, i Zosia uratowały się tylko dlatego, że uciekły do ZSRR. Z Burgermanów nie ocalał nikt oprócz brata Reginy, który jeszcze w 1927 roku wyemigrował do Brazylii, podobnie jak starszy brat Oskara. Cztery siostry Reginy z rodzinami, dziećmi i matka znalazły się w getcie łódzkim. Nie wiadomo, w jaki sposób zginęły. Prawdopodobnie w hitlerowskim obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu. Nie został po nich żaden ślad. Nawet domy, w których mieszkali, zostały rozebrane – najpierw przez Niemców, potem przez polskich szabrowników. W pierwszych latach po wojnie cegły były na wagę złota. Tylko raz Regina z Ludką wybrały się na Bałuty. Był słoneczny, wiosenny dzień, świeża trawa zarastała ruiny.

– Mam gdzieś w domu listy mamy pisane w ZSRR do dozorców domów, w których mieszkały jej siostry – wspomina Ludwika. – Pytała w nich, czy coś wiedzą o ich losach. Listy wracały ze stemplem „adresat nieznany”.

Z rodziny Okrentów oprócz Zofii uratował się jeden brat, który został wywieziony z getta do Oświęcimia. Przeżył obóz. Razem z żoną wyemigrował w 1948 roku do Brazylii.

W Łodzi zaczęło się nowe życie. Regina zrobiła maturę i zaczęła pracować jako urzędniczka. Ludka poszła do szkoły. Początkowo zamieszkały z cicią Zosią i jej koleżanką we wspólnym mieszkaniu przy ulicy Wólczańskiej. Zajmowały służbówkę, spały w jednym łóżku. Z lokalami było krucho. Warszawa w ruinach, Łódź stała się chwilową przechowalnią dla mieszkańców stolicy. Po jakimś czasie przeprowadziły się na ulicę Kościuszki, ale to też był „kolchoz”. Regina zintensyfikowała poszukiwania i znalazła wreszcie w miarę normalne lokum – dwa pokoje w dużym, wspólnym mieszkaniu przy ulicy Piramowicza. Okna wychodziły na małą cerkiewkę. Ilekroć Ludka nie chciała się przyznać, że coś przeskrobała, mama mawiała: „No a kto? Pop z przeciwka?”. Weszło to do kanonu rodzinnych powiedzonek.

W 1952 roku przeniosły się do Warszawy. Regina stwierdziła, że nie może dłużej mieszkać na cmentarzu.

– Mama chodziła po ulicach i wspominała: tu mieszkała Kasia, a tam najstarsza siostra. Rzadko wracam do Łodzi. Ale czuję do niej duży sentyment. W naszym domu wbrew pozorom nie było atmosfery cmentarnej. To był normalny dom, miałam dużo koleżanek, lubiłam swoją szkołę. Kółko teatralne w niej prowadził sam Dejmek! Marzyłam, że zostanę aktorką. Całe szczęście, że tak się nie stało, bo oprócz pewnych umiejętności recytatorskich nie przejawiałam większego talentu... – uśmiecha się Wujcowa.

Miała niezły debiut – Teatr Nowy poszukiwał chłopca do roli Michasia w *Horsztyńskim* Słowackiego. Reżyserował sam Janusz Warmiński, późniejszy dyrektor Teatru Ateneum w Warszawie.

– Wzięli mnie, ale pod warunkiem, że obetnę warkocze. Mama powiedziała – mowy nie ma! Wymyślili więc harcap. Włosy i rola zostały uratowane.

Do Łodzi pojechała w latach 90., wraz z dalekim kuzynostwem z USA. Po raz pierwszy poszła wtedy na cmentarz żydowski. Okazało się, że jest tam grób jej pradiadka i prababki. Znalazła też adres dziadka ze strony mamy, ale już samego grobu nie było. Domyśla się, że został zniszczony – stał przy ogrodzeniu.

– Pamiętam, chodziłam jak ta głupia po Sejmie, akurat były czyjeś imieniny, wesoła atmosfera a ja wszystkim pokazywałam zdjęcia grobów. „Patrzcie, miałam pradiadków!” – cieszyłam się, że odnalazłam swoje korzenie.

W Warszawie Regina znalazła pracę w Polskim Radiu, najpierw w kadrach, potem w biurze listów. Zamieszkały w domu „radiowym”, na rogu Koszykowej i Noakowskiego. Pokój

z kuchnią. Nareszcie własne, oddzielne mieszkanie, bez współlokatorów!

– Po przedwojennym, wysokim i przestrzennym mieszkaniu łódzkim to warszawskie wydawało mi się malutkie i przygniatające. Byłam nieszczęśliwa, wszystkie koleżanki zostały w Łodzi. Szybko się jednak pocieszyłam. W naszym domu było wiele dzieci w moim wieku, szybko się zakolegowaliśmy i bawiliśmy w gruzach. Warszawą nie byłam zachwycona. Do chwili, gdy 22 lipca zobaczyłam uroczyście oddany do użytku plac Konstytucji – absolutnie cudowny! Zdziwiło mnie tylko, że kamienice od tyłu, na przykład od Koszykowej, nie były otynkowane. Budowniczowie tak się spieszyli na święto, że nie zdążyli.

Ludka najpierw chodziła do szkoły w tymczasowym baraku na obecnym rondzie Jazdy Polskiej, potem przeniosła się do szkoły podstawowej na Mokotowską 16/20. Ten adres powtarzał się w jej życiorysie – znajdowała się tu siedziba Regionu Mazowsze Solidarności.

Potem były lata tak zwanej małej stabilizacji. Wielka polityka kręciła się gdzieś w wyższych rejonach świata. W mieszkaniu na Noakowskiego, choć nie była tematem tabu, nie determinowała życia. Ludwika owozym pędem zapisała się do ZMP, ale na krótko, bo w 1957 roku organizację rozwiązano.

Regina starała się stworzyć Ludce normalny dom. Nie izolowała jej od trudnych tematów – Ludka wiedziała, że jest Żydówką, przyjmowała to jako rzecz naturalną. Mama czasami opowiadała jej o przedwojennej Łodzi, rodzinie, zwyczajach, ale były to raczej gawędy w konwencji bajkowej, o świecie, którego dawno nie ma. Tak jak *Opowieści dla dzieci* Singera.

– Dziadek nie był przesadnie religijny, ale żeby nie robić przykrości swojej żonie, przestrzegał tradycji. Panowało duże bezrobocie. Toteż mama, gdy znalazła pracę w eleganckim polskim salonie krawieckim, starała się za wszelką cenę utrzymać posadę. A tam pracowało się w soboty, a świętowało w niedziele. Żeby nie robić przykrości rodzicom, zrywała się w sobotę wcześniej rano i pod pozorem spotkania z którąś z sióstr lub randki, wychodziła z domu. Z kolei w niedzielę, gdy mogła dłużej pospać, matka zrywała ją „do pracy” o poranku. I biedna mama szła na cały dzień do którejś z sióstr, żeby przeczekać osiem godzin. Gdy oszustwo się wydało, babcia była bardzo wzruszona, bo rozumiała, że córce chodzi o jej uczucia – wspomina Ludwika.

Mama nie przekazywała jej jednak tradycji żydowskich. Ba, co roku ubierały choinkę z tym, że nie było powiedziane – na Boże Narodzenie, jak w Polsce, czy na Nowy Rok, jak w ZSRR. Małej Ludce było wszystko jedno, czy prezenty przynosi jej Święty Mikołaj, czy Dziadek Mróz.

Potem przyszedł 1956 rok. Dla Ludki o tyle ważny, że wyjechała do Brazylii. A było to tak: nagle ożywiła się korespondencja z rodziną z zagranicy, przerwana w latach 50. Brazylijski wuj przysłał zaproszenia dla Reginy i Ludki na ślub syna. Do zaproszenia dołączył sto dolarów via Pewex. Po państwowym kursie było tego 400 złotych. Za mało na podróż. Wujek podpowiedział im jednak, co mają zrobić. Za dolary Regina kupiła w Peweksie kakao i z potwierdzeniem zakupu poszła do kierownika delikatesów na rogu Marszałkowskiej i Wilczej. Ten odkupił od niej kwit, płacąc po przeliczniku 110 zł za dolar. Dostały w ten sposób 11 tysięcy złotych i wystarczyło na bilety w dwie strony. Ludka poznała swoją rodzinę, zobaczyła kolorowy, zamożny świat. „Zaliczyła” brazylijski karnawał. Po raz pierwszy w życiu zmierzyła się z trudnym problemem emigracji.

– Wieczorami, gdy dzieci kładły się spać, dorośli rozmawiali o sytuacji w Polsce. Media i listy z kraju pokazywały dramatyczną sytuację, mówiono o antysemitkiej czystce w wojsku, były nawet plotki o pogromach. Rodzina usilnie namawiała mamę, żebyśmy zostały w Brazylii. Błagałam ją, żebyśmy wróciły. Mówiłam: mamó, ja będę wszystko robiła, będę myła okna, będę myła podłogi (a miałyśmy deski, które trzeba było szorować i pastować). Co tylko chcesz. Tylko wracajmy. W Warszawie miałam swoje życie, szkołę, koleżanki, chłopaka, w którym się

podkochiwałam. Przeraziła mnie myśl, że już nigdy ich nie zobaczę.

Regina wahała się, nie wiedziała, co jest najlepsze dla Ludki. W końcu wróciły. Przedwiośnie 1957 roku. Najbrzydsza pora roku. Warszawa stała brudna, szara w roztopionym śniegu.

– Chodziłam po ulicach taka szczęśliwa. Moja dusza krzyczała: jestem w domu! I to nasze małe mieszkanko wydawało mi się takie piękne po bogatej willi wuja. Piękne, bo moje.

Po maturze zdała na fizykę na Uniwersytecie Warszawskim.

– Powtarzałam rok, bo zamiast uczyć się przykładowo, skoncentrowałam się na duszy, sercu i uczuciach. Dojrzewanie w ostrej fazie. Nic poważnego.

Wśród opozycjonistów, o dziwo, było wielu fizyków.

– Może wynikało to z tego, że nasze studia nie tylko uczyły wzorków i definicji, ale pobudzały do zrozumienia istoty świata – zastanawia się Ludwika. – Wielu filozofów zaczynało od fizyki. I jedni, i drudzy poszukują *arché*. Nasz wydział był arcytrudny, męczący, ale bardzo fajny. Mnóstwo ciekawych ludzi poznałam na studiach.

Była w paczce przyjaciół mających podobne zainteresowania społeczne. Razem działali w radzie wydziałowej ZSP. Marek Tabin i Heniek Wujec założyli w akademiku klub dyskusyjny, gdzie przez rok odbywały się regularnie wykłady z filozofii. Działalność klubu zakłóciła wizyta w Pałacu Mostowskich, dokąd wezwano obydwóch założycieli za zaproszenie księdza Bronisława Dembowskiego, byłego żołnierza AK, rektora kościoła św. Marcina, asystenta kościelnego Klubu Inteligencji Katolickiej. Był to pomysł Heńka, który należał do KIK-u.

Potem był „rok socjologii”. Ludwika chodziła na te spotkania.

– To były bardzo fajne czasy – wspomina. – Dobra paczka zarówno do dyskusji, jak do zabawy i podkochiwania. Ja nie byłam wzorem solidności w nauce i na przedostatnim roku miałam spore zaległości, na przykład niezaliczony wf, a przez to też można było nie zdać. Poza tym zaczęło mi się takie dziwne zacinanie: gdy czegoś nie wiedziałam, milkłam i nic nie można było ze mnie wydusić. Teraz skończyłoby się na paru wizytach u psychologa, ale w tamtych czasach nie było takiego zwyczaju. Toteż zachowałam się ucieczkowo, to znaczy zabrałam papiery i wyniosłam się z uczelni, nie ukończywszy studiów.

Poszła pracować do szkoły podstawowej. Nie miała jednak odwagi powiedzieć matce, że przerwała studia. Powieliła więc stary pomysł Reginy: wychodziła rankiem z domu, mówiąc, że idzie na zajęcia. Krótko to trwało, bo matka dowiedziała się o wszystkim od przyjaciół. Ludwika dokończyła studia zaocznie.

Pod koniec pierwszego roku pracy w szkole wyszła za męża. Za kolegę ze studiów, Marka Tabina. Też studiował fizykę, potem dodatkowo skończył socjologię. Był przyjacielem Heńka Wujca, razem przenieśli się z lubelskiej uczelni do Warszawy, razem zamieszkali w akademiku.

– Z Markiem to było za wcześnie... – tłumaczy Ludwika. – Byliśmy niedojrzali. Skusiła nas okazja kupna mieszkania. Mieszkanie chciał Markowi sprawić jego ojciec, profesor Akademii Rolniczej w Lublinie. Marek nie miał zameldowania w Warszawie i ślub był jedną z nielicznych możliwości jego zdobycia.

Dwa pokoje z kuchnią przy ulicy Świerczewskiego (dziś alei Solidarności). Doskonały punkt. Mało która młoda para w tamtych czasach zaczynała z takiego wysokiego pułapu.

Rozwód, rok 1967. Oczywiście obydwójce opowiedzieli Heńkowi swoje wersje. Był ich bliskim przyjacielem, świadkiem na ich ślubie. Postawili go w niezręcznej sytuacji, ale wybrnął, zaręczając, że pozostanie przyjacielem ich obojga.

Po rozwodzie (bez orzekania winy) jeszcze przez jakiś czas mieszkali razem, przyjmując wspólnych znajomych we wspólnej kuchni. Po podziale majątku Ludwika kupiła kawalerkę przy ulicy Woronicza. Siódme piętro, meble „Wyszków”, zasłony z Cepelii.

– W marcu 1968 roku pracowałam w szkole. To był dzień powszedni, nie mogłam się zwolnić. Ale Marek i Heniek poszli na wiec studentów. Potem był strajk na UW. Bohatersko poświęciłam swoje najlepsze prześcieradło na transparent, który Heniek zawiesił na budynku geografii – to był najwyżej powieszony transparent.

Byli już parą. Heniek zrobił absolutorium, ale zaciął się przy pisaniu pracy magisterskiej z teorii względności Einsteina. Zrobił część obliczeniową, ale coś mu nie wychodziło w interpretacji. Bo wszystko musiał robić sam. W tamtych czasach prawie nie było bibliografii, teksty anglojęzyczne były trudno dostępne. A czas dzielił między pisanie pracy i życie społeczne. Z korzyścią dla tego ostatniego. Stracił akademik, bo nie obronił się na czas i skreślono go z listy studentów. Mieszkał w ruderze na Koszykowej. Użyczył jej raz Kuronowi i Modzelewskiemu na dyskusję na temat „Listu otwartego do Partii”, za który poszli siedzieć. W 1967 roku doszedł do wniosku, że trzeba coś zrobić z tak pięknie rozpoczętym życiem i wrócił na uczelnię dokończyć studia. W 1968 roku był więc, w przeciwieństwie do Ludki, pełnoprawnym studentem. Przeszedł przez wszystkie wiece, wolne trybuny i zadymy.

Rok 1968 był dla Ludki ważny i bardzo smutny zarazem. Po pierwsze, mamę wyrzucono z PZPR jako „obcy element” i zmuszono do przejścia na wcześniejszą emeryturę. Bardzo to przeżywała.

– Zajęli się mamą stosunkowo późno, bo to był pion administracyjny, a nie programowy. Różne były wtedy zachowania ludzi – od bardzo pięknych po nikczemne. Ale były i takie osoby, które broniły mamy, narażając własną pozycję.

Zaczęły się wyjazdy z Dworca Gdańskiego. Z biletami w jedną stronę. Ludka ciągle żegnała swoich przyjaciół z TSKŻ (Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego Żydów w Polsce), których znała z klubu przy ulicy Nowogrodzkiej 5 i obozów. Była na przykład na słynnym, pierwszym obozie młodzieży żydowskiej, zorganizowanym przez TSKŻ w Poroninie w willi „Giewontówka”, w 1958 roku.

– Bardzo miłe go wspominam: chodzenie po górach, śpiewanie, dyskusje – jaka droga: asymilacja, emigracja czy getto. To była bardzo fajna, duża grupa rówieśnicza. Z wieloma z nich po dziś dzień utrzymuję kontakty.

Prawie wszyscy wyjechali. Ludka miała poczucie, że świat jej się skończył. Nawet jej jedyny kuzyn, syn ciotki Zosi, wyemigrował do Szwecji, a ciotka wkrótce za nim.

– Namawiali mnie, żebym wyjechała razem z nimi, ale nie chciałam. To była bardzo ciężka i do dziś nie całkiem wytłumaczalna decyzja.

Gdy pytają mnie, dlaczego zostałam w Polsce, nie do końca umiem odpowiedzieć. Może najbliższy był Jacek Kleyff w piosence *Źródło: Nie fetysz granic mnie tu trzyma, lecz miejsca i w tych miejscach przyjaźń – i w Polsce z tym nie jestem sam*. Bardzo mocno mnie tu trzymał Heniek. Nie wyobrażałam sobie, że mogę go zostawić. To w ogóle nie wchodziło w rachubę. Podobnie jak pomyślałam, że Heniek mógłby emigrować razem ze mną. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy, bo to było oczywiste. A poza tym – ja się strasznie przywiązuję. Do ludzi, miejsc, zapachów, piosenek, brzoź. Wiem, że gdzie indziej też rosną brzozy, ale polskie są inne. Dziennikarze pytają mnie, czy nie żałuję, że nie wyjechałam. Nigdy tego nie żalowałam. Bo życie potoczyło mi się tak ciekawie! Choć były dramatyczne momenty, moje życie było i jest pełne i udane.

Heniek pochodził ze wsi. To dla Ludwiki było obce, nieznanne środowisko. Pierwsze spotkanie bliskiego stopnia odbyło się wiosną 1968 roku, na Wielkanoc. Zaraz po Marcu. On pojechał do rodziców, ona została w Warszawie.

– W pewnej chwili tak bardzo za nim zatęskniłam, że postanowiłam do niego pojechać. Podlesie koło Biłgoraja – tylko tyle wiedziałam. Kolega, który bywał u Heńka, powiedział, że

tam są bardzo podmokłe łąki; włożyłam więc gumiaki.

Nie miała pojęcia, jakie są najlepsze połączenia, więc wsiadła do pociągu do Zwierzyńca, który jechał trasą jak za Austro-Węgier – zatrzymywał się na każdej stacji. Po całonocnej podróży, kierując się logiką, wysiadła na stacji Zwierzyniec Miasto. O ile ze Zwierzyńca Wsi do Biłgoraja jechało wiele autobusów, o tyle z Miasta tylko towarowa ciuchcia. Skrzynie i drewno. Siedziała na skrzyni w towarzystwie żołnierza, udającego się na przepustkę do domu. Piękna pogoda, słońce, las i sapiący z wysiłku stary pociąg. Po latach, gdy czytała książki Singera, dowiedziała się, że jego mama też pochodziła z Biłgoraja i jeździła tą samą ciuchcią.

– Wsiadłam zdezorientowana w Biłgoraju. Nie wiem, co robić. I nagle widzę Heńka. Mniejszego, masywniejszego, ale Heńka! Szedł w towarzystwie wiejskiej kawalerki, wstydziłam się podejść. Potem dowiedziałam się, że to był jego młodszy brat, Stach. Skóra zdjęta z Henryka!

Gdy z przygodami dotarła do obejścia Wujców, Heniek nie posiadał się z radości. Rodzina przywitała ją serdecznie, bez zdziwienia. Została przedstawiona jako koleżanka. Heniek często zapraszał w gości znajomych i przyjaciół. W stodole koczowały całe obozy wędrowne organizowane przez Klub Inteligencji Katolickiej. Za wikt i dach nad głową młodzież często pomagała w pracach polowych.

Wujcowie mieszkali w drewnianej chałupie. Absolutna klasyka: pokój i kuchnia. W pokoju stały dwa łóżka szuflady i duży piec, w którym rzadko palono. Za to ciepło było w kuchni od starego pieca z przypieckiem, na którym spać mogły dzieci lub niewielkiej postury dziadek. W obejściu nie było jeszcze elektryczności, wieczorami paliła się lampa naftowa.

Mama Heńka była energiczną, silną kobietą, stworzoną do pracy w polu. To ona rządziła w gospodarstwie. Gorzej jej szło w pracach domowych. Nie najlepiej gotowała, choć jedzenie było pożywne i do syta. Ojciec był ciepłym, inteligentnym mężczyzną. Jediną jego wadą było to, że nadużywał alkoholu. To jednak cecha tak związana z polską wsią, że nieuznawana za wadę.

– Po jakimś czasie, gdy Heniek poinformował rodziców, że chce się żenić, ojciec powiedział: „Po mojemu to nie jest dobrze, ale to twoja sprawa”. Chodziło mu o to, że jesteście z dwóch różnych kręgów kulturowych. Że jestem Żydówką. To nie była ocena mojej osoby, ale mojego świata. Obawa, że wieś się dowie. Brat Heńka kiedyś wziął mnie na stronę i poradził, żebym na wsi nie mówiła o swoim pochodzeniu. Ale i tak się dowiedzieli. Nie wiem, skąd.

Na ślub syna ojciec nie przyjechał. Wymówka? „Ktoś musi oporządzić zwierzęta”. Pewnie to była prawda, choć przecież mógł poprosić o pomoc sąsiadów. Matka i brat przyjechali. Potem mama urządziła na wsi poprawiny dla wszystkich przyjaciół i sąsiadów.

– Po raz pierwszy w życiu mnie spili – uśmiecha się Ludwika. – Każdy podchodził i pytał: „Ze mną się nie napijesz?”. W sumie rodzice bardzo ładnie się zachowali – zero aluzji, zero łachy, zero pretensji. Łącznie z pomocą finansową na pierwsze meble. Utrzymujemy bliski kontakt. A przede wszystkim przez te wszystkie lata jeździmy do Podlesia na Wielkanoc.

Henryk po obronie pracy magisterskiej znalazł posadę w fabryce półprzewodników „Tewa”, gdzie w 1975 roku został kierownikiem Laboratorium Badań Niezawodności. W „Tewie” pracowało kilkoro znajomych ze studiów i z jego turystycznej paczki. Bo Henryk się wspinał. Podobno miał nawet talent, ale za mało pieniędzy, żeby podejść do swojego hobby poważnie. Sprzęt i wyprawy kosztują. A oni, jak w piosence Osieckiej, „wiązali koniec z końcem za te polskie dwa tysiące”. Obydwoje zarabiali niewiele, ale lubili swoją pracę. Ludwika uczyła fizyki i matematyki. Jej uczniem był m.in. Ludwik Dorn. Miał talent matematyczny.

Wciągnęła do zajęć szkolnych Henryka. Zabierała go jako dodatkową „ochronę” na wycieczki szkolne. Dzieci go uwielbiały. Pytały: „Czy pojedzie z nami pan Ptaszyna?”. Takie miał przezwisko z akademika. Geneza była następująca: obydwaj z Markiem mieli takie hobby, że chodzili po antykwariatach, stoiskach bukinistów i wyszukiwali oryginalne, śmieszne książki.

Kupili kiedyś jakiś radziecki dramat z wczesnych lat 50. „Dzieło” zapomnianego autora, bardzo propagandowe. Jedną ze scen bardzo ich rozbawiła. Siedzą baby w kolchozie i łuskają groch. Jedna pyta drugą: „A jak tam twój syn, Wania?”. „Ano, pływa po morzach”. „A co wam pisze?”, „Pisze tak: wpływa nasz radziecki statek do portu w Neapolu. I natychmiast nadlatują ptaszyny. Usiądzie taka ptaszyna na maszcie i płacze. A dlaczego płacze? Bo kapitalizm!”. Tę scenę Heniek kilka razy przeczytał z uczuciem kolegom, więc został „Ptaszyną”.

W 1970 roku doskonale wiedzieli, co się stało na Wybrzeżu. Regularnie słuchali Wolnej Europy, dostawali wydawnictwa podziemne. Poza tym umieli czytać reżimową prasę między wierszami.

– To było straszne. Ginęli ludzie. Ale to nie było moje środowisko.

O wiele mocniej przeżyłam Marzec i inwazję na Czechosłowację.

W grudniu 1971 roku urodził się Paweł. Przenieśli się z kawalerki do dwupokojowego mieszkania ze ślepą kuchnią przy ulicy Maklakiewicza. Rozpoczął się jeden ze wstępów do opozycji – zaczęli organizować prywatne seminaria z historii PRL. Zbierali się na nich ludzie z Klubu Inteligencji Katolickiej, „komandosi”, byli harcerze z „Czarnej Jedyńki”. Uczyli się prawdy o systemie i swoim kraju, na przykład czytali i komentowali „Gazetę Ludową” z 1945 roku.

– Z Heńkiem nawzajem pomogliśmy sobie w wyznaczaniu kierunków zmieniania świata – uważa Ludwika. – Wychowana na lekturze *Timura i jego drużyny* chciałam robić w życiu coś dobrego, pomagać innym. Zawsze bardzo interesowałam się tym, co dzieje się wokół mnie, choć nie powiem, żebym zawsze postępowała najmądrzej. Z perspektywy czasu widzę jednak, że moja przynależność do ZMS nie była zła, poznałam tam wielu fajnych ludzi. To ZMS na wydziale historii zorganizował słynne zebranie z Leszkiem Kołakowskim, w 10. rocznicę Października.

Jeszcze na studiach bardzo namawiał Ludwikę do zapisania się do PZPR Stanisław Gomułka, przewodniczący ZMS na wydziale fizyki. Uchodził za doktrynera. Być może dlatego, że pochodził z biednej, wiejskiej rodziny, uważał, że awans społeczny zawdzięcza państwu socjalistycznemu. Ludwika broniła się, że „nie dojrzała”. Do PZPR wstąpiła już po studiach, w 1965 roku, gdy pracowała w szkole.

– Jedni są prekursorami, inni epigonami. Ja należałam do tych drugich – uśmiecha się. – Wymyśliłam sobie, że będę zmieniać i poprawiać system od wewnątrz. Wierzyłam w „socjalizm z ludzką twarzą”.

Po marcu '68 Ludwika zastanawiała się, czy nie rzucić legitymacji. Matka ją jednak błagała: „Ludwisiu, tylko się nie wypisuj”. Wiedziała, że za taki gest mogą spotkać córkę nieprzyjemne konsekwencje. No i nic nie zrobiła. Zresztą w jej szkole przy ulicy Parkowej nikt niczego nie robił. Pracowały tam zwykle kobiety, przyzwoite nauczycielki, które do PZPR należały dla świętego spokoju.

Formalna przynależność do PZPR nie przeszkadzała Ludwice po 1976 roku we współpracy z KOR-em. Zbierała pieniądze na represjonowanych, co więcej, współredagowała „Robotnika”.

– Ale w 1978 roku, gdy te cholerne bojówki pobiły Heńka u Kuroniów w mieszkaniu, nie wytrzymałam i rzuciłam legitymację. Miał wstrząśnienie mózgu, pół twarzy granatowe i spuchnięte czoło.

Koleżanki w Podstawowej Organizacji Partyjnej przyjęły decyzję Ludwiki ze zrozumieniem. Próbowaly ją namawiać, żeby przemyślała swoją decyzję, ale była nieugięta. Oczywiście miała potem drobne nieprzyjemności: na przykład „karnie” zabrano jej wychowawstwo, ale brała to pod uwagę. Do partii o wiele łatwiej można się było zapisać, niż z niej wypisać. Nie przejęła się tym specjalnie. Miała o wiele poważniejsze problemy.

Pierwsze zatrzymanie Henryka miało miejsce tuż po śmierci Stanisława Pyjasa, przed mszami za jego duszę.

– Teczka na Heńka była już założona – mówi Ludwika. – O dziwo jednak, co wynika z IPN-owskich dokumentów, nie było u nas podsłuchu. W tym czasie mieszkała u nas Bogusia Blajfer. Utrzymywała ściśle kontakty ze studentami. Nie wiem, czy to ona naprowadziła na nas esbecję, czy nasze mieszkanie było już pod obserwacją, dość że od kilku dni czuliśmy na karkach oddechy smutnych panów. Na wszelki wypadek wysprzątałyśmy mieszkanie, poprosiłam Bogusię, żeby wyniosła z domu podziemne wydawnictwa i dokumenty. Po południu siedzieliśmy jak na szpilkach. „Będziemy tak czekać, aż wejdą?” – nie wytrzymał Heniek. – „Wychodzimy!”. I wyszliśmy. Za nami jakieś typy. Rozdzieliliśmy się – ja poszłam na sąsiednią ulicę Burgaską do bloku, gdzie na parterze mieszkał nasz kolega z fizyki Maciek Pindor, a piętro wyżej Andrzej Celiński. Powiedziałam Andrzejowi, że nasze mieszkanie jest obstawione, więc żeby nikt do nas nie przychodził, on wykonał parę telefonów, żeby uprzedzić znajomych. Potem zesłam do Pindorów i z tego zdenerwowania przysnęłam. Gdy obudziłam się, Maciek powiedział, że w naszym mieszkaniu pali się światło. Heniek wrócił. Postanowiłam iść do domu.

To byli esbecy. Bardzo się ucieszyli, że ktoś wreszcie wpadł w kocioł, ale nie kryli rozczarowania, że to tylko żona. Właśnie kończyli rewizję. W klasycznym miejscu – pod futrzakiem na podłodze – znaleźli maszynopis, wciśnięty tam przez Bogusię. Była to analiza sytuacji politycznej w Polsce, autorstwa znajomego z fizyki Staszka Krasnowolskiego. Drugie znalezisko było poważniejsze – w ubikacji za muszlą klozetową Bogusia podwiesiła matrycę do powielacza. Esbecy wystawili zaświadczenie o zatrzymaniu „wydawnictw bezdebitowych”, które potem wielokrotnie odczytywała ku ucieście znajomych. Na koniec wyprowadzili Heńka.

– To było bardzo nieprzyjemne uczucie. Nogi mi się trzęsły. Nie wiem, czego się bałam, bo przecież zdawałam sobie sprawę, że nie wywiozą go na Syberię. Wiedziałam, że go wypuszczą, że trzeba zadzwonić do Jacka Kuronia pod słynny numer 393964, bo mieliśmy go informować o każdym aresztowaniu. Ale bardzo się bałam.

No i wypuścili go szybko, nawet bez sankcji. A kilkanaście osób dostało sankcje. W efekcie jednak zwolniono Wujca z pracy pod pretekstem reorganizacji.

– I co zrobił mój kochany Henio? Poprosił o tygodniowy urlop, bo szykowałą się głódówka w kościele św. Marcina w obronie kilku robotników, których nie chciano wypuścić z więzienia. Potraktowali go jak wariata, bo nikt o zdrowych zmysłach w okresie wypowiedzenia nie rezygnował z ekwiwalentu za urlop.

Po zakończeniu słynnej głódówki odwołał się od decyzji o zwolnieniu do odpowiednika dzisiejszego sądu pracy. Wrócił do firmy, ale na gorsze stanowisko i w innym dziale. Po roku dostał ostateczne wypowiedzenie, tym razem z uzasadnieniem „pracownik o najkrótszym stażu”.

Wujcowie przyzwyczaili się do częstych rewizji. SB odwiedzała ich wcześniej rano, o szóstej, albo wieczorem, w porze kolacji.

Opracowali system wymyślnych skrytek. Starali się nie mówić głośno ważnych informacji – nazwisk, adresów. Pisali je na kartkach.

Bogusia wyprowadziła się, a zamiast niej zamieszkała z Wujcami Joanna Szczęsna. Pochodziła z Łodzi i nie miała warszawskiego meldunku. Nie mogła się też o niego starać, bo nie miała pracy – została zwolniona z Rozgłośni Harcerskiej.

– Rozwiązaliśmy ten problem, zameldowaliśmy Joasię jako naszą, gosposię. Odprowadzaliśmy za nią składki do ZUS, które ona płaciła. Żeby były niskie, podaliśmy najniższe możliwe wynagrodzenie, takie skąpiradła byliśmy. Na naszych drzwiach wejściowych przez rok wisiały dwie tabliczki: „L. i H. Wujec” oraz wydrukowana na drukarce z wypukłymi literami: „Mgr Joanna Szczęsna, pomoc domowa”.

Mieszkali już w większym, czteropokojowym lokalu na Stegnach. W okresie gierkowskiego poluzowania można było mieć większe metraże, a Ludwice jako nauczycielce przysługiwała dodatkowa powierzchnia.

– Bywało tak, że w jednym pokoju przygotowywałam z Helenką Łuczywo nowy numer „Robotnika”, w pokoju Joasi odbywało się zebranie Biuletynu Informacyjnego, w salonie na podłodze siedzieli ludzie i słuchali wykładu, na przykład Barańczaka o nowomowie, albo pana Szpakowskiego z historii ruchu ludowego. A Pawełek w swoim pokoju fabrykował własną gazetkę. Naśladował dorosłych.

Coś z tych zainteresowań mediami zostało Pawłowi do dziś. Jest jednym z zarządzających portalem gazeta.pl.

Przyszedł rok 1980.

– Wałęsa początkowo mnie fascynował – twierdzi Ludwika. Najpierw poznała jego nazwisko z relacji w „Robotniku”, gdzie opisywano jego wystąpienie przed II bramą Stoczni Gdańskiej w rocznicę strzelania do stoczniowców. – Genialny samorodek! Podziwiałam jego słowotwórstwo. Potem trochę wyhamował ten impet.

W 1979 roku Wałęsa zatrzymał się w mieszkaniu Wujców. Przyjechał do Warszawy razem z Anną Walentynowicz.

– Lech się zdrzemnął, co mu zresztą sama zaproponowałam, a Ania, rasowa gospocha, włączyła się do krojenia i przygotowywania kanapek. Wieczorem mieliśmy duży bankiet, byli Gwiazdowie, Bogdan Borusewicz z Alinką, nie pamiętam, kto jeszcze. Wałęsa był rozluźniony, dużo mówił. Podobało mi się w nim takie chłopskie cwaniactwo, jak by tu przyszukać komunistów. Po strajkach trochę go jednak zniechęciłam. Po pierwsze, odsunął na bok dawnych kolegów z Wolnych Związków Zawodowych. Być może było jakieś uzasadnienie, bo Wałęsa w międzyczasie bardzo urósł, stał się znakiem firmowym Solidarności, a oni – przede wszystkim Andrzej Gwiazda – cały czas traktowali go jak chłopca i pouczali, co było dla niego nieznośne. A po drugie, co z przykrością zauważyłam, w pewnym momencie odbiła mu palma. Patrząc nie mogłam, gdy na Dworcu Centralnym ludzie nieśli go na ramionach, całowali po rękach. Jak świętego albo gwiazdę rocka. On bał się, żeby ktoś z jego otoczenia przypadkiem go nie przerósł. Nie chciał mieć konkurencji. Przecież kiedy uznał, że Heniek nie będzie już sekretarzem Komitetu Obywatelskiego (słynne: „Heniu, czuj się odwołany”), wynikało to ze strachu, że powstające w całym kraju Komitety Obywatelskie stanowią dla niego potencjalne zagrożenie. Co w przypadku Heńka było pełnym absurdem. A on już przymierzał się do funkcji prezydenta. Uważam, że Wałęsa jest wielką postacią w naszej historii, ma ogromne zasługi dla demokratyzacji naszego kraju, ale nie potrafi się do końca ze sobą rozliczyć. Nie umie powiedzieć: „Pomyliłem się”. Jeśli już, to mówi: „To był błąd, ale błąd konieczny”.

Stan wojenny. „Paskudny, no paskudny!” – krzywi się Ludwika. Henryk był w Gdańsku na krajówce, a ona siedziała w siedzibie Regionu Mazowsze – pracowała w AS-ie, agencji informacyjnej Solidarności. Wieczór, cisza, wszyscy rozeszli się do domów. Nareszcie mogła popracować nad materiałami. Potem przyszedł Gienek Lipszyc, kolega japonista, i wyciągnął ją do znajomych. Na dworze trzaskający mróz, a tu Kloss w telewizji, gorąca herbata. Na Stegnach była awaria ogrzewania, więc z zadowoleniem przyjęła zaproszenie, żeby zostać na noc. Rano obudziła ją przyjaciółka: „Jaruzelski w telewizji!”.

– Siedziałam ogłupiała, niezdolna do podjęcia jakiegokolwiek decyzji. Myślałam – tam w Gdańsku na pewno wszystkich zamknęli, zlikwidowali region Mazowsze, nic nie można zrobić. Dzwonek do drzwi. Słyszę głosik: „Czy jest tu moja mama?”. Przyszedł Pawełek z babcią. Wcześniej szukali mnie w regionie. Rozsądny Pawełek doszedł do wniosku, że mogę być u przyjaciół. Fala strachu ze mnie zeszła, kiedy zobaczyłam, że ludzie coś robią, coś się

dzieje. Na ulicy jakiś młody człowiek czytał świeżo wydrukowaną ulotkę Solidarności.

Przyszli po nią wieczorem, do domu. Pawełek udawał, że jest chory, ale to nie pomogło. Na drogę dał jej pluszaka, którego dostał na Mikołaja.

Zawieźli ją do Pałacu Mostowskich, a potem do więzienia na Olszynie Grochowskiej, gdzie siedziała do połowy stycznia. Potem wywieźli „polityczne” transportem do obozu internowania w Gołdapi. Wyszła 17 marca, bo znalazła się na liście interwencyjnej Episkopatu dla kobiet z dziećmi, których mężowie też byli internowani.

– Było to dla mnie przeżycie, ale nie trauma. Nie śni mi się to po nocach. Ale jakie dziwne rzeczy dzieją się z ludźmi: oczywiście nie podpisałam lojalki, ale po internie musiałam się odmeldować w Pałacu Mostowskich, mama mnie o to prosiła. Czekaając na ubeka, który miał po mnie zejść, przyglądałam się tablicy ogłoszeń. Jedna literka była krzywo przypięta, a ja machinalnie ją poprawiłam. Belfer! Weszliśmy na górę i esbek mówi: „Pani oczywiście niczego nie podpisze”. Ja: „Oczywiście!”. Nie można mieć łatwiejszej sytuacji, prawda?

Dziennikarze pytają mnie czasem, dlaczego niczego nie podpisałam, czy się nie bałam. Mam na to jedną odpowiedź: człowiek ma gdzieś w tyle głowy przekonanie, że wyjdzie na wolność, spotka się z przyjaciółmi i będzie im musiał spojrzeć w twarz. Może gdyby mnie szantażowano, grożono, że coś zrobią Pawełkowi, to nie wiem, jak bym się zachowała. Na szczęście oszczędzono mi takiej ekstremalnej próby.

Wiedziała, co dzieje się z Heńkiem. Pierwsze widzenie z Pawełkiem miała jeszcze na Olszynie Grochowskiej. Powiedział, że tata jest w Strzebielinku. Ludwika nie pamięta, kiedy dowiedziała się, że został przewieziony do Białoleki. Pisali do siebie listy, księża przekazywali im grypsy. Zachowali tę korespondencję na pamiątkę.

Przez trzy lata nie miała męża w domu. Siedział. Na pierwsze widzenie po wyjściu z internowania poszła do Białoleki. Pamięta, że potwornie długo czekała na męża. Potem jeździła z Pawełkiem, który był zazdrosny o każdą chwilę. Na początku, w okresie internowania, widzenie trwało godzinę, potem, gdy Henryk trafił do więzienia na Rakowiecką, siedząc w śledztwie, widzenia były półgodzinne. Pozwalali się Pawłowi wygadać, mówił jak karabin maszynowy, wyrzucając z siebie wszystkie nagromadzone przez miesiąc myśli. Oni siedzieli, milczeli i patrzyli sobie w oczy.

– Więzienie nic złego Heńkowi nie zrobiło – twierdzi Ludwika. – Jest silny psychicznie, czuł się odpowiedzialny za innych, słabszych kolegów. Z tego okresu został mu jednak zwyczaj zagospodarowywania każdego nowego miejsca. Udomowiania. I celebracji posiłków. W więzieniu każda paczka to było wydarzenie. Chodziło o to, żeby wystarczyła na długo. Więc kroilo się pożywienie na małe kawałeczki, elegancko w miarę możliwości podawało. Na długo przed świętami zbierało się wosk z żółtego sera, żeby zrobić z niego świeczkę. Poza tym gimnastyka. Bardzo dużo gimnastyki. Do dziś mąż stara się regularnie gimnastykować, choć coraz częściej wykręca się brakiem czasu.

Szczęśliwie nie przeżyli żadnej próby rozbicia małżeństwa. A bywało różnie, SB była w tej materii bardzo pomysłowa. Wujcowie chyba jednak nie wyglądali na taką parę, którą można skłócić. Nie podrzucano im też żadnych kłamstw. W Gołdapi żonie Antoniego Macierewicza, Hannie powiedziano, że mąż siedzi na Rakowieckiej w śledztwie i grozi mu dwucyfrowy wyrok. Esbecy wiedzieli, że Hanna jest kruchą, delikatną osobą i bardzo się tym przejmie. I tak się stało. Tymczasem Antoni był zwyczajnie internowany, ale o tym żona dowiedziała się od rodziny stosunkowo późno.

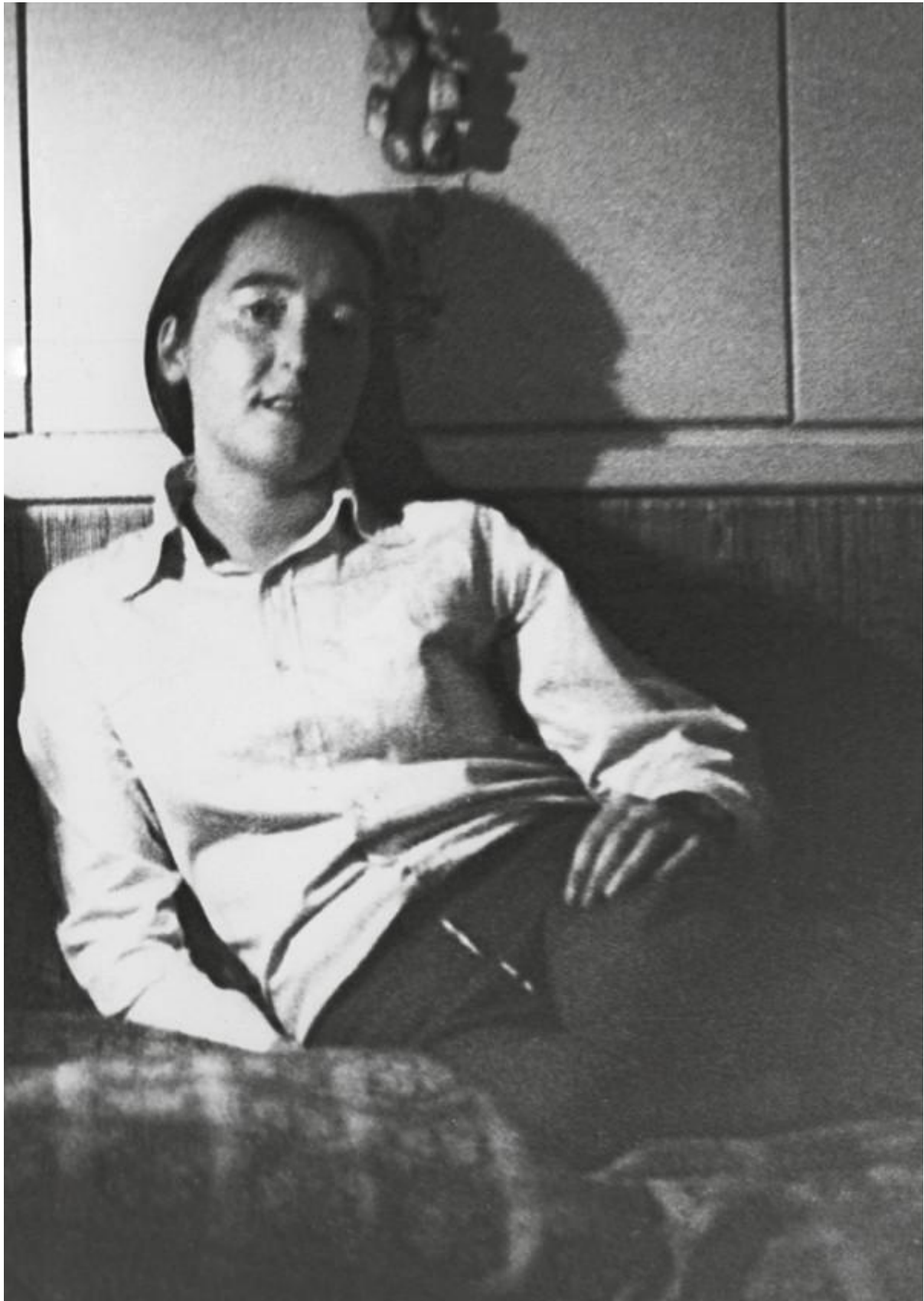
– Wielu takich sytuacji uniknęłam. Szczególnie na Rakowieckiej to wielogodzinne czekanie na widzenie było straszne. Paweł źle to znosił, histerii dostawał. Jako jedną z najgorszych rzeczy Paweł wspomina widzenie z ojcem przez szybę. I nie to jest ważne, że tych

widzeń przez szybę było stosunkowo mało, bo prokurator z prokuratury wojskowej był stosunkowo przyzwoity i dawał nam dodatkowe widzenia i niemal natychmiast zgodził się na widzenia przy stoliku, ale Paweł pamięta szybę. Bałam się, że to wszystko odbije się na jego przyszłym życiu. Nie wiem, czy tak się stało. Paweł ma pracę, którą lubi, jest doceniany. Ma fantastyczną żonę i dwójkę dzieciaków, którymi się wspaniale zajmuje. Bardzo ciepły dom, ze strony żony też jest wspaniała rodzina. Polityką się interesuje, jak każdy świadomy, dorosły człowiek. Ale bez przesady. Nie ma potrzeby aktywności politycznej. Paweł miewa czasem Heńkowi za złe, że za mało mu pokazywał, co jest najważniejsze. Wypominałam kiedyś Heńkowi następującą sytuację. Paweł skończył pierwszą klasę. Byliśmy pod namiotami w kilka osób: Łuczywowie z Łucją, my z Pawełkiem, Celińscy z Kubą i młodszym Jacusiem i Maryna Ochab z Karoliną. Dzieci mniej więcej w tym samym wieku. I Heniek zachowywał się niezwykle sprawiedliwie, wszystkie dzieci traktował jednakowo, tymczasem Andrzej Celiński zawsze dawał poznać Kubie, że jest jego synem, wyróżniał go. I to było dobrze. Mówiłam Heńkowi, że wiem, że dzieci trzeba traktować sprawiedliwie. Ale objąć to trzeba Pawełka. Heniek jakby o tym zapominał i Paweł mu to pamięta. Tym bardziej że było niewiele chwil, kiedy bywali tylko we dwóch.

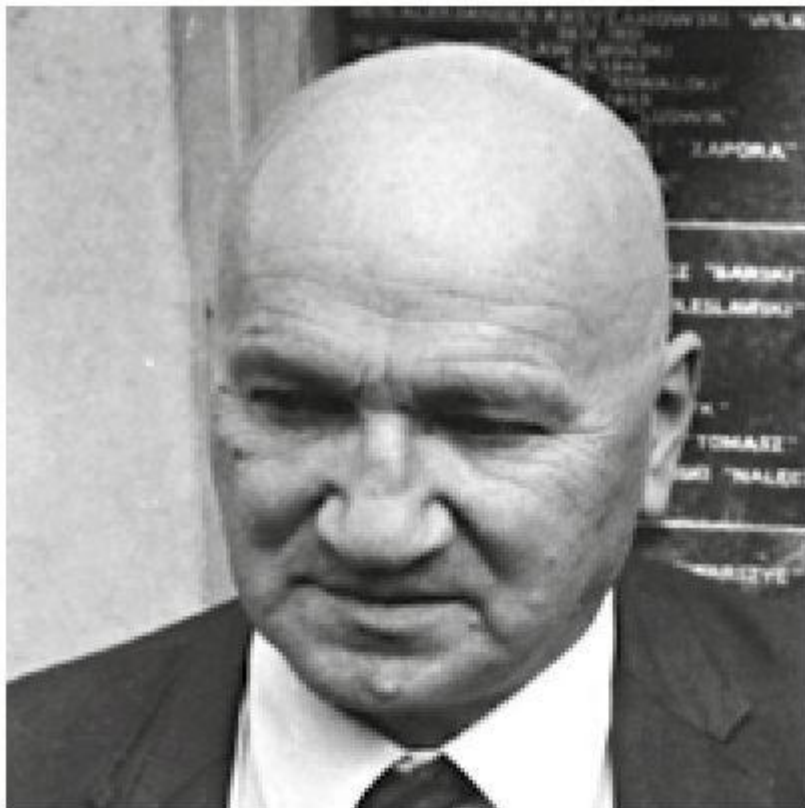
Po 1989 roku Ludwika i Henryk znaleźli się w centrum wydarzeń. Nasza bohaterka twierdzi, że nie wyobrażała sobie, jak będzie wyglądała wolna Polska. A przede wszystkim tego, że ZSRR się rozleci. Nie umie więc powiedzieć, czy coś poszło nie tak. Do niektórych ludzi, owszem, rozczarowała się. Do tych dawnych znajomych, którzy uważają, że zasłużyli na więcej, czują się niedocenieni. Ludwika uważa, że to prowadzi do skrzywienia charakterów.

Ona sama nie czuje się sfrustrowana, bo niby dlaczego? Życie potoczyło jej się ciekawie, czuje się spełniona.

– Jestem wielką szczęściarą, mam świetną rodzinę, wielu wspaniałych przyjaciół, od starszych ode mnie po takich, którzy są w wieku mojego syna. Powtórzę: generalnie życie mi się udaje. Z tym że najciekawsze, jak sądzę, dopiero się wydarzy.



Kanapa
opowieść o Zdzisławie Ziemińskiej



Wojciech Ziemiński – polski działacz społeczny i katolicki, uczestnik opozycji politycznej w okresie PRL. Zmarł w 2001 roku.



Dla Wojciecha Ziemińskiego, że zacytujemy klasyka, zawsze białe oznaczało białe, a czarne – czarne. „Najwierniejszy syn Polski” – tak nazywał go prymas Wyszyński. Ojczyzna, niepodległość, honor, wartości chrześcijańskie – zawsze czynnie stawał w ich obronie, czy to w przedwojennym harcerstwie, czy w czasie stanu wojennego, czy wreszcie pod koniec życia, gdy ciężko chory, w towarzystwie aparatury medycznej i butli z tlenem brał udział w uroczystościach patriotycznych. Jego wierność ideałom była powszechnie znana – niektórzy trochę złośliwie nazywali go „Kasztanką” od imienia legendarnej klaczy Piłsudskiego, która szła na pogrzebie za trumną Marszałka.

Jak zachowałby się w dzisiejszej rzeczywistości? Zdaniem Zdzisławy Ziemińskiej, Wojtek, choć byłby przerażony, widząc, co elity uczyniły z Polską, na pewno pozostałby sobą, czyli odważnym człowiekiem z zasadami. Na pewno nie poszedłby w taką błazenadę, jaką prezentują dziś publicznie niektórzy starsi wiekiem politycy. Już ponad 10 lat temu mawiał: „Żyję w kraju, w którym elity deklarowały walkę o prawdę, a realizują walkę o stołki”.

Gdyby nie choroba, na pewno byłby w świetnej formie fizycznej i psychicznej (to w rodzinie Ziemińskich typowe: brat Wojciecha mimo 89 lat cieszy się dobrym zdrowiem i doskonałą pamięcią). Do końca zachował jasność umysłu, młodzieńcze usposobienie. I zdrowy rozsądek. Zawsze był indywidualistą. Czy poparłby w wyborach starego druha Komorowskiego, czy opowiedział się za Kaczyńskim? Kaczyński na pewno byłby bliższy mu ideowo, ale Ziemiński chyba nie zaangażowałby się czynnie w jego kampanię, raczej stałby niezależny, z boku, z sympatią, dobrymi radami i odrobiną krytyki.

– Jednego jestem pewna – uśmiecha się pani Zdzisława – na pewno mąż przeżywałby dziś swoiste *déjà vu*. I nie byłoby to miłe uczucie. Żartowałyśmy kiedyś z Hanią Macierewicz, że nasi mężowie są tak pryncypialni, że chyba powinni zostać świętymi – mówi pani Zdzisława. – Ale żeby zostać świętym, trzeba najpierw umrzeć...

Od śmierci Wojciecha minęło 10 lat. W skromnym, dwupokojowym mieszkanku na warszawskim Żoliborzu wiele się zmieniło: zniknęły sterty papierów, wiele książek. Panuje sterylność porządek. Pozostały najukochańsze pamiątki po dawnym lokatorze: zdjęcia, obrazy,

szabla. Siedzimy na kanapie z tradycjami.

– Różnie się ułożyło życie moim przyjaciółkom. Niektóre przeżyły je znacznie skromniej niż ja, są takie, które miały luksusowe warunki. Na pewno jednak wszystkie żyły o wiele mniej ciekawie. Gdy Wojtek zachorował, chcieliśmy zamienić to mieszkanie na lokum na parterze, żeby nie musiał wchodzić po schodach. Przyszła jakaś pani. A Wojtek do niej: „To mieszkanie jest historyczne. Czy pani wie, kto siadywał na tej kanapie?”. I zaczął jej wymieniać takie nazwiska, że kobieta zaniemówiła. Wiążąc się z Wojtkiem, nie wiedziałam o kanapie. Gdy zgodziłam się zamieszkać z nim, powiedział mi tylko: „Ale paszportu na pewno nie dostaniesz...”.

W tym mieszkaniu spędziła ponad 30 lat. Początkowo z mężem i jedną z jego córek, potem we dwoje. Teraz mieszka sama. Nie jest rodowitą warszawianką, pochodzi z Suwałk. Urodziła się w 1943 roku w zwykłej, tradycyjnej rodzinie: ojciec był nauczycielem, mama nie pracowała, zajmowała się domem i wychowywała dwie córki – Dzidkę i jej starszą o cztery lata siostrę.

– Nasz dom był ciepły i pełen miłości, choć niebogaty. Wtedy jednak wszyscy wokół żyli skromnie, więc nie odczuwało się tego. Nie kultywowano u nas specjalnie tradycji patriotycznych, choć broń Boże nie był to dom komunistyczny, rodzice nie należeli do PZPR. Ojciec był wielkim miłośnikiem Piłsudskiego i wychowywał nas w kulcie Marszałka. Nasza rodzina – Słuchoccy – pochodzi najprawdopodobniej ze Słuchocina na Mazowszu. Jakaś jej gałąź prawie trzysta lat temu przeniosła się na Suwalszczyznę. W Archiwum Suwalskim znajduje się dokument z 1738 roku – akt sprzedaży domu przez kamedułów mieszczaninowi Marcinowi Słuchockiemu – być może jednemu z moich przodków.

Dzieciństwo upływało Dzidce spokojnie, rodzice izolowali córki od wielkiej polityki. Ale nie dało się tego robić do końca.

– Jedno z moich najwcześniejszych wspomnień jest dosyć dramatyczne. Był rok 1947. Przybiegł do nas mój cioteczny brat i bardzo podekscytowany wykrzyczał, że jego ojciec wrócił z łagru. Dopiero po latach, już jako dorosła osoba, poznałam szczegóły. W 1944 roku, gdy Sowieci wkroczyli na Suwalszczyznę, część osób związanych z działalnością patriotyczną została wywieziona do obozów. Ci ludzie mieli szczęście – większość z nich wróciła, w tym mój wuj. W przeciwieństwie do tych, którzy zostali złapani i wywiezieni do sowieckich łagrów w lipcu 1945 roku podczas tak zwanej „obławy”. Z 600-osobowej grupy nikt nie wrócił. Był wśród nich mąż mojej ciotki Moniki. Ten temat był czasie PRL-u zakazany. Dopiero w wolnej Polsce zaczęto o tym mówić i prowadzić historyczne badania. „Wdowy augustowskie” latami domagały się wyjaśnienia losów ich bliskich. Przez lata żyły w niewiedzy, a także nędzy. Dzięki uporowi, ich głosy przedarły się do świadomości społecznej, kiedy w lipcu 1987 roku powstał w Suwałkach Obywatelski Komitet Poszukiwań Mieszkańców Suwalszczyzny Zaginionych w Lipcu 1945 roku. W jego pracach, polegających m.in. na dokumentowaniu losów zaginionych, szczególnie zasłużyła się dziennikarka Alicja Maciejowska, aktorka Maria Chwalibóg i Krystyna Świerzbńska (jej ojciec „zaginął” w 1945 roku).

Po maturze Zdzisława nie dostała się na wymarzone prawo. Przez kilka miesięcy pracowała więc jako nauczycielka w szkole w Puńsku – centrum litewskim. W tamtych latach na Suwalszczyźnie panował taki głód wykwalifikowanych kadr, że nawet młoda, niedoświadczona osoba ze średnim wykształceniem mogła uczyć dzieci. Po polsku, bo litewskiego nie znała. Była to dla niej samej szkoła – szkoła życia.

W 1962 roku dostała się na wydział filozofii Uniwersytetu Warszawskiego. Wyjechała do stolicy, gdzie już studiowała jej siostra.

– To były dobre lata dla polskiej filozofii. Marksizmu mieliśmy tylko jeden semestr.

Uczono nas przede wszystkim myślenia, mieliśmy bardzo dużo zajęć z logiki. Czytaliśmy najnowsze tłumaczenia personalistów, egzystencjalistów. Poznawaliśmy nowe prądy filozoficzne. Wykładali wtedy m.in. Kotarbińska, Kołakowski, Baczko, Schaff, Płużański, Pomian. Dzisiaj to już osoby niemal legendarne.

Zdzisława dobrze pamięta 1968 rok. Choć niespecjalnie interesowała się polityką, znalazła się w centrum wydarzeń. Brała udział w strajku, była na sławnym wiecu studentów. Na filozofii w tamtym okresie studiowało wielu aktywnych uczestników Marca: Irena Lasota, Józef Dajczgewand. Z akademika na Kickiego tłumnie ruszyli na pierwszy wiec.

Potem wydziały filozofii i socjologii zamknięto. Otwarto je dużo później. Zaczęła pracować w ośrodku Badań Opinii Publicznej, który powstał na fali popaździernikowej „odwilży”.

– Nigdy już nie miałam tak dobrej pracy – twierdzi. – Takiej, o której można by mówić jako o „środoisku”. Pozostał tam duch października – istniała potrzeba bieżącej wymiany myśli, działania na rzecz innych ludzi. Pracowało tak wielu światłych, przyzwoitych ludzi. Wtedy – i mówię to z całym przekonaniem – OBOP nie fałszował danych. W niektórych przypadkach, gdy dane okazywały się niewygodne dla peerelowskich władz, chowało się je w kasie pancernej...

To w OBOP-ie Zdzisława poznała wspaniałą osobę – Annę Rudzińską zaangażowaną w działalność opozycyjną, nawiasem mówiąc, matkę znanej dziennikarki prawniczej, Teresy Bochwic. Któregoś wieczoru w 1970 roku, w 17-metrowej kawalerce Nutki i jej męża Janusza na Wrzecionie, poznała mężczyznę, który wywarł na niej ogromne wrażenie. Był tak bardzo różny od chłopaków, z którymi spotykała się do tej pory. Miał 45 lat, ale nie wydawał jej się „stary”, choć ona miała wtedy 27. Energiczny, męski, silny. W siermiężnych latach 60. rzucała się w oczy jego elegancja, wysmakowana, przedwojenna: nosił muszkę. Podczas rozmowy okazało się, że jest inteligentny, czytany. Erudyta. Wywarł na dziewczynie duże wrażenie.

Od Nutki Zdzisława dowiedziała się, że Wojciech ma barwny, patriotyczny życiorys, godny romantycznego bohatera. Przedwojenny harcerz, wierny przykazaniom dawnej Rzeczypospolitej, które często powtarzał: „Pierwsze: nie spocznieś, nim twój kraj wolny nie będzie. I drugie, nie mniej ważne: nie będziesz pertraktował ze swymi, wyżej przez obcych ustanowionymi”. W czasie II wojny światowej działał w konspiracyjnych organizacjach „Pobudka” i „Walka”. Gdy w 1942 roku podjął próbę przedostania się do polskiej armii na Zachodzie, został złapany przez Niemców. Wysłali go do obozu koncentracyjnego w Karlsruhe. W 1945 roku udało mu się uciec do Wielkiej Brytanii – zdążył jeszcze przed końcem wojny zrealizować plan i zaciągnąć się do Polskich Sił Zbrojnych. Choć namawiano go, żeby został, powrócił do Polski w 1947 roku. Uważał, że to jego obowiązek jako Polaka. Studiował prawo, pracował jako redaktor w Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik”, skąd został zwolniony za odmowę uczczenia Józefa Stalina. Współpracował z podziemnymi pismami narodowo-katolickimi. W 1956 roku rozpoczął działalność w Klubie Inteligencji Katolickiej. Takie kluby, zrzeszające środowiska katolickie, opozycyjne wobec komunistycznych władz, powstawały w większych polskich miastach na bazie „odwilży”. Ich przedstawiciele w 1957 roku weszli nawet do Sejmu. Po roku 1976 wielu działaczy KIK przeszło do działalności mniej lub bardziej jawnie opozycyjnej, współpracując ze środowiskiem KOR-u.

Pod koniec lat 50. Ziemiński zaczął także działalność w słynnym Klubie Krzywego Koła. Spotykali się w nim naukowcy, pisarze, dziennikarze krytycznie ustosunkowani do reżimu, w celu dyskusji i swobodnej wymiany myśli. Dyskusje prowadzone w klubie dotyczyły m.in. problematyki kulturowej, politycznej, filozoficznej, artystycznej. Przy klubie działały m.in. Galeria Krzywego Koła i Teatr Krzywego Koła, a także ukazywało się czasopismo „Nowy Nurt”.

Nazwa pochodziła stąd, że pierwsze spotkania odbywały się w mieszkaniu Juliusza Wilczura-Garzteckiego i Ewy Garzteckiej, przy ulicy Krzywe Koło. Niektórzy członkowie klubu współpracowali z tygodnikiem „Po prostu”.

W 1965 roku Wojciech został aresztowany i przetrzymywany cztery miesiące w więzieniu bez postępowania sądowego.

Był wdowcem, jego młoda i pełna uroku żona zmarła w 1962 roku na raka mózgu. Od tej pory samotnie wychowywał dwie córki – bliźniaczki – Małgorzatę i Teresę. W 1970 roku miały po 15 lat. Co prawda pomagały mu dwie żyjące jeszcze wtedy babcie, ale to on tak naprawdę opiekował się córkami, formował ich charaktery i poglądy. Był wolny, Zdzisława też nie była w tym czasie z nikim związana. Nie było więc żadnego dramatu, skandalu, który ubarwiłby naszą opowieść. Co wcale nie znaczy, że stanie się ona nudna: zdaniem pani Zdzisławy, z Wojtkiem nie można się było nudzić.

– Nie dlatego mnie zainteresował, że działał w opozycji – twierdzi. – Zresztą rok 1970 nie był najlepszy dla opozycji w Polsce. Klub Krzywego Koła został zamknięty osiem lat wcześniej. Wiedziałam, że mąż współpracuje z generałem Mieczysławem Boruta-Spiechowiczem i pułkownikiem Kazimierzem Pluta-Czachowskim, chodziło o tworzenie niezależnego ruchu kombatanckiego w PRL. Wojtek miał również jakieś wspólne przedsięwzięcia z kardynałem Stefanem Wyszyńskim, ale niewiele wiem o tym okresie jego życia, bo on tego nie eksponował. Spodobał mi się nie jako bohater podziemia, ale jako interesujący, barwny, nietypowy mężczyzna. Uwiódł mnie przedwojenną elegancją i urokiem osobistym. Jest takie zdjęcie: stoi z kolegami z pracy i jakąś panią. Wszyscy wyglądają szaro, smutno i jakoś tak prowincjonalnie – tak wtedy wyglądaliśmy. A Wojtek na tym tle wypadł jak przybysz z innego, lepszego świata. Nie chodziło tylko o muszkę, choć przyznam, że umiał ją nosić. Miał ich kilka, w tym także pamiątkowe po ojcu (ojciec Wojtka po wojnie nie wrócił do Polski. Zmarł w Argentynie). Poza tym był bardzo dowcipny, lubił bawić się słowem. Podobnie jak Jan Olszewski, jeden z najdowcipniejszych ludzi, jakich znam, zaprzeczał tezie o braku poczucia humoru u ludzi z opozycji. Obydwaj zawsze preferowali dowcip najszybszy, z górnej półki.

Choć podczas spotkania na Wrzecionie coś między nimi zaiskrzyło, Zdzisława i Wojciech długo jeszcze nie stworzyli pary. Od czasu do czasu spotykali się u znajomych – ot, luźne kontakty towarzyskie. Wzajemne uczucie rodziło się powoli.

W 1971 roku Zdzisława wyjechała na rok do Włoch. Długo nie dostawała paszportu, Gomułka z jakichś przyczyn jej nie lubił... Dopiero gdy I sekretarzem KC PZPR został Gierek, udało jej się otrzymać pozwolenie przekroczenia „żelaznej kurtyny”. Chciała poznać Włochy, kulturę antyczną, nauczyć się języka, a także, co tu dużo kryć, pragnęła podreperować swoje finanse. Mąż jej przyjaciółki załatwił jej pracę opiekunki do dzieci siostry... Jasia Gawrońskiego, znanego włoskiego polityka polskiego pochodzenia. Ojcem rodzeństwa był ostatni przedwojenny ambasador RP w Wiedniu, Jan Gawroński, matką zaś Luciana Frassati-Gawrońska, córka założyciela dziennika „La Stampa” i siostra błogosławionego Piera Giorgio Frassatiego. Rodzina otoczyła opieką dziewczynę z Polski. Rok minął jak sen.

Tymczasem Wojciech zgoła inaczej spędzał czas. W 1971 roku dostał wyrok – rok więzienia w zawieszeniu – za to, że w Pieszku wygłosił dla harcerzy wykład historyczny, w którym kwestionował wschodnie granice Polski. „Proces piski o traktat ryski” – tak zostało nazwane to wydarzenie w wydanym w 1972 roku... przez Instytut Literacki w Paryżu zbiorze dokumentów pt. *Sąd orzekł*. Wojciech stał się znany. Zajął się energicznie organizowaniem obchodów zakazanych w PRL świąt niepodległościowych i nabożeństw patriotycznych.

W 1975 roku m.in. z Janem Olszewskim, Antonim Pajdakiem i Stanisławem Szczuką podpisał słynny „List 59”. Był to protest przeciwko zapisowi w Konstytucji dotyczącemu

„nierozzerwalności sojuszu z ZSRR”. Podpisał również „List 14”, którego sygnatariusze sprzeciwiali się represjom wobec uczestników wydarzeń z czerwca 1976 roku.

Gdy powstał KOR, Zdzisława była szczęśliwą posiadaczką maszyny do pisania Olivetti, nawiasem mówiąc, pożyczonej od ambasadora Gawrońskiego. Włączyła się w przepisywanie odezw, komunikatów. Młodszym czytelnikom trzeba wyjaśnić, że w tamtych czasach nie było drukarek, ba, nikt poza naukowcami nie słyszał o komputerach. Posiadanie zwykłej maszyny do pisania było czymś, co w teorii mogło zagrozić ustrojowi socjalistycznemu. Bo można było przepisać na niej ulotki w wielu egzemplarzach, przez kalkę. Żeby osiągnąć maksymalną liczbę kopii, pisano na najcieńszym, prawie przezroczystym papierze – stąd nazwa podziemnych wydawnictw – „bibuła”.

I tak zacieśniły się znów ich kontakty. Wojciech odwiedził Zdzisławę z prośbą o przepisanie jakiegoś ważnego dokumentu. Dla niej zaś rozpoczął się okres czynnej działalności opozycyjnej. Na szczęście jedyną, choć bolesną konsekwencją była strata maszyny do pisania.

– Gdy przyszli ubecy robić rewizję, akurat pisałam komunikat o śmierci Staszka Pyjasa. Zabrali mi maszynę i nigdy jej nie oddali. Wielokrotnie pisałam do urzędu w tej sprawie. Otrzymałam odpowiedź, że została zniszczona. Nie wierzę.

20 września 1976 roku Wojciech znalazł się wśród założycieli Komitetu Obrony Robotników, a 25 marca 1977 roku został inicjatorem Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela i wszedł w skład jego rady finansowej. Po raz kolejny wyrzucono go z pracy. Coraz częściej się spotykali, rozmawiali godzinami, uczucie kiełkowało, aż zakwitło. W 1979 roku zdecydowali, że chcą być razem. Zdzisława była już 36-letnią, dojrzałą kobietą, świadomą swoich decyzji. Jak twierdzi, nie był to wybór z rozsądku, lecz z miłości.

Miała własne niewielkie mieszkanie. Sprzedała je i przeprowadziła się do Wojtka na Żoliborz. Nie była to łatwa decyzja. On był o 18 lat starszy, miał swoje przyzwyczajenia. Bliźniaczki były już dorosłe – jedna wyszła za mąż, druga studiowała w Lublinie i do Warszawy przyjeżdżała tylko na weekendy.

Formalnie Zdzisława i Wojciech pobraли się dopiero w 1990 roku.

Aktywna działalność opozycyjna Wojtka nie sprzyjała „małej stabilizacji”.

– Chrzest bojowy przesłam już na jesieni 1979 roku – uśmiecha się pani Zdzisława. – W procesie czterech organizatorów patriotycznej demonstracji w Święto Niepodległości pod Grobem Nieznanego Żołnierza Wojtek skazany został na sześć tygodni aresztu. Wyrok wydał młody sędzia Andrzej Kryże, syn okrytego złą sławą sędziego Romana Kryże, znanego z bezwzględного traktowania działaczy Podziemia Niepodległościowego i niezwykle surowych wyroków: m.in. skazał na karę śmierci rotmistrza Pileckiego. Wiele z tych wyroków po 1989 roku zostało uznanych za tzw. mordy sądowe.

Atmosferę i szczegóły tej demonstracji następująco opisuje Wiktor Świątlik: *O demonstracji z 11 listopada 1979 roku esbecy wiedzieli z wyprzedzeniem. Zaczęto od prewencyjnych zatrzymań, ale wtedy działacze ROPCiO się ukryli. Tajniacy zaczęli także zrywać ogłoszenia informujące o mszy w katedrze. Ale i tak przyszły tłumy. Podniosłe kazanie wygłosił ksiądz Stefan Niedzielak (ten sam, który w 1989 roku został zamordowany, najprawdopodobniej przez SB). W trakcie mszy esbecy działali typowymi dla siebie metodami: kryli się po nawach bocznych katedry, wrywając wieńce wchodzącym do niej lub tym, którzy oddalili się od reszty. Potem tłum wyruszył z katedry w kierunku pomnika wąską ulicą Świętojerską. Już sto metrów od katedry, przy wylocie ulicy na plac Zamkowy doszło do pierwszego starcia. Esbecy wyrwali transparent z cytatem z pierwszej pielgrzymki papieskiej: „Nie będzie Polski sprawiedliwej bez Polski niepodległej”. Drugi transparent: Wolność – Niepodległość – Chleb”, choć na chwilę tajniacy go zdobyli, po chwili został odbity przez demonstrantów. Uciekający esbecy ostrzeliwali*

się z pistoletów gazowych. To właśnie podczas tej szarpaniny Komorowski – według jego własnej relacji – miał sprzedać celny cios esbekowi, z którym szamotał się o jeden z wieńców. Pod Kolumną Zygmunta Andrzej Czuma, który prowadził demonstrację, musiał przeistoczyć się w dowódcę na polu walki. Zalecał spokój i nakazał demonstrantom wziąć się pod ręce, by trudniej było rozbić pochód bądź wylapać pojedynczych ludzi z tłumu. Chwilę po walce o transparenty, jeszcze w oparach gazu – przy zejściu z placu Zamkowego w Krakowskie Przedmieście – esbecy i milicjanci próbowali zablokować pochód za pomocą poustawianych w poprzek samochodów.

Kawałek dalej była kolejna blokada z ławek. Pochód wiedziony przez Czumę i jego przybocznych – w tym Komorowskiego – sprawnie pokonał je wszystkie. Demonstranci uważali, żeby esbecy nie przecięli kabli od nagłośnienia, co uniemożliwiłoby kierowanie tłumem. Podnosiła się adrenalina. Maszerujący śpiewali Rotę, ale ze zmienionym tekstem: „aż się rozpadnie w pył i kurz sowiecka zawierucha”, i „Boże coś Polskę” ze słowami, których używano podczas zaborów i w czasie okupacji: „Ojczyznę wolną racz nam zwrócić Panie”. Demonstranci zwyciężyli. Dotarli pod Grób Nieznanego Żołnierza. Pierwszy wieniec złożył Ziemiński w imieniu żołnierzy Armii Krajowej. Drugi był Komorowski. „Przedstawiając się jako reprezentant środowisk młodzieżowych, złożył wieniec pod Grobem Nieznanego Żołnierza opatrzony szarfą z napisem »Jeszcze Polska nie zginęła«, a następnie przemówił do zgromadzonych tam osób” – raportowali esbecy. Później przemawiali kolejno: Czuma, Ziemiński i działacz ROPCiO Józef Janowski. Jak wywieździeli się esbecy, po demonstracji Komorowskiego bardzo chwalił Antoni Macierewicz. Uznał, że miał najlepsze przemówienie. Komorowski był bardzo zadowolony z organizacji pochodu, którego esbekom nie udało się rozbić. Nie bał się konsekwencji, bo „nie został zatrzymany na miejscu”. Kilka dni później Komorowski, Dworak i opozycjonista, weteran walki zbrojnej z komunistami w latach 40., Marian Gołębiowski spotkali się, by opracować podsumowanie cyklu demonstracji. Z esbeckiego meldunku wynika, że byli dość pewni siebie. Uważali, że demonstracje przełamują strach przed milicją i aparatem bezpieczeństwa, umacniają postawę niepodległościową oraz, co ważne, prowadzą do jednoczenia się różnych grup opozycyjnych. Planowali kolejne manifestacje, chcieli, by dzięki nim opozycja mówiła jednym głosem. Zakładali, że władze przyzwyczajają się do demonstracji patriotycznych i pomału będą musiały je zaakceptować. Czuli się bardzo silni. Ale za ten triumf trzeba było zapłacić. Z notatek donosicieli i rosnącego poczucia siły organizatorów manifestacji SB wyciągnęła wnioski. Czumę zgarnięto na 48 godzin zaraz po demonstracji. Krótko później jemu, Komorowskiemu, Ziemińskiemu i Józefowi Janowskiemu postawiono zarzuty. Przed warszawskim kolegium, a potem sądem rozpoczął się proces, o którym było głośno zarówno w 1979 roku, bo relacjonowało go Radio Wolna Europa, jak i ponad ćwierć wieku później. W 2005 roku orzekający w nim sędzia Andrzej Kryże został wiceministrem sprawiedliwości w rządzie premiera Kazimierza Marcinkiewicza. Sam Komorowski – ukarany wtedy z Janowskim miesiącem więzienia – nie wspomina za dobrze sędziego, który uznał argumenty świadków, esbeków. Twierdzili oni, że Komorowski obraził ich uczucia narodowe, mówiąc, iż PRL nie jest krajem suwerennym. Proces był świadectwem tego, ile sprawiedliwości było rzeczywistości w wymiarze sprawiedliwości PRL. W pewnym momencie obrona wezwała na świadka opozycjonistę Kazimierza Janusza, a ten stwierdził, że jeden z rzekomo urażonych esbeków wcale nie był na placu Zwycięstwa, bo robił w tym samym czasie kipsz u niego w domu. Kryże dał oczywiście wiarę esbekowi. Wtedy – wedle relacji jednego ze świadków – z ław dla publiczności podniósł się czerwony ze złości Jacek Kuroń i wydarł się z wrodzoną sobie dosadną odwagą na sąd: „Kurwa, łobuzy!”.

Z aresztu Wojciech wyszedł w kwietniu 1980 roku, a już 11 listopada został zatrzymany

po przemówieniu przy Grobie Nieznanego Żołnierza. W celi na Rakowieckiej spędził cztery miesiące.

12 grudnia 1981 roku wieczorem Wojciech wrócił do domu ze Szczecina. Oglądali telewizję – Wojtek nie miał telewizora, dopiero na prośbę żony kupili w 1980 roku mały, czarno-biały odbiornik. Na dwójce w „kinie nocnym” emitowano włoski film fabularny klasy C pt. *Święty Michał miał koguta*. Widzowie, którzy na nim nie zasnęli, pamiętają, że urwał się nagle sceną w łódce.

– Wojtek zdenerwował się i chciał dzwonić z awanturą do telewizji, bo on zawsze ostro reagował, jak mu się coś nie podobało. Podniósł słuchawkę, a tam cisza. Od razu zorientował się, co się dzieje. Zdawał sobie sprawę z sytuacji w kraju, wiedział, że komunistyczne władze coś knują. Wracając do Warszawy, widział oddziały żołnierzy, opancerzone samochody. Powiedział: „Wychodzimy!”, a więc ubraliśmy się i wyszliśmy z domu: Wojtek, córka i ja.

Wojciech ukrywał się do kwietnia 1982 roku w mieszkaniach rodziny i przyjaciół. Czasem bywały to lokale ludzi nieznanymi, ale „przyjaciół przyjaciół”. Pod koniec kwietnia dowiedział się, że może go przyjąć ktoś mieszkający w domu pod Warszawą. Ucieszył się, bo bardzo brakowało mu świeżego powietrza – od kilku miesięcy nie wychodził.

– Postanowiliśmy odwiedzić Wojtka w niedzielę przed południem, „maluchem” jego bratanek. Jechaliśmy we czwórkę, bo w wyprawie wzięła udział jeszcze córka Wojtka. Gdy wyjechaliśmy poza rogatki Warszawy, na szosie zatrzymał nas milicjant z radiowozem – wspomina pani Zdzisława. – Coś powiedział do mikrofonu i na szosie zaroilo się od esbeckich samochodów. W ułamku sekundy, to było niesamowite! Albo jechali za nami, albo ktoś nadał im informację, że Wojtek wyjeżdża. Postanowili zawieźć nas w konwoju do Pałacu Mostowskich. W środku, otoczony przez ich auta jechał bratanek swoim maluchem. Wojtek osobno, a my z córką w oddzielnym samochodzie. „A panie co, może cielęcina handlujecie?” – szydzili. Głośne w tamtych czasach były obławy na tzw. spekulantów, sprzedających mięso i jaja ze wsi, bo jedzenie było reglamentowane na kartki. Kazali nam czekać w korytarzu, a męża wzięli na przesłuchanie. Na pożegnanie przykazał: „Tylko mi tutaj nie ryczeć!”. Uważał, że przy esbekach nie powinnyśmy okazywać słabości.

Siedział do listopada. Wypuścili go pod koniec miesiąca z obawy, że znów przygotowuje demonstrację...

– W stanie wojennym pracowałam osiem godzin dziennie – wspomina pani Zdzisława – W OBOP-ie, a potem w Instytucie Kultury. Zmieniłam pracę z powodu uciążliwych dojazdów, Instytut mieścił się przy ulicy Senatorskiej, 15 minut drogi autobusem. Nie mieliśmy samochodu, chociaż ja od paru lat miałam prawo jazdy. Auto było jednak kosztowne w utrzymaniu, a poza tym bałam się, że stałabym się prywatnym kierowcą Wojtka. Życie z moim mężem było bardzo absorbujące. Dawał mi dużo pracy – przepisywałam na maszynie jego artykuły, przemówienia. Nastawiał mi budzik i kładł przy nim karteczkę z informacją, na którą godzinę powinien być gotów np. apel poległych, bo sam był „sową” i zwykle pracował do późnych godzin nocnych. Albo znajdowałam informację, jakie książki przynieść mu z biblioteki lub jaki znaleźć cytat. Jak na to patrzę z perspektywy czasu, najbardziej męczące było to, że człowiek nie znał dnia ani godziny. Nigdy nie wiedziałam, czy za chwilę nie będzie dzwonek do drzwi.

Zawsze, gdy esbecy przychodzili do ich domu, czuła lęk. Zwłaszcza po strzelaniu do robotników w kopalni „Wujek”. Często szarpano Wojciecha, były krzyki, groźby.

– Bałam się o niego, choć wiedziałam, że ludzi wypuszczają, na ogół nie biją, nie wywożą w nieznane. Że wróci. Poza tym on miał taką charyzmę, że budził w esbekach respekt. Gdy przychodzili do nas młodzi milicjanci, on ich pouczał, mówił o Polsce, robił wykłady z historii. Nie bratał się z nimi, broń Boże, ale nie okazywał im jawnej pogardy. I oni czuli do niego coś

w rodzaju szacunku. Chyba zdawali sobie sprawę, że bez względu na to, co by się z nim działo, on nie zmieni poglądów. Pozostanie niezłomny.

Czas dla siebie mogła mieć, dopiero gdy Wojtek wyjeżdżał. A robił to często: na wykłady, spotkania itp. Jeździł do małych miejscowości dawać rady młodym ludziom, którzy chcieli założyć u siebie komórki opozycyjne.

– Dawaliśmy sobie dużo swobody, więc nie było między nami napięć. Wojtek nigdy nie próbował ingerować w moje zajęcia i *vice versa*. To nie był mąż, który wypytywał: co robiłaś? Dlaczego tak późno wracasz? Wynikało to chyba z tego, że mieliśmy do siebie pełne zaufanie.

Dzwonek u drzwi dzwonił nie tylko z okazji esbeckich wizyt. Państwo Ziemiński utrzymywali szerokie kontakty towarzyskie. Przyjaźnili się m.in. z Jerzym i Zofią Mikke, którzy mieszkali niedaleko, przy placu Wilsona. W ich mieszkaniu odbywały się wspaniałe przyjęcia, imieniny, spotkania świąteczne. Często po kolacji wigilijnej jechała na Mokotów do Jana i Marty Olszewskich.

– Zapraszaliśmy głównie przyjaciół Wojtka, ale i moich znajomych. Rzadko nawiązywaliśmy nowe znajomości. Niektórzy się trochę bali, Wojtek miał przecież zasłużoną opinię wojującego opozycjonisty. Na przykład taka historyjka: Wojtek spotkał kiedyś na ulicy dawnego znajomego, niewidzianego od lat. Przywitali się serdecznie, chwilę porozmawiali, a po kilku dniach SB zrobiła u znajomego rewizję... Tak że mój mąż z reguły utrzymywał kontakty z takimi osobami, które wiedziały, co je może spotkać za tę przyjaźń. Byli to przyjaciele wypróbowani w bojach. Adwokaci: Jan Olszewski, Andrzej Grabiński, Staś Szczuka, Władysław Siła-Nowicki – uroczy starszy pan, recytował wiersze. Spotykaliśmy się często, były przyjęcia, czasem tańce, śpiewy, recytacje, a przede wszystkim bardzo ożywione rozmowy o polityce i Polsce – choć nie tylko.

Był okres, gdy Wojciech blisko współpracował z Bronisławem Komorowskim. Znał również jego ojca, uważał go za uczciwego, niezłomnego człowieka. Gdy Bronisław został wiceministrem obrony narodowej, zaprosił Wojtka do zespołu pracującego nad przywróceniem usuniętych przez władze komunistyczne z Grobu Nieznanego Żołnierza czterech tablic z 1925 roku. Wojtek z radością przyjął zaproszenie. Wszak od lat upominał się o przywrócenie tych tablic. Z czasem kontakty stawały się coraz radsze. Broniek odwiedził jeszcze Wojciecha w chorobie. Ziemiński długo nie wierzył w doniesienia dotyczące „dziwnych” kontaktów Bronka z WSI. W archiwum domowym znajduje się kopia strony „Tygodnika Centrum” z 1991 roku z listem Wojtka wysłanym do redakcji w odpowiedzi na zamieszczony wcześniej tekst płk. Grudniewskiego pt. „Wojsko jak rzodkiewka”. W liście Wojtek polemizuje z tezami autora i podkreśla zasługi Komorowskiego w przywracaniu Rzeczypospolitej jej narodowej siły zbrojnej.

Nie był jednak zachwycony, że jego pupil poszedł w stronę Unii Wolności.

– Czy prezydent Komorowski przyjąłby mnie na audiencję? – uśmiecha się pani Zdzisława. – Nie zastanawiałam się nad tym. Nie planowałam takiej wizyty. Ale myślę, że tak, Broniek ma kindersztubę.

To było to osławione towarzystwo z kanapy. Ale to nie wszystko – wśród przyjaciół Wojciecha Ziemińskiego było wielu późniejszych prominentnych polityków. Na jego pogrzeb przybyli dwaj premierzy – Jan Olszewski i Jerzy Buzek, ten ostatni nawet klęczał przed trumną, a mógł być i trzeci, Tadeusz Mazowiecki, który znał Wojtka od wielu lat. Pracowali razem w miesięczniku „Więź”. Mieli wspólnego przyjaciela – Zdzicha Szpakowskiego. Nie było również Bronisława Komorowskiego, przebywał służbowo na Ukrainie. Zdążył jednak wydać dyspozycje, aby pogrzeb odbył się z honorami wojskowymi.

Małżeństwo z Wojtkiem dalekie było od mieszczańskiego ideału. Kiedyś siostra

powiedziała Zdzisławie o małej działce za miastem, w ładnej okolicy, którą można było niedrogo kupić. zaproponowała Wojtkowi, żeby kupili ją i postawili na niej mały, drewniany domek. „I co byś na tej działce robiła?” – spytał. „Sadziłabym kwiaty, wyjeżdżalibyśmy na weekendy. Wreszcie miałbyś świeże powietrze” – odparła. „Aha?! A SB by przyjechała i wszystko spaliła!” – stwierdził.

Nie mieli własnych dzieci.

– Nigdy o tym nie myślałam – twierdzi pani Zdzisława. – Może dlatego, że Wojtek już miał dzieci. Na początku nie miałam pojęcia, że tak bardzo zaprzyjaźnię się z moimi pasierbicami. Potem żartowałam, że to najlepsze rozwiązanie dla kobiety: wyjść za wdowca z odchowanyimi, dobrze ułożonymi dziećmi i uniknąć tego całego zamętu z pieluchami, wstawianiem w nocy i kłopotami w szkole. Dziewczynki mówią mi po imieniu. Powiedziałam „dziewczynki”, a przecież są to już panie w średnim wieku, mam już nawet wnuki i prawnuki. Po śmierci Wojtka odwiedził mnie jego brat z rodziną. Powiedziałam wtedy: „Wojtek zostawił mi najwspanialszy spadek – rodzinę”. A oni: „I nawzajem”. Mam modelowe stosunki z pasierbicami. Wojciech nadzwyczajnie je wychował. Kiedyś pojechaliśmy na wakacje z jedną z nich. Przy stole siedziała z nami zakonnica, która nie mogła uwierzyć, że nie jestem rodzoną matką mojej pasierbicy. Rzadko się zdarza, żeby macocha wyjeżdżała na wakacje z przybraną córką. Trzeba się naprawdę lubić.

Wojciech był zapalonym kinomanem. Często we wczesnym okresie znajomości chodzili do kina, później rzadziej, bo za bardzo wciągnęła go działalność opozycyjna i żał mu było czasu.

Wakacje spędzali trochę „po harcersku”. Najczęściej wynajmowali pokój w jakiejś pięknej, dzikiej okolicy. Zdzisława zaraziła męża Suwalszczyzną, Wojciecha oczarowały miejsca nad jeziorem Hańcza. Chodzili na długie spacery – Wojciech, stary harcerz, wyznaczał przedtem marszrutę, rysując ją małym skrawku papieru (taki konspiracyjny zwyczaj, wszystko notował na mikroskopijnych karteluszka). Był bardzo wytrzymałym piechurem, szybciej męczyła się żona. Dużo czytali – na wakacje zabierali zwykle walizkę pełną książek.

Pani Zdzisławie śni się czasem, że słyszy dzwonek do drzwi. Zrywa się wtedy na równe nogi i z ulgą kładzie z powrotem. Przecież stan wojenny dawno się skończył! Dzwonek był najczęstszym podkładem dźwiękowym lat 70. i 80. Ze względu na podsłuchy rzadko telefonowano.

– Kiedy Aleksander Hall zatelefonował, że do nas przyjdzie, esbecy napadli go pod domem, chcieli go wciągnąć do samochodu. Krzyczał głośno, wyrwał się im. Przyszywałam mu urwany rękaw od marynarki.

Wielu ludzi przyjeżdżało z całej Polski – z Nowej Soli, Konina – do Wojciecha Ziemińskiego z prośbą o radę, z informacjami o działającej u nich opozycji. Chcieli coś pożytecznego zrobić, coś stworzyć, a o Wojciechu dowiedzieli się z jakiejś ulotki lub z Radia Wolna Europa. Zawsze mogli liczyć na nocleg, o dziwo, mieścili się w małym, dwupokojowym mieszkaniu. Była polówka dla gości, materace, a w ostateczności pani Zdzisława szła nocować do sąsiadki, wdowy po pisarzu Leszku Proroku.

– Trzeba ich było nakarmić, a nie bardzo było czym. Stan wojenny, sklepy puste, wszystko na kartki. Wymyślałam więc różne proste i sycące potrawy: makaron z sosem, zapiekanekę z jajkami. Wchodził taki biedak, skromnie ubrany, i mówił, że nie jest głodny. A mąż na to: „Student, żołnierz i opozycjonista zawsze głodny!”. I podejmowaliśmy go, czym chata bogata. Charakterystyczne, że wszyscy oni mieli bardzo sympatyczne twarze, jakieś światło w nich było. To tak jak oglądamy zdjęcia z Powstania Warszawskiego: młodzi powstańcy mają ładne twarze, to byli śliczni chłopcy i dziewczęta. Nie tak jak na pomniku Powstania Warszawskiego, który mój mąż nazywał „kłęską pod Stalingradem” – ci ludzie mają twarze

gestapowców.

Zdzisława rzadko towarzyszyła im w rozmowach. Najczęściej ograniczała się do podania posiłku, zrobienia herbaty. Czasem tylko musiała trochę mitygować męża, gdy za bardzo się zapędził. Uważała, że nie wypada zapraszać gości i ich pouczać.

Wiele poglądów przejęła od męża, ale nie wszystkie. Wojciech był przeciwny Okrągłemu Stołowi, uważał go za zdradę klerków. Nie poszedł głosować w pierwszych tzw. wolnych wyborach. Leżał ostentacyjnie na tapczanie i czytał gazetę, spod oka obserwując żonę, która szykowała się do wyjścia. Zdzisława ubrała się elegancko, przypięła znaczek Solidarności i poszła do lokalu wyborczego.

– Śmiał się ze mnie, ale nie powiedział „nie idź”. Rozumiał moją radość: to przecież były pierwsze wybory, w których mogłam oddać głos, na kogo chciałam. Jego zresztą też, bo miał 14 lat, kiedy wybuchła wojna.

Gdy pani Zdzisława przechodzi obok pomnika Poległym i Pomordowanym na Wschodzie na ulicy Muranowskiej, zawsze wspomina Wojtka. Wnuki wręcz nazywają ten pomnik „pomnikiem dziadka”. – Choć wielu ludzi, szczególnie członków Fundacji powołanej w celu budowy pomnika, z wielkim oddaniem, nie szczędząc sił i czasu pracowało dla sprawy, to myślę, że gdyby nie determinacja i upór Wojtka, ten pomnik chyba by nie został zbudowany. Wchodził oknem, gdy wyrzucały go drzwiami kolejne nieprzychylnie władze. Zdążył jeszcze przed chorobą, która przykuła go do łóżka. Na ostatnich rocznicach pojawiał się pod pomnikiem już ze specjalnym przenośnym urządzeniem, napełnianym ciekłym tlenem. Bardzo go to męczyło, ale duch zwyciężał nad materią.

Lekarze bardzo późno zdiagnozowali chorobę – zwłóknienie płuc.

– Przyjechał do nas kiedyś doktor Wędrychowicz, poseł ROP z Gliwic. Usłyszał ciężki oddech Wojtka, osłuchał go, po czym zaprosił do swojej kliniki. Tam zobaczyli to zwłóknienie na zdjęciu. Choroba była już mocno zaawansowana. Nie ma na nią lekarstwa. Można tylko brać sterydy, które mogą nieco spowolnić jej rozwój, ale nie leczą i mają uboczne skutki. Wojtek schudł, zmalał, pojawiła się cukrzyca posterydowa. Brał duże dawki codziennie, przez parę lat.

W ostatnim okresie życia Wojciech nie opuszczał już mieszkania. Koncentrator tlenu (a w ostatnim roku aż dwa takie urządzenia) pracował 24 godziny na dobę. Zżerał mnóstwo prądu. Chorego odwiedzał lekarz, wysokiej klasy pulmonolog.

– Nie wiadomo, mimo pomocy rodziny, skąd na to wszystko bralibyśmy pieniądze, przecież Wojtek przez wiele lat nie pracował, bo nie mógł znaleźć pracy z tym swoim „wilczym biletem”. Nawet w tzw. Wolnej Polsce.

Na szczęście ówczesny premier, Jerzy Buzek, poinformowany przez Andrzeja Gelberga z „Tygodnika Solidarność” o ciężkiej sytuacji Wojtka, przyznał mu specjalną rentę.

– Nigdy nie traktowałam siebie jako osoby z opozycji, której się „coś należy” – twierdzi pani Zdzisława. – Niczego mi zresztą nie trzeba, żyję z emerytury, dodatkowo trochę pracuję. Mam córki, przyjaciół, znajomych. Ale czuję do kolejnych władz III RP żal, jeśli chodzi o Wojtka. Nie chodzi o stronę finansową, na której nigdy mu nie zależało. Całe życie poświęcił dla Polski. Ani za życia, ani po śmierci nie był dostatecznie doceniony.

To nie do końca prawda. W 2006 roku Wojciech Ziemiński został pośmiertnie odznaczony Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego. W tym samym roku Telewizja Polska poświęciła mu film zatytułowany *Był taki ktoś*.

A poza tym – został pomnik. No i kanapa.

BIBLIOGRAFIA

- Adamowicz Piotr *Wspinaczka pod stromą górą* Plus-Minus, 11/2002
- Bikont Anna, Szczęsna Joanna *Historia Gai i Jacka Kurońów*, 28.12.2000
- Burnetko Krzysztof *O pamięć dla nich walczyliśmy* Tygodnik Powszechny 7/2003
- Dębska Agnieszka, opr. *Droga do „Solidarności”. Lata 1975-80*, Warszawa 2010
- Gądek Jacek *Alfabet hrabiego Komorowskiego herbu Korczak* Onet.pl., 2010
- Grzybowska Iza *Dom ze sobą* Twój Styl 12/2010
- Jackowski Karol, Gabryel Piotr *Jabłko i jabłoń*
Warszawa, 1990
- Kaczyński Andrzej *Gaja*
Rzeczpospolita, 272/2003
- Kania Dorota *Rodzinną historią prezydentowej w aktach IPN*,
Gazeta Polska 07.12.2010
- Karnowski Michał, Zaremba Piotr *O dwóch takich...*
Alfabet braci Kaczyńskich Wydawnictwo M, 2006
- Korcz Marek, Radomski Jan *Jacek Grażyny słuchał zawsze*,
platforma Projekt Polska, 2009
- Kozłowska Barbara *Gajka*
Rzeczpospolita 04.01.2009
- Kuroń Jacek *Wiara i wina*
Aneks, Londyn 1989
- Kuroń Jacek, Kuroń Grażyna *Listy*
Kwartalnik Historyczny Karta, 43/ 2004
- Olejniak Monika *Mam dystans*
Viva! 2010
- Poppek Anna *Obrączki. Opowieść o rodzinie Lecha i Marii Kaczyńskich* G+J, 2010
- Poppek Anna (współpraca Joanna Czajczyńska, Paweł Kudzia,
Maciej Piotrowski) *Portret rodziny Wałęsów*
Warszawa 1993, maszynopis w zbiorach autorki
- Poppek Anna, Pytlakowska Krystyna *Szaszłyk po polsku*
BGW, Warszawa 1992
- Ryszard Bugaj *O sobie i innych*
The Facto, Warszawa, 2010
- Słusznik Barbara *Maciej jaki jest...*
www.kuron.com
- Sterlingow Marek, Wąs Marek *Alina Pienkowska*
Gazeta Wyborcza, 08/2005
- Szczepuła Barbara *Bogdan cały czas widzi Alinę w czerwonej sukience*
Dziennik Bałtycki 17.10.2007
- Świetlik Wiktor *Bronisław Komorowski – pierwsza niezależna biografia*
The Facto, Warszawa, 2010
- Titkow Andrzej, reż. *Historia pewnego życia*
2003, film dokumentalny
- Torańska Teresa *Anna Komorowska. Harcerka*
Gazeta Wyborcza, 20.03.2010

Walaszkowski Patryk *Kobiece gesty solidarności*
Krytyka Polityczna, 08/2010
Wałęsa Lech, Drzycimski Andrzej *Droga nadziei*
Znak, Kraków, 2006
Zambrowski Antoni *Pominięta rocznica ASME* 01/2010

Źródła wypowiedzi:

Str. 14, 15, 18 – „Portret rodziny Wałęsów”; str. 18 – Lech Wałęsa, „Droga nadziei”; str. 19 – „Portret rodziny Wałęsów”; str. 20 – „Droga nadziei”; str. 21-23 – „Portret rodziny Wałęsów”; str. 26 – K. Jackowski, P. Gabryel, „Jabłoń i jabłko”, W-wa 1990; str.27 – „Portret rodziny Wałęsów”; str. 28 – „Droga nadziei”; str. 29 – „Jabłko i jabłoń”; str. 29 – TVN24, „Fakty po faktach”, 29. 09. 2008; str. 30 – „Klan Wałęsów”, Wprost 51/52/2002; str. 30 – „Portret rodziny Wałęsów”; str. 34-47 – A. Poppek, „Obrączki. Opowieść o rodzinie Marii i Lecha Kaczyńskich”; str. 51 – D. Kowalska, „U Komorowskich...” www.kurierlubelski.pl; str. 54-55 – Ł. Modelski, „Dom ze sobą”, Twój Styl 12/2010; str. 56 – Reytan 53-89. Praca magisterska E. Modrzejewskiej, W-wa, UW 2002; str. 56 – „Dom ze sobą”; str. 56 – T. Torńska, „Anna Komorowska. Harcerka”; str. 57 – „Hrabia Komorowski ma sygnet po dziadku” Fakt 11.05.2010; str. 58-59 – J. Gadek, „Alfabet hrabiego Komorowskiego”; str. 60 – „Dom ze sobą.”; str. 61 – „Anna Komorowska. Harcerka”... str. 61 – „Marszałek: pracę magisterską pisałem 11 dni” Onet.pl, 13. 05. 2010; str. 62 - „Anna Komorowska. Harcerka”; str. 63 – op. cit.; str. 64 – D. Kowalska, „Anna, żona marszałka”, Dziennik Zachodni, 23.03.2010; str. 64 – A. Kaplińska-Struss, Święteczny wywiad Pary Prezydenckiej, Gala 12/2010; str. 65 – „Anna Komorowska. Harcerka”; str. 66 – Angora 04.04.2010; str. 67 – „Anna Komorowska. Harcerka’..”; str. 67 – „Mąż wczoraj obrał na obiad ziemniaki” SE, 11.06.2010; str. 68 – M. Olejnik „Mam dystans”; str. 69 – „Alfabet hrabiego...”; str. 70. „Anna Komorowska. Harcerka’..”; str. 71 – „Pierwsza dama sprzęta sama” Fakt 12.08.2010; str. 71-72 – A. Zielińska, „Buda Ruska”, Nowa Trybuna Opolska, 07.08.2010; str. 72 – Gala 12/2010; str. 93 – A. Zambrowski, „Pominięta rocznica”; str. 96 – M. Korcz, J. Radomski, „Jacek Grażyny słuchał zawsze”; str. 97 – A. Bikont, „Historia Gai i Jacka Kuroniów”; str. 99 – „Jacek Grażyny słuchał zawsze?..”; str. 100 – A. Poppek, K. Pytlakowska „Szaszłyk po polsku”; str. 101 – „Jacek Grażyny słuchał zawsze?..”; str. 102 – A. Domanowska „Gdyby Kuroń żył, stałby pod krzyżem”, Gazeta Białystok, 26.08.2010; str. 105 – A. Kaczyński, „Gaja”; str. 106-107 – B. Słusznik „Maciej jaki jest...”; str. 107 – „Pominięta rocznica”; str. 108 – „Maciej jaki jest...”; str. 111-113 – „Historia Gai i Jacka Kuroniów”; str. 114 – „Jacek Grażyny słuchał zawsze”...; str. 139 – M. Sterlingow, M. Wąs „Pienkowska Alina”; str. 139 – P. Adamowicz, „Wspinaczka pod stromą górę”; str. 140 – „Była legendą Solidarności”, Służba Zdrowia nr 83-86/2002; str. 141-142 – B. Szczepuła „Bogdan cały czas widzi Alinę w czerwonej sukience”; str. 143-144 - „Leszek nie został doradcą MKS, bo się zawieruszył”, Tygodnik Powszechny 08.09.2010; str. 144 – „Pienkowska Alina”; str. 147 – „Krzywonos: KobiECE gesty solidarności”, Krytyka Polityczna, 18. 08. 2010; str. 147 – „Leszek nie został doradcą.”; str. 147 - „Pożegnaliśmy Alinę Pienkowską”; str. 151 – „Pienkowska Alina’..”; str. 151 - „Leszek nie został doradcą.”; str. 152-153 – „Pożegnaliśmy Alinę Pienkowską”; str. 154 – „Bogdan cały czas widzi Alinę w czerwonej sukience”.



8.11.1969
Ślub Danuty i Lecha
Wałęsów
reprodukcja: Erazm Ciołek/FORUM



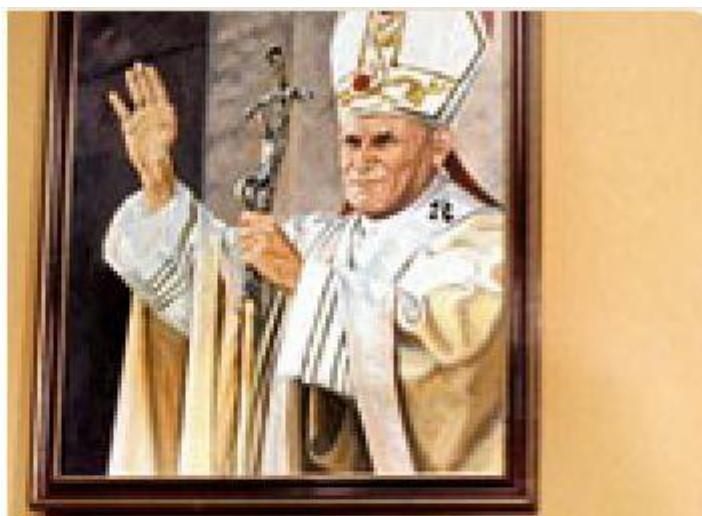
Rzym, 1981
Danuta i Lech

Bogdan Borkowski/FORUM



Gdańsk, 1984

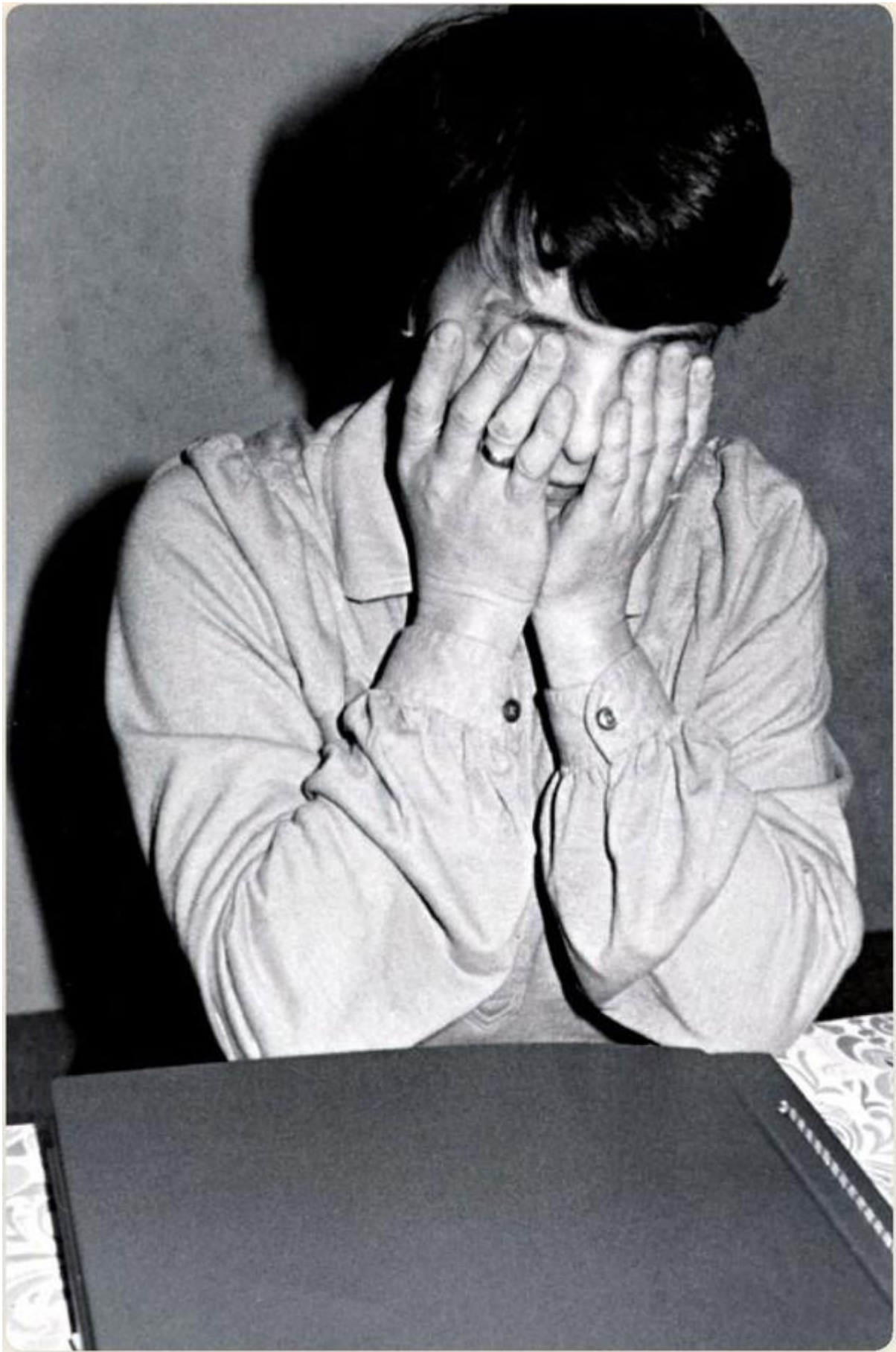
Danuta i Lech z dziećmi – od lewej stoją Bogdan, Jarek, Sławek, Ania (na rękach); siedzą od lewej Przemek, Marysia i Magda
Stefan Kraszewski/KFP



Gdańsk, 14.11.1982
Lech Wałęsa w domu z rodziną w dniu, kiedy wrócił z internowania
Chris Niedenthal/FORUM



W towarzystwie Czesława Miłosza
Tomasz Abramowicz, zbiory Ośrodka KARTA



Gdańsk, 1982
Danuta Wałęsa w zaciszu domowym
Bogdan Borkowski/FORUM



22.12.1990
Zaprzysiężenie Prezydenta Lecha Wałęsy
REUTERS/FORUM



Warszawa, sierpień 1994
Pałac Prezydencki, wizyta Billa Clintona. Spotkanie prezydentów oraz ich małżonek
Krzysztof Wójcik/FORUM



22-23. 08. 2003
40 SOPOT FESTIVAL, Lech Wałęsa z żoną
Rafał Maciąga/FORUM



Mała Marysia Mackiewiczówna (przyszła prezydentowa Kaczyńska)
reprodukcja: Krzysztof Mystkowski/KFP



Marysia w Rabce
reprodukcja: Krzysztof Mystkowski/KFP



Lech Kaczyński z córką Martą



Sopot, maj 1989

Lech Kaczyński z żoną Marią i kotem w mieszkaniu na ulicy Mierosławskiego. Zdjęcie wykonane w ramach przygotowań do kampanii wyborczej przed wyborami do Sejmu X kadencji
Leszek Pękalski/FORUM



Lech i Maria Kaczyński byli udanym, kochającym się małżeństwem
Maciej Dębala/NCzas/FORUM



Jedno z ostatnich zdjęć Pary Prezydenckiej
Wojtek Jakubowski/KFP



Anna Komorowska zawsze była kochającą i troskliwą matką
z archiwum rodzinnego Pary Prezydenckiej



Najpiękniejsza z żon polskich opozycjonistów z dziećmi
z archiwum rodzinnego Pary Prezydenckiej



Anna, młoda matka
z archiwum rodzinnego Pary Prezydenckiej



Anna Komorowska na spływie kajakowym w towarzystwie męża Bronisława, przyszłego
prezydenta RP
z archiwum rodzinnego Pary Prezydenckiej



Warszawa, 14.03.1948
Andrzej Zahorski z żoną Joanną i córką Martą
z archiwum rodzinnego Marty Zahorskiej-Bugaj/FORUM



Pieniny, sierpień 1955
Wycieczka na Trzy Korony
Fot. z archiwum rodzinnego Marty Zahorskiej-Bugaj / FORUM



Jastarnia, 1958
Marta Zahorska z mamą podczas wakacji nad Bałtykiem
z archiwum rodzinnego Marty Zahorskiej-Bugaj/FORUM



Rudka, 1959

Marta Zahorska jako harcerka na Zgrupowaniu Obozów Walterowskich, podobóz „trzynastki”
z archiwum rodzinnego Marty Zahorskiej-Bugaj/FORUM

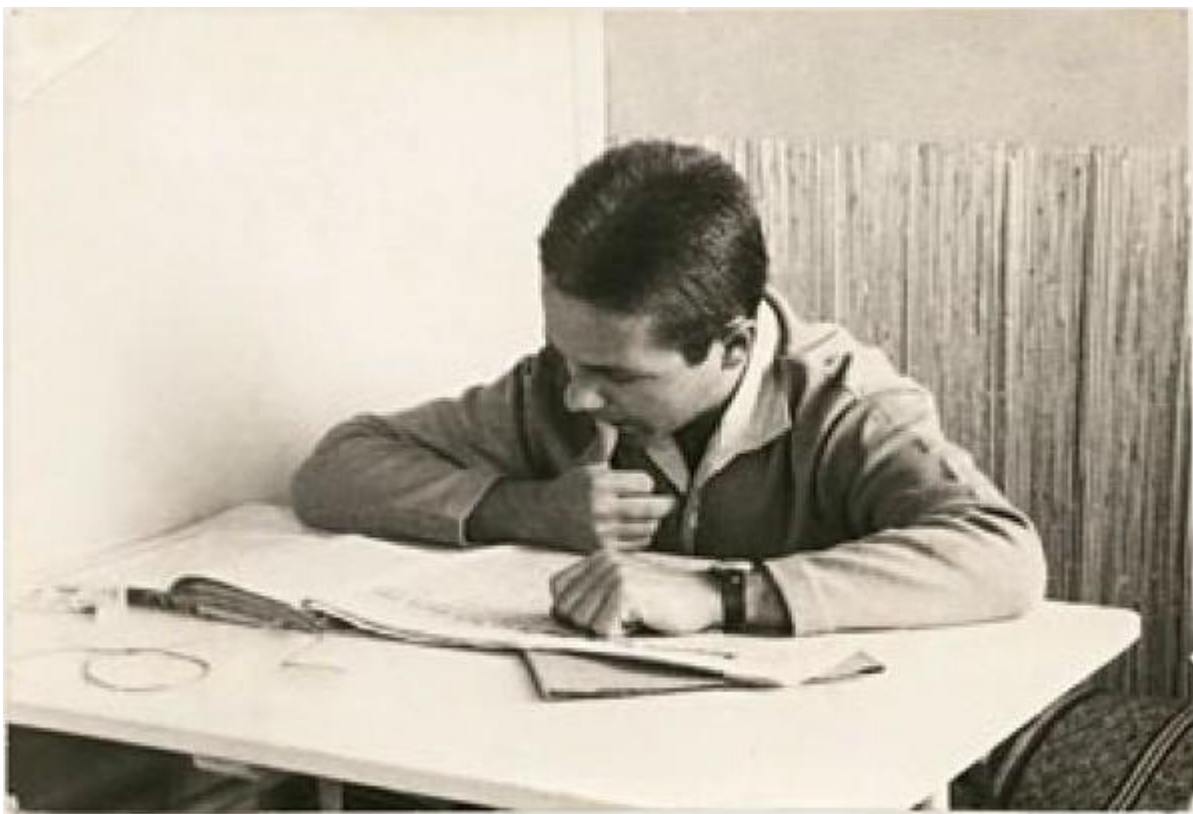


Francja, 1967

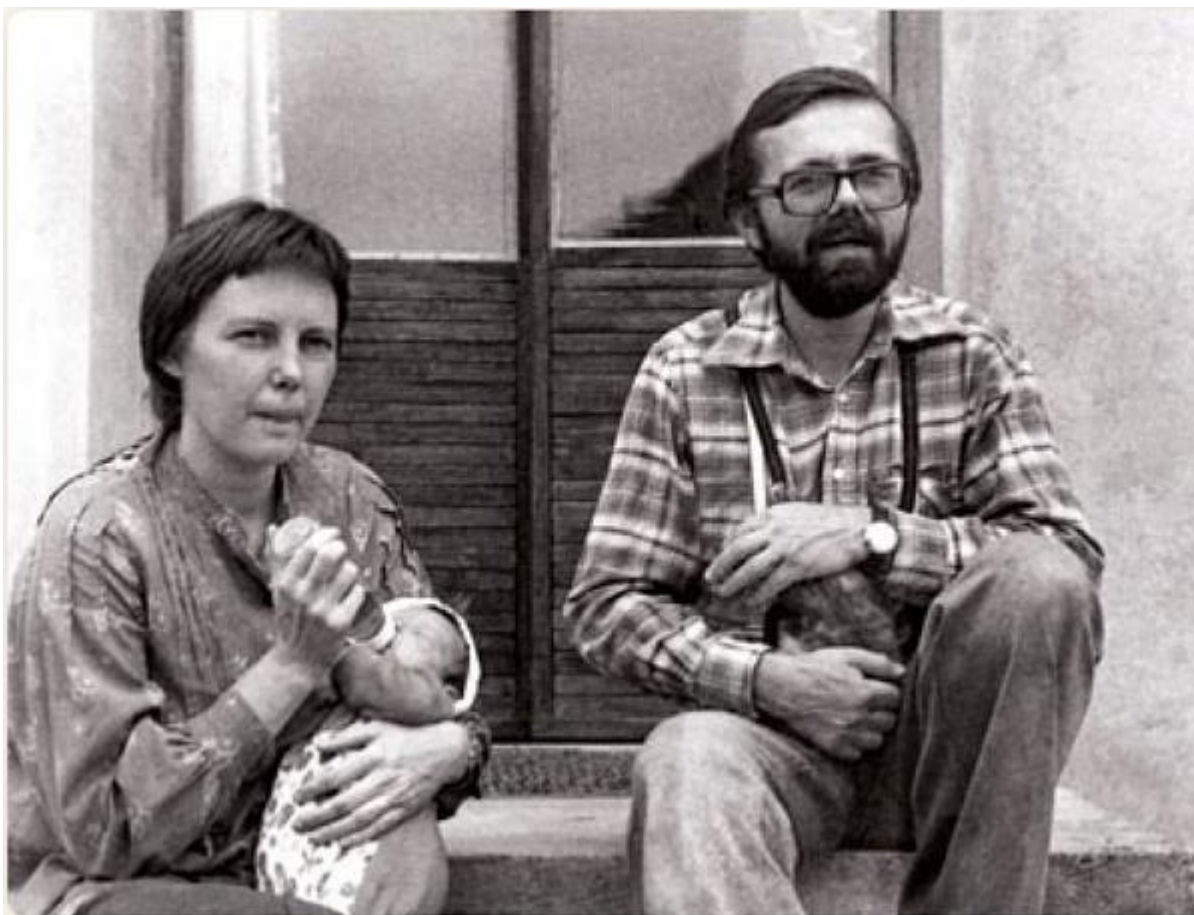
Profesor Andrzej Zahorski z córką Martą w Alpach francuskich
z archiwum rodzinnego Marty Zahorskiej-Bugaj/FORUM



Męcierz koło Kazimierza Dolnego, 1978
Marta Zahorska-Bugaj ze starszą córką Joanną
z archiwum rodzinnego Marty Zahorskiej-Bugaj/FORUM

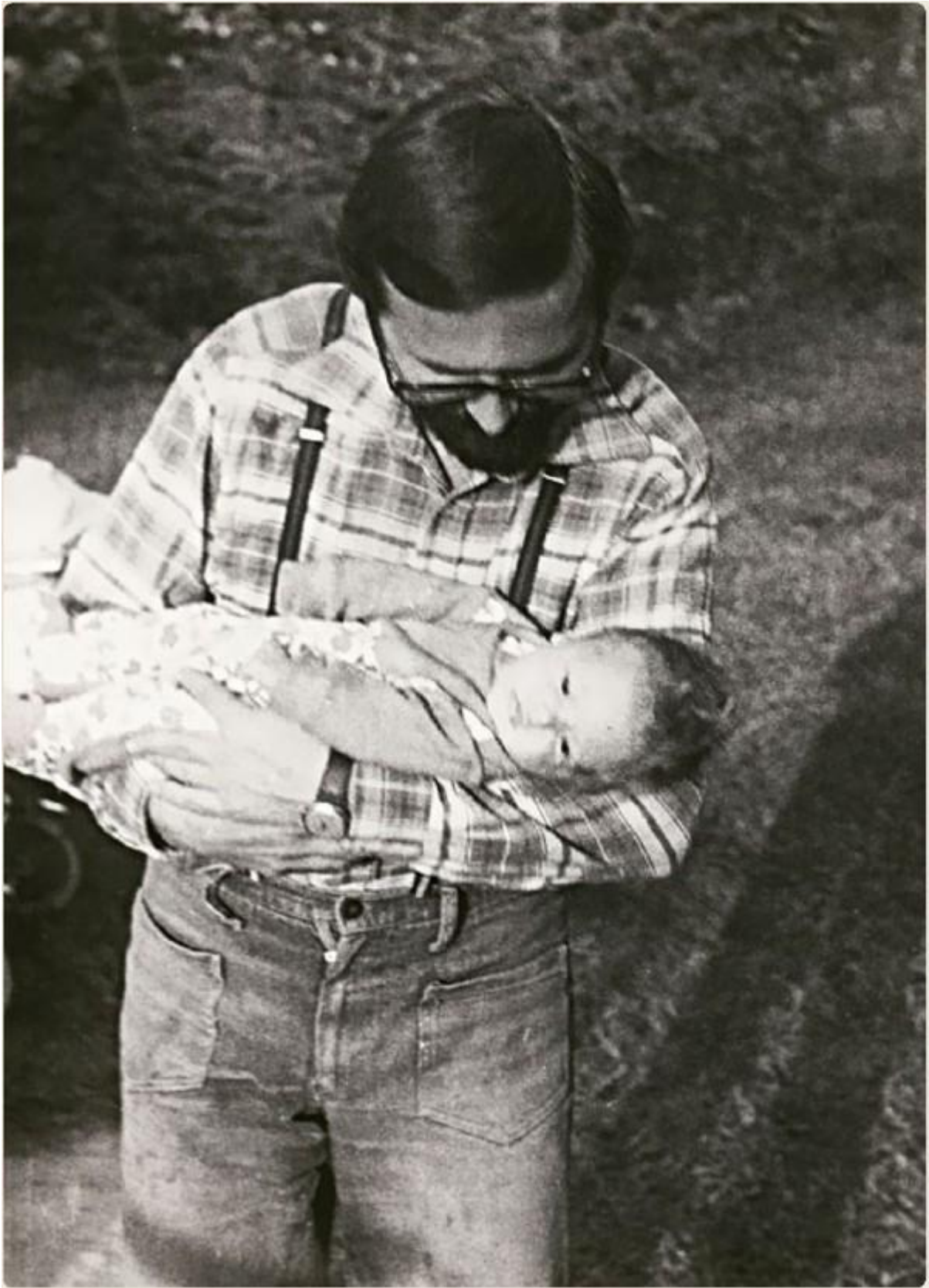


Warszawa, ok. 1960
Ryszard Bugaj jako uczeń technikum
z archiwum rodzinnego Marty Zahorskiej-Bugaj / FORUM



Warszawa, 1982

Marta Zahorska-Bugaj z mężem i córką Agnieszką
z archiwum rodzinnego Marty Zahorskiej-Bugaj/FORUM



Warszawa, 1982

Ryszard z córką
z archiwum rodzinnego Marty Zahorskiej-Bugaj/FORUM



Konstancin, 1984
Marta Zahorska-Bugaj z rodziną
z archiwum rodzinnego Marty Zahorskiej-Bugaj/FORUM



Grażyna Kuroń
reprodukcja: FoKa/Forum



Lata 50.
Grażyna w wersji „etno”
Fot. KARTA/FORUM (udostępniła Danuta Borucka)



Wyspa Wolin, 1955
Na obozie harcerskim
KARTA/FORUM (udostępniła Danuta Borucka)



Gaja Kuroń
reprodukcja: FoKa/Forum



W modnej czapce z „misia”
reprodukcja: FoKa/Forum



Warszawa, 1972

Jacek Kuroń i Gaja Kuroń – w środku grupy – na imprezie sylwestrowej w ich mieszkaniu przy
ul. Mickiewicza

.Jacek Tarkowski, zbiory Ośrodka KARTA



Sylwester, 1980
Jacek Kuroń z żoną Gają
NN, zbiory Ośrodka KARTA (udostępniła Anna Dodziuk)



Jedno z przyjęć przy ul. Mickiewicza
reprodukcja FoKa/Forum



Lata 80., Warszawa
Gaja była największą miłością Jacka Kuronia
z archiwum rodzinnego Jacka Kuronia/zbiory Ośrodka KARTA



Warszawa, 18.06.1939

Maria Lipska (wówczas Stabrowska) na spacerze z ojcem Ottonem Stabrowskim
z archiwum rodzinnego Marii Lipskiej/FORUM

Warszawa, 1933

Maria w dzieciństwie
z archiwum rodzinnego Marii Lipskiej/FORUM



Warszawa, 10.08.1943
Maria Stabrowska. Zdjęcie wysłane do ojca, przebywającego w oflagu
z archiwum rodzinnego Marii Lipskiej/FORUM

Warszawa, lata 40.

Jan Józef Lipski, zdjęcie legitymacyjne
z archiwum rodzinnego Marii Lipskiej/FORUM



Na jagodach
z archiwum rodzinnego Marii Lipskiej/FORUM

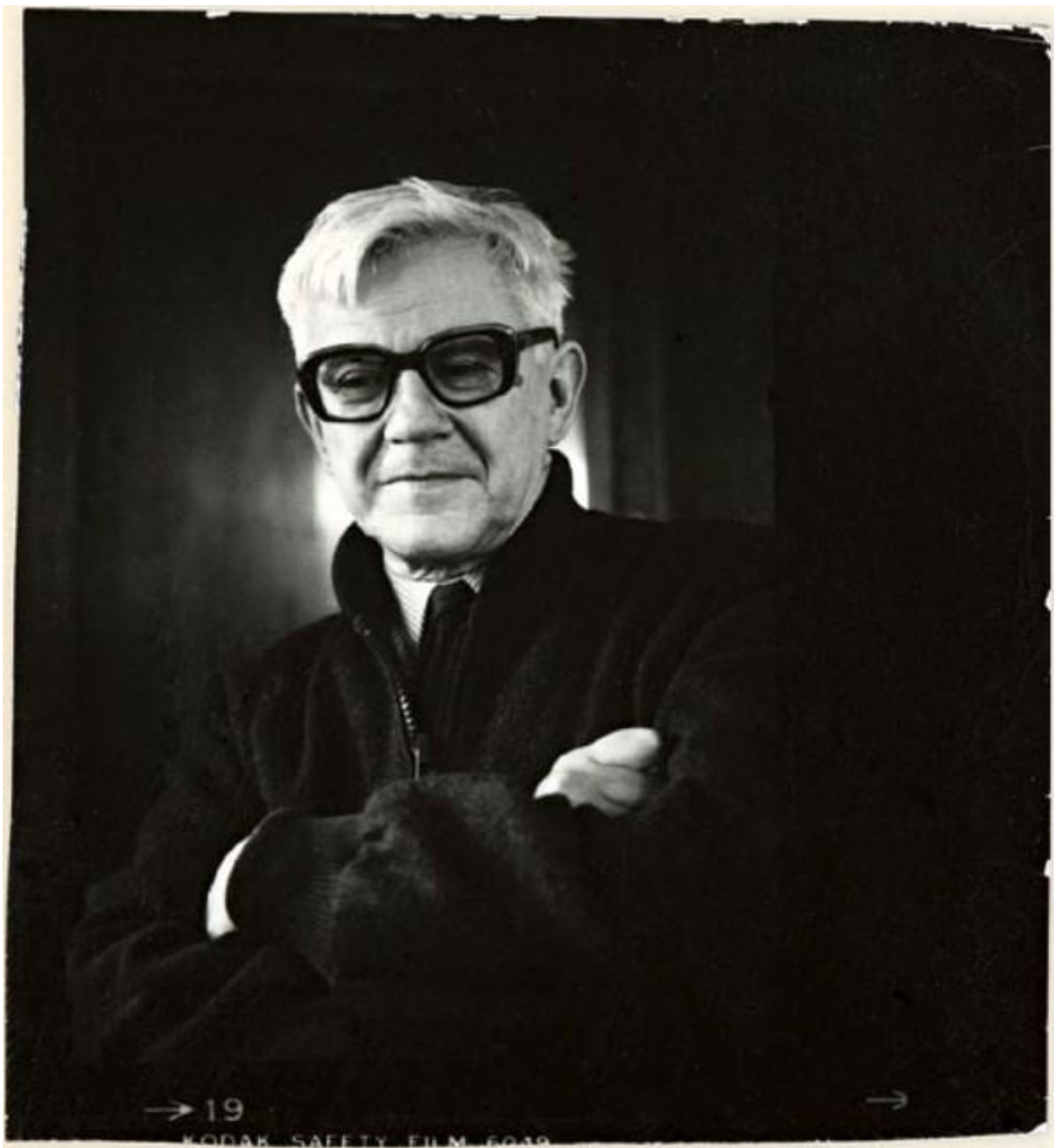


Wyszogród, 1955

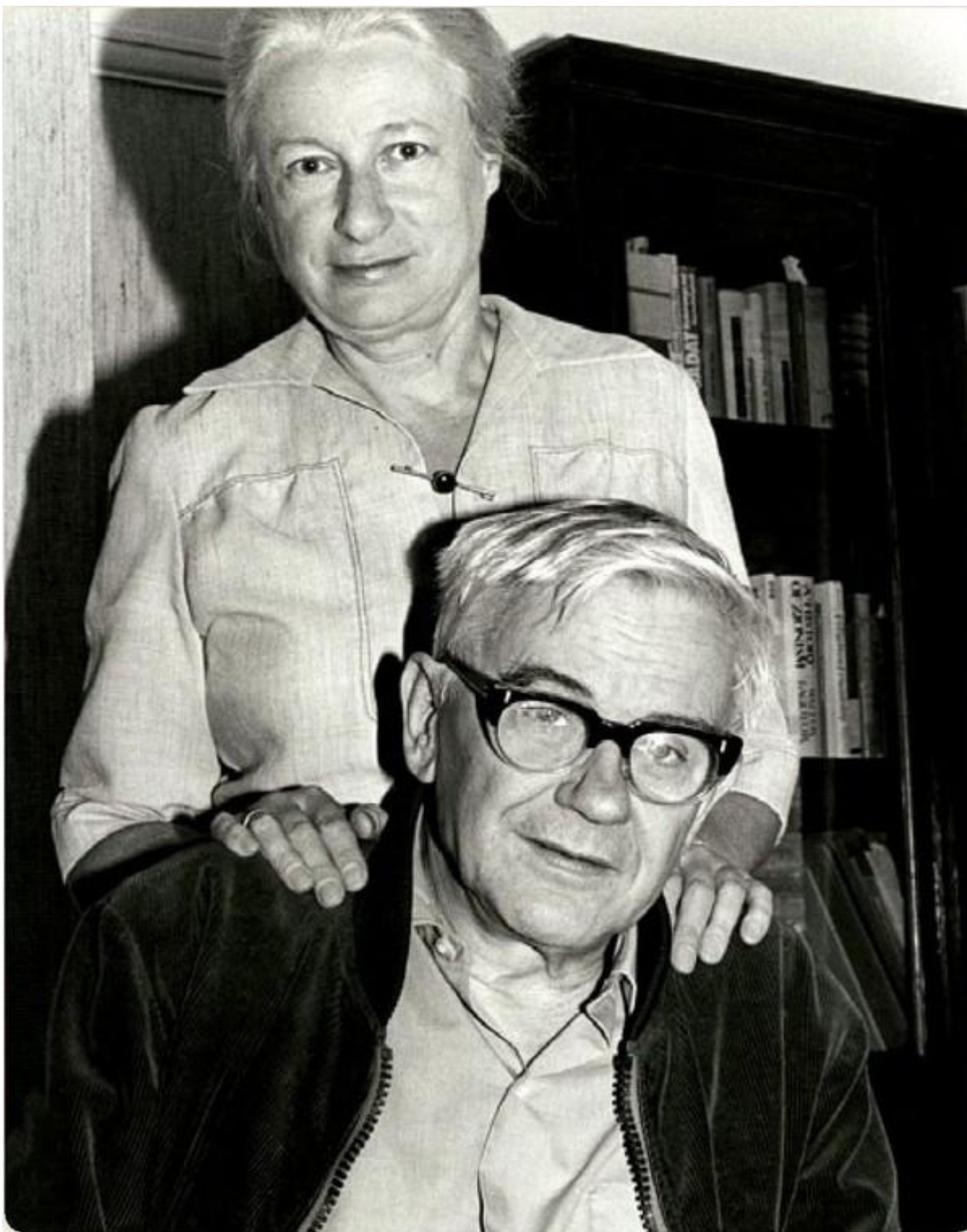
Podczas pobytu wakacyjnego u rodziny Jana Józefa Lipskiego. Z prawej Maria Lipska z synkiem
Janem Tomaszem, obok Jan Józef Lipski
z archiwum rodzinnego Marii Lipskiej/FORUM



Lata 60.
Maria
z archiwum rodzinnego Marii Lipskiej/FORUM



Warszawa, zima 1983/1984
Jan Józef Lipski
z archiwum rodzinnego Marii Lipskiej/FORUM



Londyn, lato 1982
Maria Lipska i Jan Józef Lipski
z archiwum rodzinnego Marii Lipskiej/FORUM



Alina Pienkowska z synem
Wojciech Łaski/EAST NEWS



Alina – działaczka Solidarności
Janusz Uklejewski/KFP



Sztandarowe postaci pierwszej Solidarności (druga z lewej Alina Pieńkowska)
Leszek Biernacki/KFP



Gdańsk, 27.11.1995

Bogdan Borusewicz z żoną Aliną i córką Kingą w jednopokojowym mieszkaniu w dzielnicy
Przymorze

Krzysztof Wójcik/FORUM



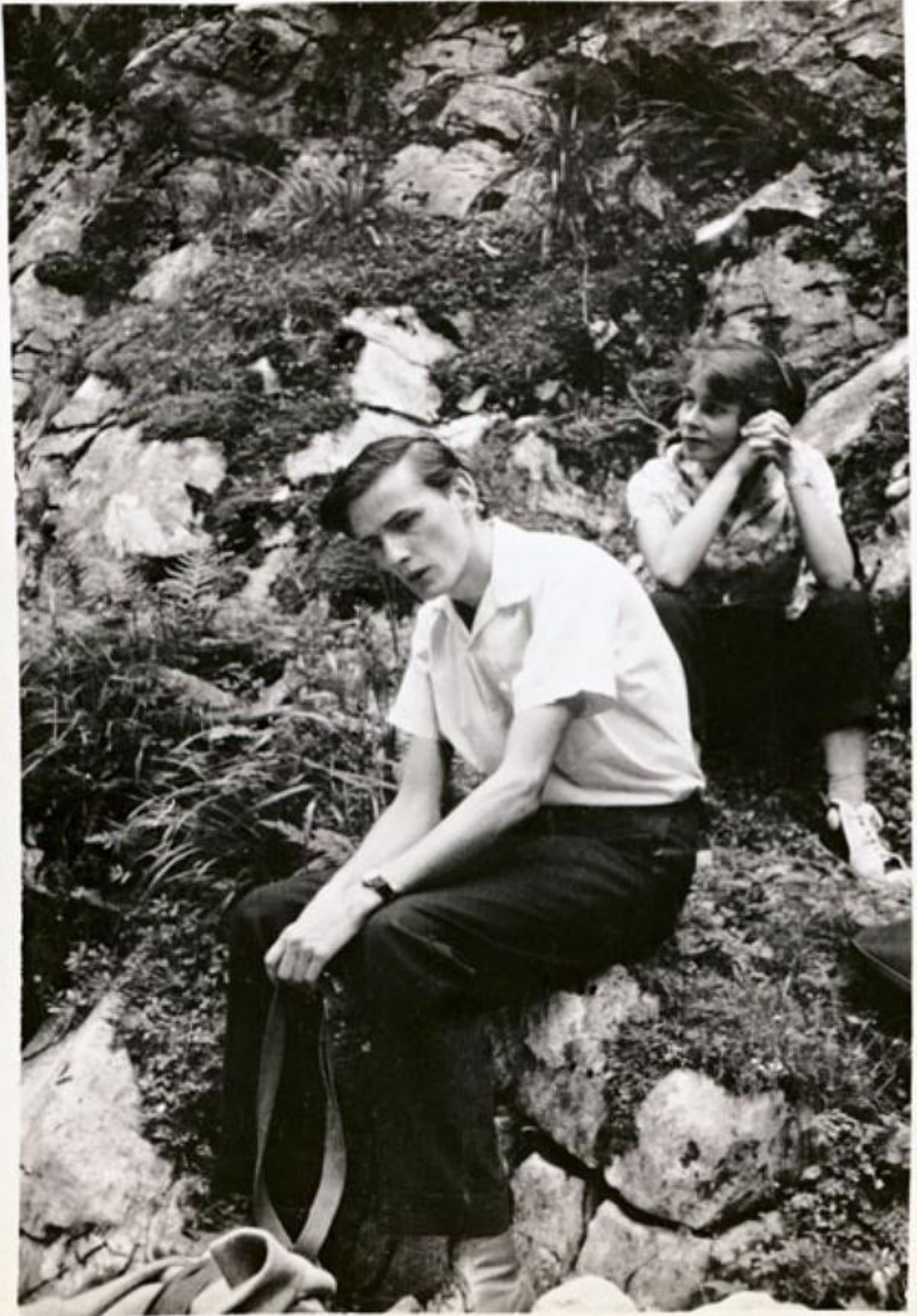
Warszawa, 1942

Ewa Płoska i mała Zosia (obecnie Romaszewska) na Bielanych
z archiwum rodzinnego Zofii i Zbigniewa Romaszewskich/FORUM



Śródborów k. Warszawy, ok. 1951
Zofia Płoska na koloniach letnich
z archiwum rodzinnego Zofii i Zbigniewa Romaszewskich/FORUM

Warszawa, ok. 1949
Zosia Płoska, zdjęcie do legitymacji szkolnej
z archiwum rodzinnego Zofii i Zbigniewa Romaszewskich/FORUM



Tatry, 1961

Zofia i Zbigniew Romaszewscy na wycieczce górskiej w Wąwozie Kraków
z archiwum rodzinnego Zofii i Zbigniewa Romaszewskich/FORUM



Warszawa, ok. 1976

Od lewej: Bartosz Pietrzak, Barbara Sadowska, Zofia Romaszewska w mieszkaniu przy ulicy
Kopińskiej.
z archiwum rodzinnego Zofii i Zbigniewa Romaszewskich/FORUM



Dyskusja o Polsce w mieszkaniu państwa Romaszewskich
Tomasz Michalak/FOTONOVA



Warszawa, ok. 1985
Z Januszem Szpotańskim
Erazm Ciołek/FORUM



Kuba, 2000
Państwo Romaszewscy
z archiwum rodzinnego Zofii i Zbigniewa Romaszewskich/FORUM



Kolumna k. Łodzi, ok. 1948
Ludka Okrent (obecnie Wujec) na wakacjach
z archiwum rodzinnego Ludwika i Henryka Wujców/FORUM



Zakopane, 1955
Ferie świąteczne
z archiwum rodzinnego Ludwika i Henryka Wujców/FORUM



Warszawa, 1953
Ludwika Wujec (z prawej) z matką Reginą Okrent w Łazienkach
z archiwum rodzinnego
Ludwiki i Henryka Wujców/FORUM



Warszawa, ok. 1961
Ludwika
z archiwum rodzinnego Ludwika i Henryka Wujców/FORUM



Warszawa, 2.04.1970
Ślub cywilny Ludwika i Henryka w Pałacu Ślubów przy ulicy Jezuickiej
z archiwum rodzinnego Ludwika i Henryka Wujców/FORUM



Warszawa, 1972
Ludwika z synem Pawłem
z archiwum rodzinnego Ludwika i Henryka Wujców/FORUM



Warszawa, kwiecień 1984

Ludwika z synem Pawłem w czasie pobytu Henryka Wujca w więzieniu
z archiwum rodzinnego Ludwiki i Henryka Wujców/FORUM



Kalifornia, 2010
Ludwika i Henryk
z archiwum rodzinnego Ludwika i Henryka Wujców/FORUM



Warszawa, 1980

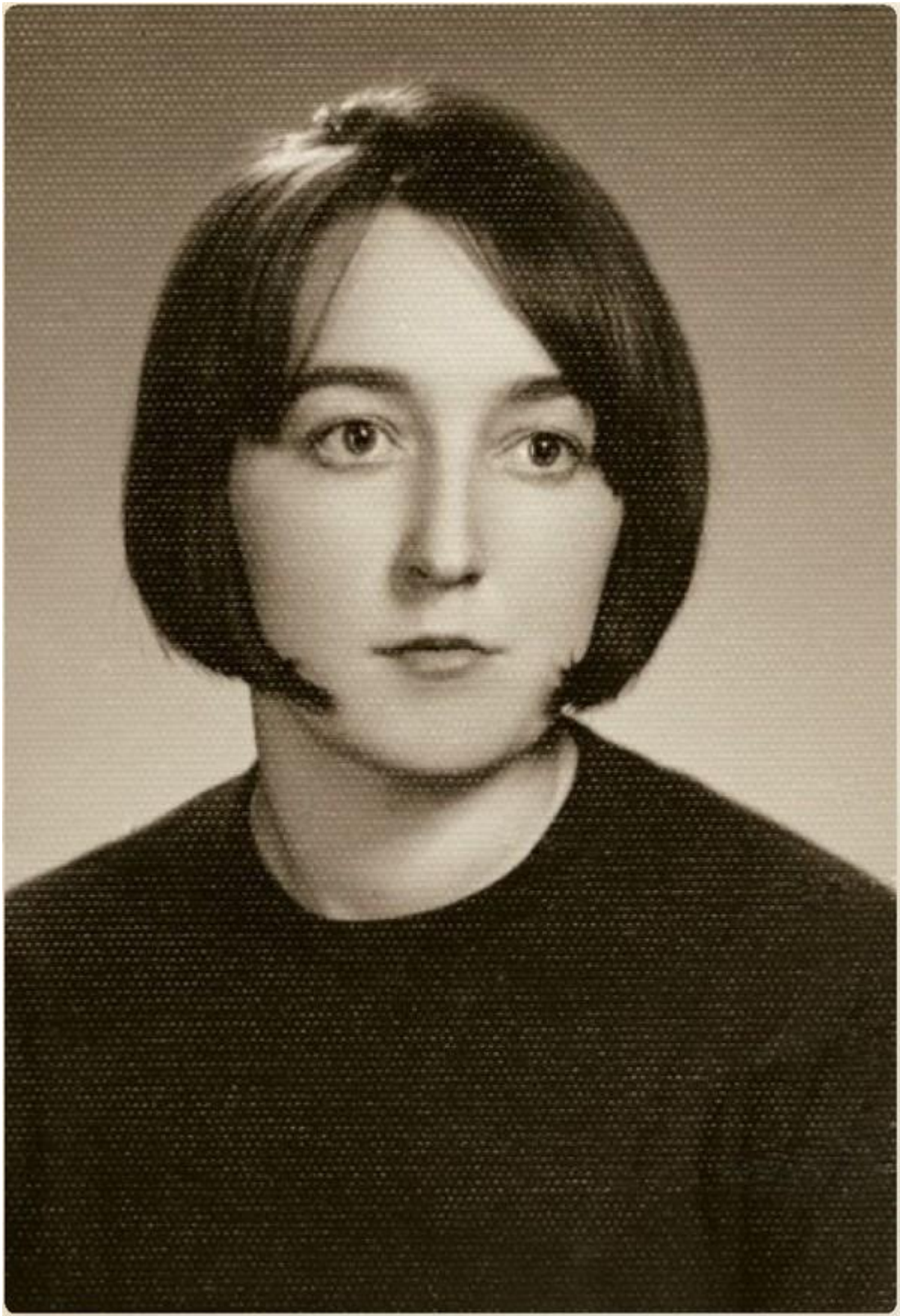
Święta wielkanocne w mieszkaniu Wojciecha i Zdzisławy Ziemińskich, po zwolnieniu Wojciecha z więzienia.

Od lewej: Wojciech Krynicki (wnuk), Wojciech Ziemiński, Zdzisława Ziemińska z archiwum rodzinnego Wojciecha Ziemińskiego/FORUM



1977

Chrzest dziecka Emila Morgiewicza
z archiwum rodzinnego Wojciecha Ziemińskiego/FORUM



Warszawa, lata 60.

Zdzisława Ziemińska, zdjęcie z legitymacji studenckiej
z archiwum rodzinnego Wojciecha Ziemińskiego/FORUM



Warszawa, 1977

To zdjęcie Wojciech Ziemiński zawsze nosił w portfelu
z archiwum rodzinnego Wojciecha Ziemińskiego/FORUM



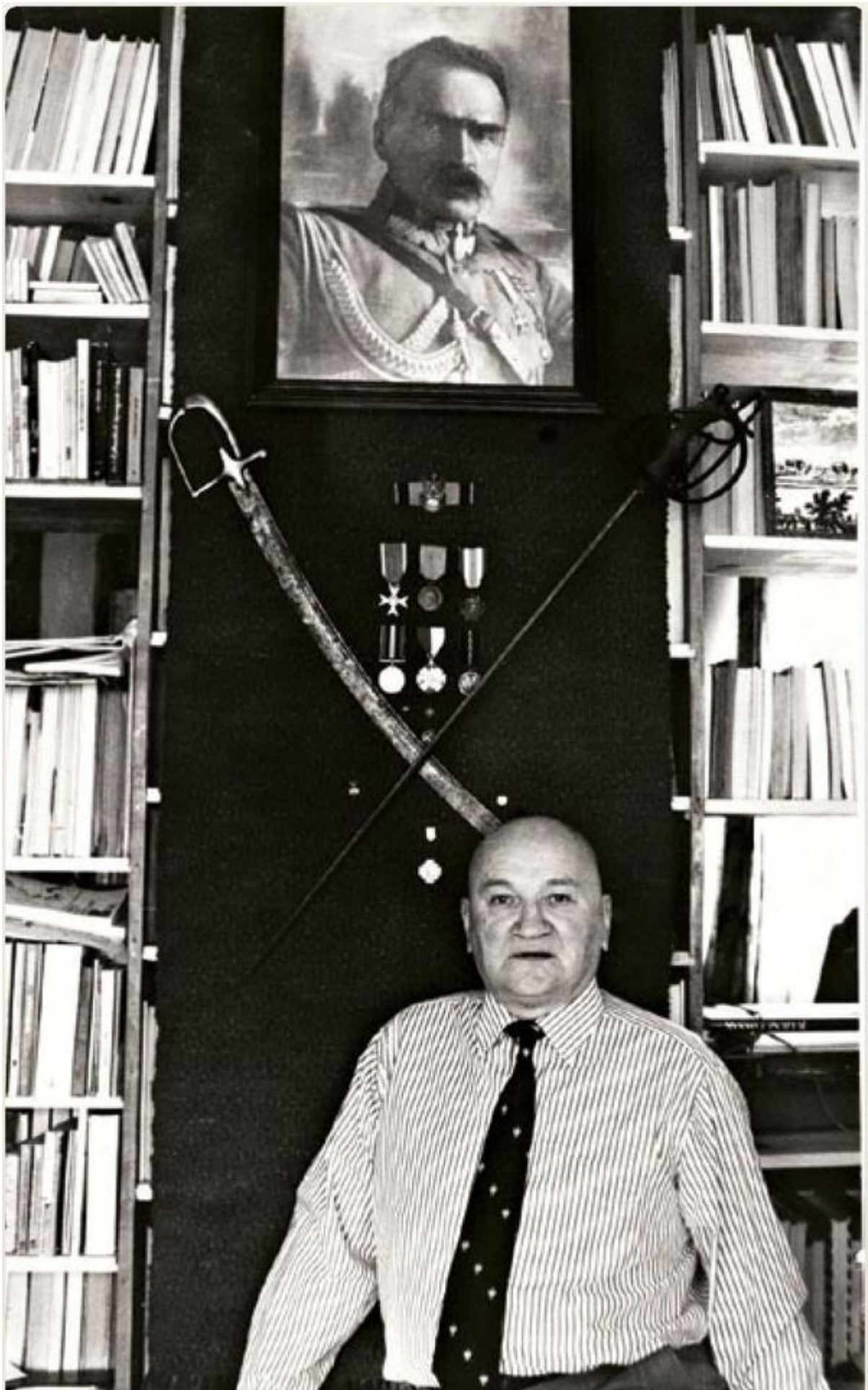
Warszawa, ok. 1982

Wojciech i Zdzisława Ziemińscy w odwiedzinach u Stanisława Szczuki. Od lewej: Anna Szczuka (żona Stanisława Szczuki), Wojciech Ziemiński, Zdzisława Ziemińska
z archiwum rodzinnego Wojciecha Ziemińskiego/FORUM



Warszawa, 10.12.1978

Ogólnopolskie Spotkanie Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela (ROPCiO) w mieszkaniu
Wojciecha Ziemińskiego na Żoliborzu. Od lewej: Wojciech Ziemiński, Edward Maliszewski
z Poznania, Tadeusz Zachara z Lublina, Zbigniew Karpowicz z Lublina
z archiwum rodzinnego Wojciecha Ziemińskiego/FORUM



Warszawa, lata 80.

Wojciech Ziemiński w swoim żoliborskim mieszkaniu
z archiwum rodzinnego Wojciecha Ziemińskiego/FORUM

